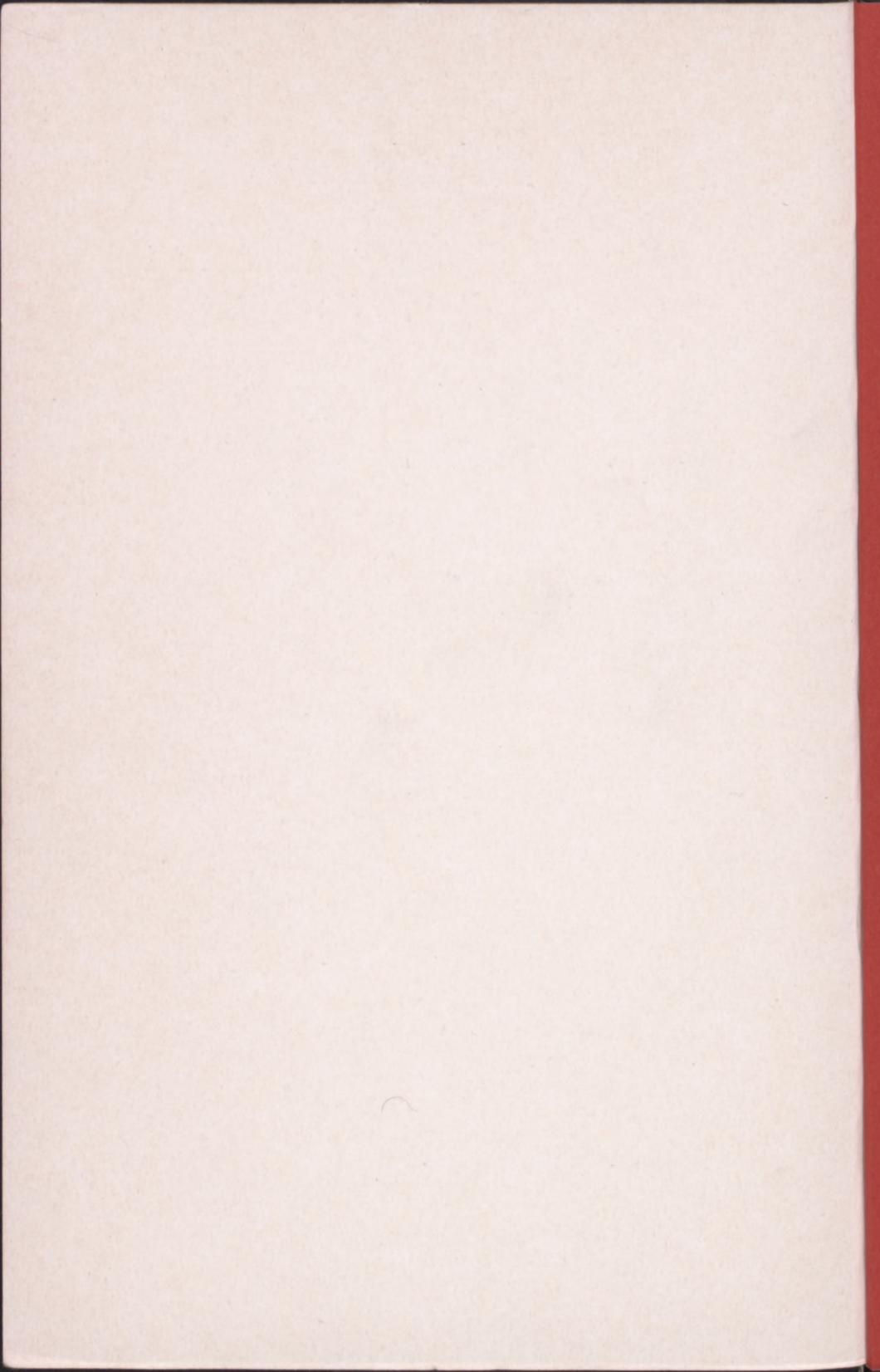
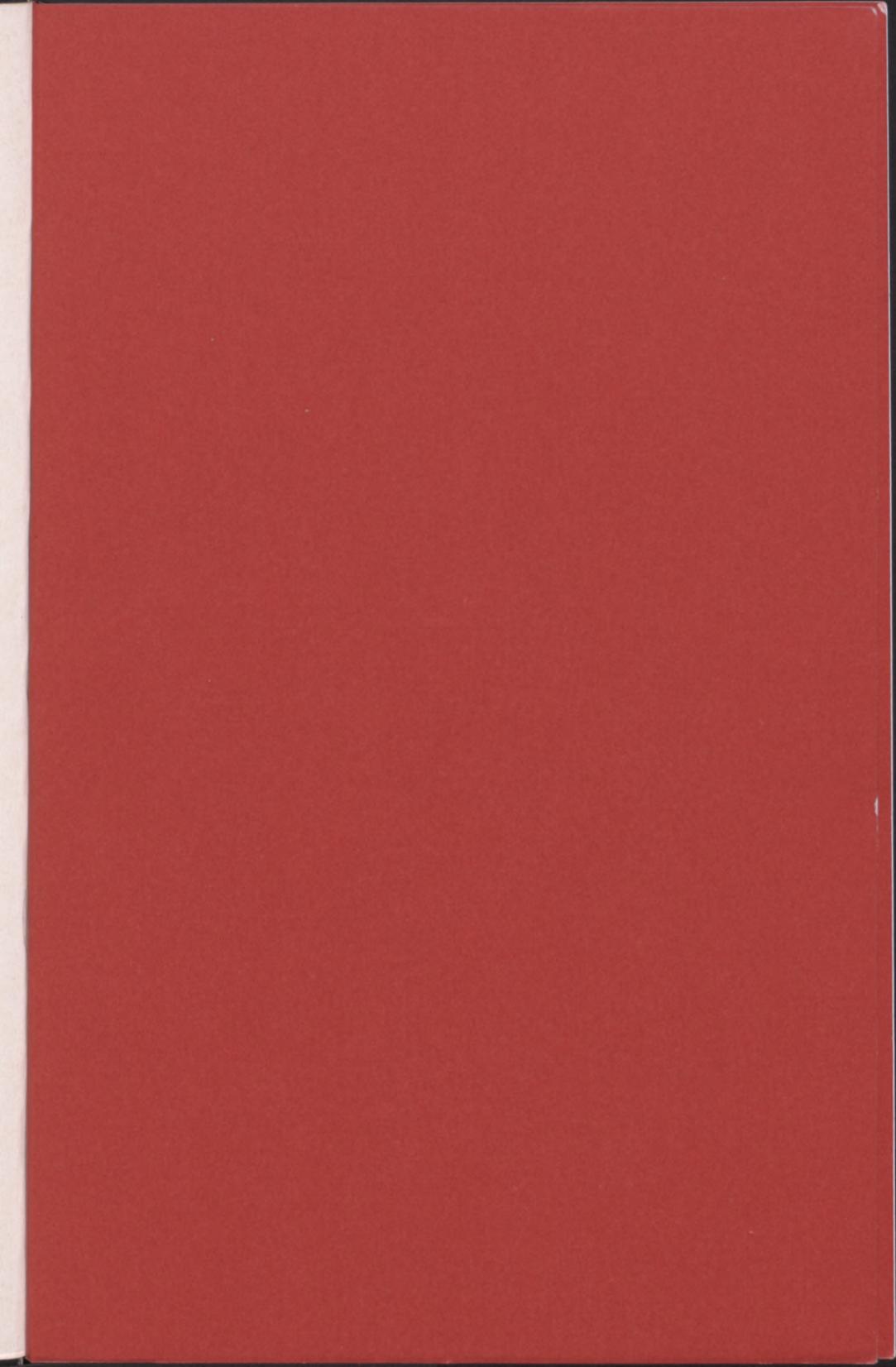


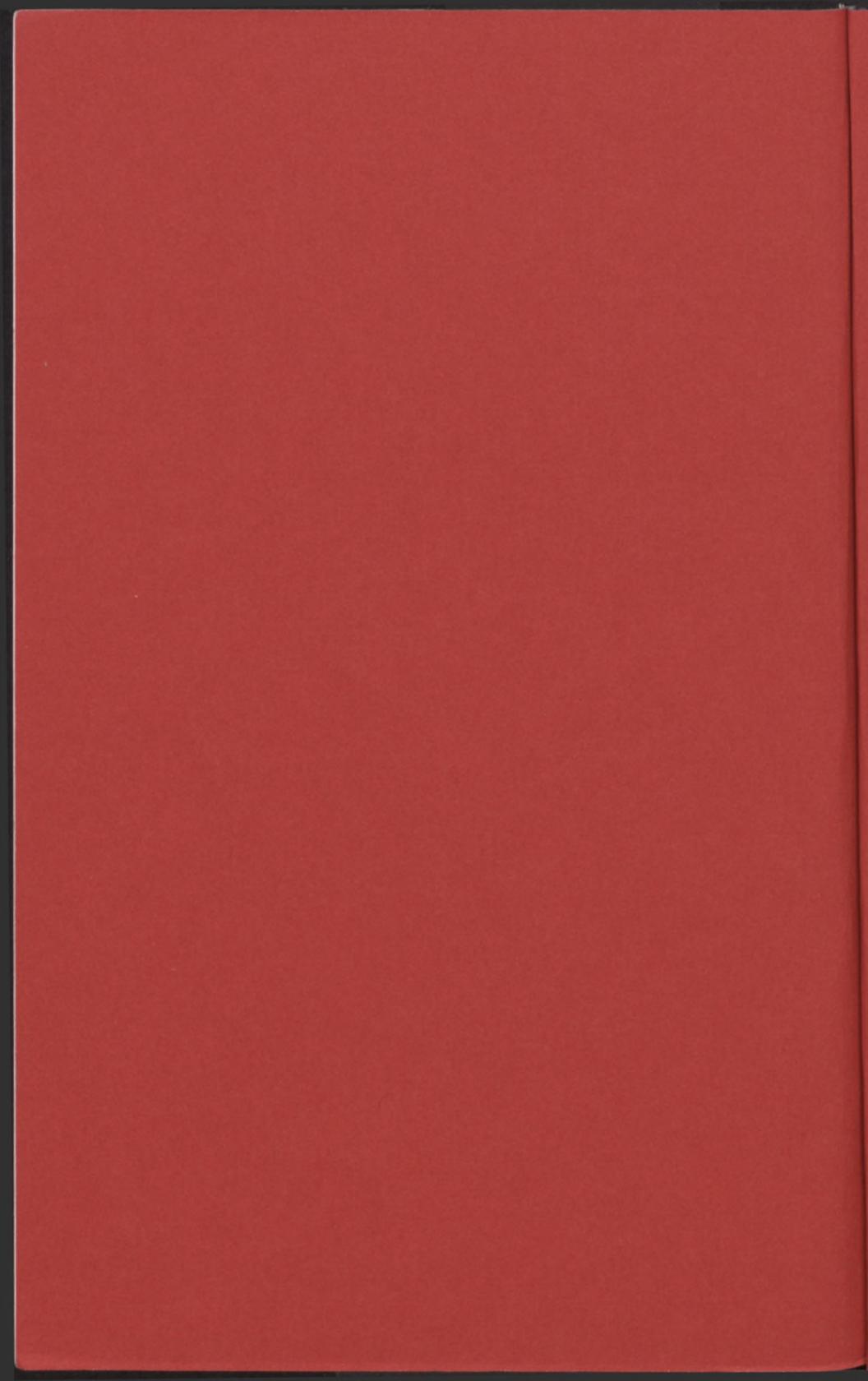
Krzysztof
Muszkowski

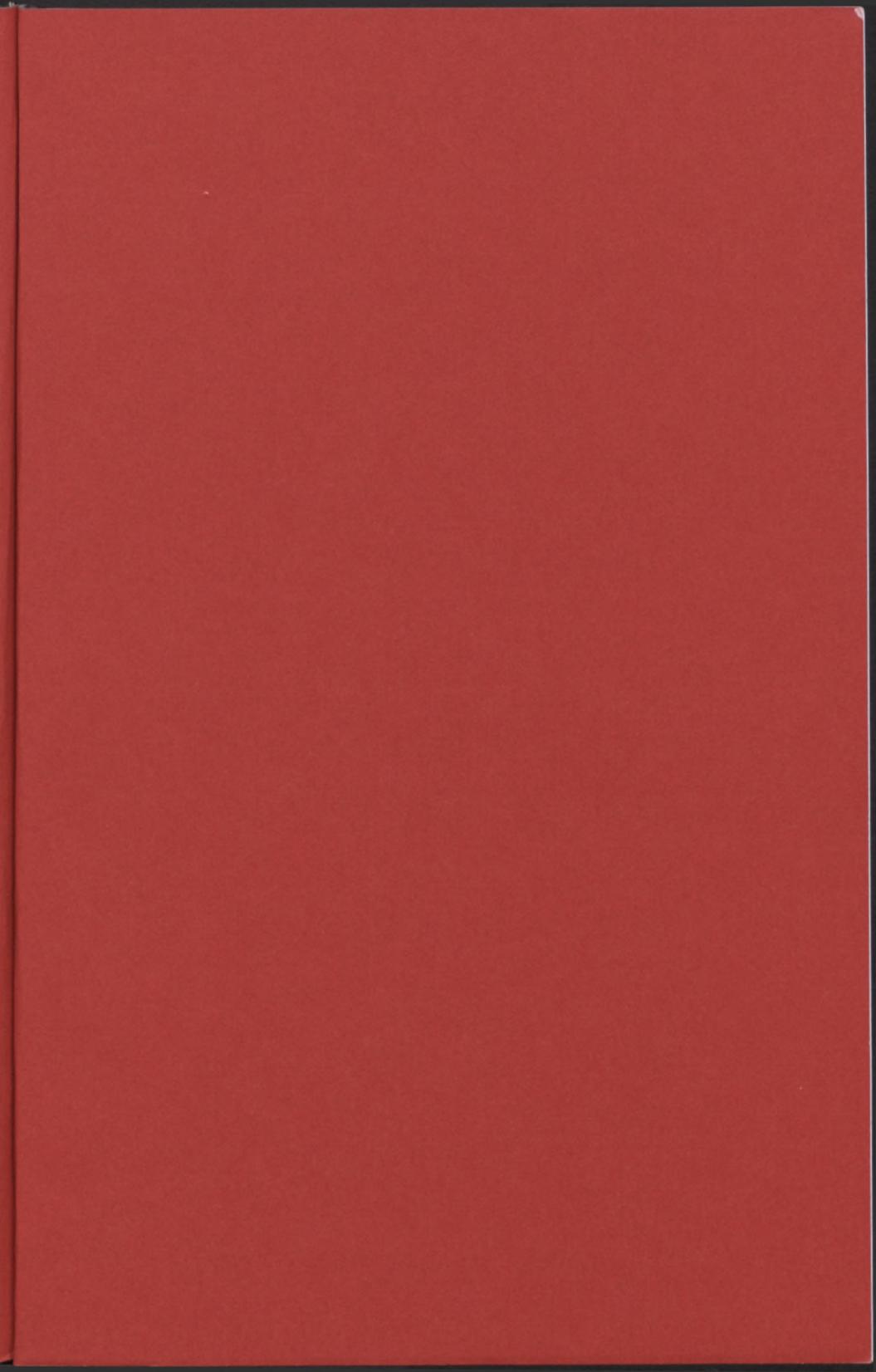
NOTATKI
LONDYŃSKIE

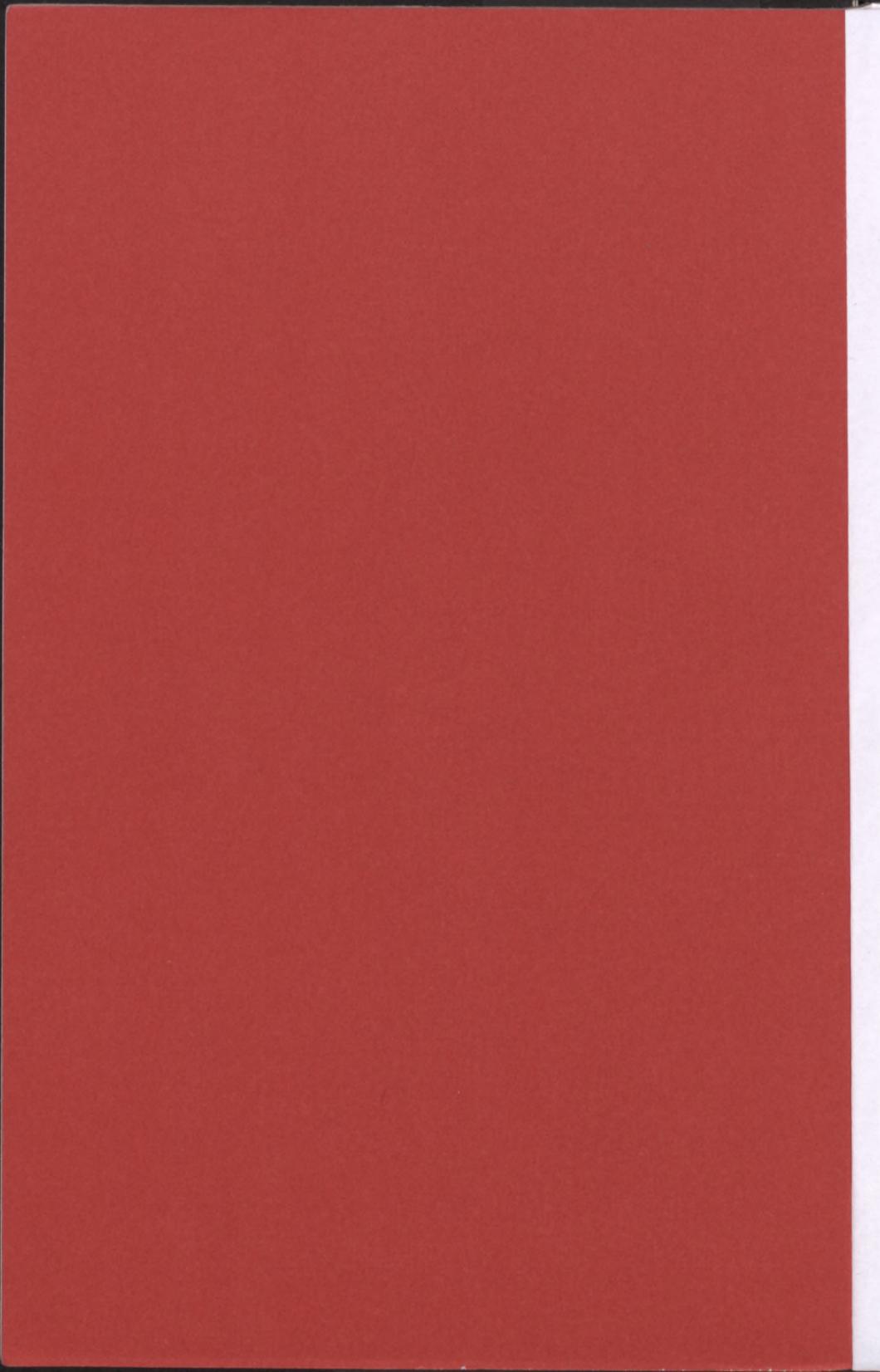
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA











37089

KRZYSZTOF MUSZKOWSKI

NOTATKI LONDYŃSKIE

NOTATKI LONDYŃSKIE

WYDAWCA: Oficyna Poetów i Malarzy, 1990.

(1991-1997)

Edward RACZYŃSKI, CZAS WIELKICH ZMIAN.

Rozmowy z Edwardem Raczyńskim przeprowadzone przez Krzysztofa Muszkowskiego. Paris: Éditions du Diologue, Société D'Éditions Internationales, Paris, 1990.

WYTRĄ MURKOŚ. Z przedmową Edwarda Raczyńskiego. Kraków: Fundacja Monumentis Parisac, Kraków, 1993.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
TORUŃ 1997

TEGOŻ AUTORA

INTER ALIA. Londyn: Oficyna Poetów i Malarzy, 1990.

Edward RACZYŃSKI, *CZAS WIELKICH ZMIAN*,
Rozmowy z Edwardem Raczyńskim przeprowadzone przez Krzysztofa
Muszkowskiego. Paris: Éditions du Dialogue, Société D'Éditions
Internationales, Paris, 1990.

INTRA MUROS. Z przedmową Edwarda Raczyńskiego.
Kraków: Fundacja Monumentis Patriae, Kraków, 1993.

KRZYSZTOF MUSZKOWSKI

PRZEDMOWA

Trudno jest określić przynależność pisarską Krzysztofa Muszkowskiego. Innych można zaliczyć do publicystów politycznych, historycznych, do krytyków literackich, podczas gdy on wymyka się kategoriom, należąc trochę do każdej z nich.

Różnorodność tego co pisze jest w dużej mierze odpowiednikiem i skutkiem - tego kim i czym jest. Bo i tu nie można go umieścić

NOTATKI LONDYŃSKIE (1993-1997)

rodzine inteligentnej - ojciec jego, Jan Muszkowski był wybitnym prawnikiem i księgozawodcą - i przed wojną jako student uniwersytetu. Krzysztof nie zdążył jeszcze zdecydować o swoich przyszłych losach. Zrobiła to za niego historia. Wpływały sowieckie lagry, potem wojska na Zachodzie, czyli „zwyczajnie”, jak gorzko-cartobliwie mówi kiedyś Antoni Słonimski o takich jak on.

Brał udział w kampanii wrześniowej, później w Związku Walki Zbrojnej (późniejsze AK), gdy został aresztowany i wysłany do obozu w Wilnie, dopóki nie został uwolniony i wysłany do obozu w Danii z armią Andersa i w jednej z pierwszych grup przeszedł do polskiego lotnictwa przybył do Anglii, gdzie po wykszoleniu, przydzielony do Dywizjonu 300, latał jako nawigator. ISBN 83-231-0831-2

Po wojnie znów było „zwyczajnie”, jak dla tysięcy innych Polaków, którzy zostali na Zachodzie w proteście przeciwko zniewoleniu Polski. A więc szukanie nowego miejsca dla rodziny. Jego późniejsza kariera można określić z angielską, że jest to „something in the City”, czyli że muszkowski był w Londynie. W Londynie w jego londyńskich notatkach można znaleźć wiele interesujących informacji o środowisku emigracji, choć w swej absorbującej, odpowiedzialnej pracy nie miał czasu, by brać udział w potocznych życiu emigracyjnym. Nie miał też czasu na pisanie „głównie o sobie”.

A był do tego przeznaczony od młodości, dzięki swym zdolno-

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
TORUŃ 1997

5
fe/8.11

KRZYSZTOF MUSZKOWSKI

TEGOŻ AUTORA

NOTATKI LONDYŃSKIE

INTER ALIA. Londyn: Oficyna Poetów i Malarzy, 1990.

Edward RACZYŃSKI, CZYLI WIELICHN ZŁOZIN

Rozmowy z Edwardem Raczynskim przeprowadzone przez Krzysztofa Muszkowskiego. Paris: Editions du Dialogue, Societe D'Etudes Internationales, Paris, 1990.

INTRA MUROS. Z przedmową Edwarda Raczynskiego.
Kraków: Fundacja Monumentis Patriae, Kraków, 1993.



ISBN 83-231-0831-5

421824

© Copyright by Krzysztof Muszkowski, London 1997
Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1997.

Zachowano oryginalną pisownię.

Druk: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy
POZKAL, Inowrocław, nakł. 500 egz.

W.W. 8/97

PRZEDMOWA

Trudno jest określić przynależność pisarską Krzysztofa Muszkowskiego. Innych można zaliczyć do publicystów politycznych, historycznych, do krytyków literackich, podczas gdy on wymyka się kategoriom, należąc trochę do każdej z nich.

Różnorodność tego co pisze jest w dużej mierze odpowiednikiem - i skutkiem - tego kim i czym jest. Bo i tu nie można go umieścić w jakiejś jednej ramce.

Urodził się w Warszawie w 1919 r. w klasycznej przedwojennej rodzinie inteligenckiej, gdzie kultura była solą życia - ojciec jego, Jan Muszkowski był wybitnym bibliologiem i profesorem księgoznawstwa - i przed wojną jako student uniwersytetu, Krzysztof nie zdążył jeszcze zdecydować o swoich przyszłych losach. Zrobiła to za niego historia. Więc były sowieckie łagry, potem wojsko na Zachodzie, czyli „zwyczajnie”, jak gorzko-żartobliwie mówił kiedyś Antoni Słonimski o takich jak on.

Brał udział w kampanii wrześnieowej, później w Związku Walki Zbrojnej (późniejsze AK), gdy znalazł się w Wilnie, dopóki nie został aresztowany i wywieziony do Rosji. Wyszedł z niej z armią Andersa i w jednej z pierwszych grup kandydatów do polskiego lotnictwa przybył do Anglii, gdzie po wyszkoleniu, przydzielony do Dywizjonu 300, latał jako nawigator.

Po wojnie znowu było „zwyczajnie”, jak dla tysięcy innych Polaków, którzy zostali na Zachodzie w proteście przeciwko zniewoleniu Polski. A więc szukanie zawodu, zakładanie rodziny. Jego późniejszą karierę można określić z angielska, że jest to „something in the City”, czyli że został włączony w olbrzymi mechanizm światowych finansów w jego londyńskim centrum. Przynależność do angielskiego środowiska nie przeszkodziła mu zachować zdecydowaną postawę polskiego emigranta, choć w swej absorbującej, odpowiedzialnej pracy nie miał czasu, by brać udział w potocznym życiu emigracyjnym. Nie miał też czasu na pisanie.

A był do tego przeznaczony od młodości, dzięki swym zdolnościom, skłonnościom i wpływowi otoczenia. Za studenckich czasów

w latach 30-tych należał do Związku Młodzieży Demokratycznej - z którego wyszło wielu ludzi o znanych później nazwiskach: Jan Kott, Ryszard Matuszewski, Kazimierz Koźniewski - i współpracował wtedy z pismem „Orka na ugorze”. Gdy znalazł się w Anglii w 1943 r. pisał - z aprobatą władz wojskowych - radiowe migawki o wojskowych wydarzeniach i ludziach dla Głosu Ameryki, który miał wtedy pewne połączenia z polską sekcją BBC. Najbardziej zbliżył się do dziennikarstwa tuż po wojnie, gdy wyszedłszy z wojska. Zanim znalazł swój nowy zawód przez pięć lat sekretarował redaktorowi „Wiadomości”, Mieczysławowi Grydzewskiemu, podobnie jak to kiedyś przed wojną robił poeta Władysław Broniewski, i drukował wtedy drobne teksty w „Wiadomościach”. Było to pewne nostalgiczne odniesienie do przedwojennych „Wiadomości Literackich” tegoż redaktora, na których wychował się on sam, jak i starsi, i młodszy z jego pokolenia. Ale dopiero po latach, gdy uregulowane życie zawodowe i osobiste nie wymagało już od niego nieustannego poświęcenia mu czasu, pomyślał o tym, by poważnie zacząć pisać.

Od 12 lat ukazują się w polskiej prasie w Londynie jego artykuły zawsze trafiające w jakąś aktualność, zawsze krótkie, zawsze profesjonalnie przestrzegające jednakowego rozmiaru, co od razu wyróżnia je w manierze polskiego rozgadania. Wybór tych szkiców ukazał się już w dwóch książkach: „Inter Alia” (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1990) i „Intra Muros” (Fundacja Monumentis Patriae, Kraków 1993).

Muszkowski nie ma kłopotu ze znalezieniem tematów, gdyż interesuje go wszystko co ważne dzieje się na świecie. Długie lata lektury, znajomość zagadnień międzynarodowych i szerokie stosunki dawne i obecne wśród Polaków i cudzoziemców, pozwalają mu swobodnie poruszać się wśród spraw wielkich i małych, tych których jesteśmy świadkami i takich, o których mało kto wie czy pamięta, a które na pamięć zasługują. Jakieś wydarzenie, nowa książka, czyjaś wypowiedź, własne wspomnienie stają się zapłonem do komentarzy, które dają im należyte tło, wywodzą ich rodowód i rangę.

I tak w licznych rocznicach lat 90-tych doszukuje się testamentów historii; Wilno z wojennych wspomnień zestawia z tym, które odwiedził w 1992 r.; obecne podróże międzyplanetarne przypominają mu pytanie, jakie w XVIII wieku zadało pismo „Mercure de France” i które dziś jeszcze bardziej zyskało na aktualności: „Czy postęp nauk i sztuki przyczynił się do zepsucia czy do poprawy obyczajów?” Ilustracją do rozważań o współczesnym kryzysie demokracji jest dla

niego cytata znanego pisarza E.M. Forstera: „Podwójny wiwat dla demokracji: jeden dlatego, że pozwala na różnorodność, drugi dlatego, że dopuszcza krytykę”. Wizyta polskiego polityka w Londynie, wypowiedź angielskiego autora, występ rosyjskiego generała w angielskiej telewizji - to okazje, by aktualności nadać szersze znaczenie.

Z natury, wychowania i doświadczenia życiowego, Muszkowski ma na wszystko spojrzenie Europejczyka, jednocześnie stawiając Polskę w centrum swych zainteresowań, ale robi to trzeźwo, bez częstych u nas emocji i bez ulegania partykularyzmowi jakiegokolwiek barwy.

Nie potrafi jednak wstrzymać się od cieplejszych tonów, gdy mówi o kulturze, w której najbliższą mu jest literatura. Ma też swoich bohaterów, o których wie dużo i dobrze. Należy do nich Edward Raczynski, ambasador, później Prezydent RP na uchodźstwie, z którym przez wiele miesięcy przeprowadzał wywiady na temat jego kariery i towarzyszącej jej europejskiej historii. Związany był też z innym świadkiem historii, malarzem i pisarzem Józefem Czapskim i może najbliżej z wielkim redaktorem stulecia, Mieczysławem Grydzewskim.

O politycznych sprawach Muszkowski potrafi mówić z dużą przenikliwością i zaangażowaniem w słuszne, według niego, koncepcje, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że najlepiej czuje się w bardziej osobistych, bardziej literackich szkicach, takich jak piękny „Czekając na pociąg...”. Może następnym przystankiem stanie się książka im poświęcona.

Stefania Kossowska

Notatka od autora

Zbiór niniejszy zawiera artykuły i felietony drukowane w „Dzienniku Polskim”, „Tygodniu Polskim” i „Orle Białym” w Wielkiej Brytanii. Autor składa podziękowanie tym wydawnictwom za zgodę na umieszczenie ich w książce.

RYNEK RYNKOWI NIE RÓWNY

Emanypacja ekonomiczno-gospodarcza to trosbę tak jak w swoim czasie emanypacja kobiet. Nikt nie wiedział co z tego może wynikać ani do czego może to doprowadzić, dziś wiemy o tym dużo więcej i wiemy też z doświadczenia, że i o jedno i o drugie trzeba walczyć. Dziś wiemy też - już z doświadczenia na własnej skórze - że kobiety wygrały i nie ma wątpliwości, że władzy niż im się to kiedykolwiek wydawało możliwe. Pomoczą kobiecie nie tylko deszcz w Polsce do władzy, po raz pierwszy w jej dziejach, ale walczy też o polską emanypację ekonomiczno-gospodarczą, więc wygrała już pierwszą potyczkę. Atrakcja tej pierwszej doda powabu następnym. Ale nie samym powabem żyje naród.

FELIETONY

Europejski wspólny rynek wywołuje nad Wisłą silne emocje, odwrotnie do tych jakie panują nad Taurią i niewspólniczą z tymi jakimi operują nad Sekwaną. Nie można ich też potównywać z opiniami przeważającymi nad Szprową, ani tym bardziej poddawać się wizjom optymistycznego zakończenia kontraktacji taryfowych nad Potomakiem. Te ostatnie dotyczą tego co wspólny rynek zdoła sprzedać Stanom Zjednoczonym i za ile. Emocje polskie to właśnie też sprawa powabu. Z przyczyn, które mają wiele źródeł, niektórzy w Polsce widzą we wspólnym rynku gospodarcze wyhawienie i nie kończące się dobowdziejstwa. Głównym źródłem tej euforii wydaje się niekoniecznie bezbłędne przekonania, że wspólny rynek jest głęboko chłonny. A trzecim źródłem jest bezwzględna świadomość, że bez udziału Polski wspólny rynek europejski będzie jak bez nogi. Gospodarczo i politycznie. Nad wszystkimi tymi źródłami stoi studium nieporozumienia. Z niego to wyrzgaćz sztery włości.

Wspólny rynek europejski (Europejska Wspólnota Gospodarcza) urodził się w Rzymie w roku 1966, powstał jako organizacja w roku 1958 i był od razu niezbyt sprecyzowaną unią nieograniczonej wolności gospodarczej pomiędzy członkami, z ograniczonymi przywilejami politycznymi tych samych członków. Niebezpieczny to koncept jeśli się zwazy, że już wtedy myśliło o tym wspólnym rynku jako o prekursorze jakiejś, bliżej nieokreślonej unii europejskiej. (Dzisiaj tzw.

FELLETTONY

RYNEK RYNKOWI NIE RÓWNY

Emancypacja ekonomiczno-gospodarcza to trochę tak jak w swoim czasie emancypacja kobiet. Nikt nie wiedział co z tego może wyniknąć ani do czego może to doprowadzić. Dziś wiemy o tym dużo więcej i wiemy też z doświadczenia, że i o jedno i o drugie trzeba walczyć. Dziś wiemy też - już z doświadczeń na własnej skórze - że kobiety wygrały i mają w rękach dużo więcej władzy niż im się to kiedykolwiek wydawało możliwe. Ponieważ kobieta nie tylko doszła w Polsce do władzy, po raz pierwszy w jej dziejach, ale walczy też o polską emancypację ekonomiczno-gospodarczą, więc wygrała już pierwszą potyczkę. Atrakcja tej pierwszej doda powabu następnym. Ale nie samym powabem żyje naród.

Europejski wspólny rynek wywołuje nad Wisłą silne emocje, odwrotne do tych jakie panują nad Tamizą i niewspółmierne z tymi jakimi operują nad Sekwaną. Nie można ich też porównywać z opiniami przeważającymi nad Szprewą, ani tym bardziej poddawać się wizjom optymistycznego zakończenia pertraktacji taryfowych nad Potomakiem. Te ostatnie dotyczą tego co wspólny rynek zdoła sprzedać Stanom Zjednoczonym i za ile. Emocje polskie to właśnie też sprawa powabu. Z przyczyn, które mają wiele źródeł, niektórzy w Polsce widzą we wspólnym rynku gospodarcze wybawienie i nie kończące się dobrodziejstwa. Głównym źródłem tej euforii wydaje się niekoniecznie bezbłędne przekonanie, że wspólny rynek jest głęboko chłonny. A trzecim źródłem jest bezwzględna świadomość, że bez udziału Polski wspólny rynek europejski będzie jak bez nogi. Gospodarczo i politycznie. Nad wszystkimi tymi źródłami stoi studnia nieporozumienia. Z niej to wyciągać należy wnioski.

Wspólny rynek europejski (Europejska Wspólnota Gospodarcza) urodził się w Rzymie w roku 1966, powstał jako organizacja w roku 1958 i był od razu niezbyt sprecyzowaną unią nieograniczonej wolności gospodarczej pomiędzy członkami, z ograniczonymi przywilejami politycznymi tych samych członków. Niebezpieczny to koncept jeśli się zważy, że już wtedy myślano o tym wspólnym rynku jako o prekursorze jakiejś, bliżej nieokreślonej unii europejskiej. (Dziś tzw.

Maastricht jest tej unii bardzo wątpliwym i jeszcze nie skonsumowanym produktem, ale wróćmy do rynku). Dlaczego unia była niezbyt sprecyzowana? Dlatego, że każdy z państw-członków widział w niej inne dla siebie korzyści i inne straty. Z drugiej strony idea importu i eksportu bez taryf i nadrzędnej ani państwowej „regulacji ruchu” i piętrzących się przepisów prawnych, była atrakcyjna dla wszystkich. Górowała jednak i dalej góruje niepisana i nie objęta żadnym statutem nadzieja, że wspólny rynek zapewni wspólną protekcję przeciwko konkurentom z innych krajów Europy i poza nią. Czyli, że jeśli wszystkie kraje Europy byłyby jego członkami oryginalna idea ekskluzywności przestałaby istnieć. Nie przeczą temu, a raczej to potwierdzają przemówienia, oświadczenia i slogany wielu zachodnich polityków i mężów stanu, oficjalnie i nieoficjalnie wizytujących Warszawę, Pragę i Budapeszt i obiecując szybko zaproszenie do klubu. Ale czy rzeczywiście, po tylu latach doświadczeń możemy obietnice brać na serio?

Okrzyk „Zachód musi dać rynki”, dosłyszalny gołym uchem w Warszawie, jest tej euforii wyrazem. Jeśli przyjmiemy zasadę, że nikt nam nic dać nie musi, i że o rynki, tak jak o wszystko w życiu, trzeba walczyć, znajdziemy się już o krok od poznania mentalności zachodniej. A jeśli jednocześnie przyjmiemy drugą zasadę, że Zachód - a kraje wspólnego rynku specjalnie - składa się z kupców, którzy żyją z handlu, będziemy już bliżej sedna sprawy: po pierwsze do restrykcji handlowych trzeba się przystosować, a nie starać się je obalać, a po drugie, jeśli i towar będzie potrzebny kupcowi, kupiec nie tylko kupi ale i zapłaci. Musi on jednak wiedzieć o istnieniu towaru, wiedzieć gdzie go sprzedać i z kolei mieć nabywcę. Więc producent musi dobrze zbadać teren. Do tego służyć powinien głęboki wywiad gospodarczy. Nie prowadzony przez oficjalne przedstawicielstwa, ale przez obiekty przemysłowe i handlowe, banki lub instytucje prywatne wyszkolone w tym zawodzie. Tylko wtedy restrykcje wspólnego rynku nie wejdą w grę bo możliwość zarobku przewyżczy wszystkie przeszkody. Taka jest natura zachodniego handlu i na tym polega zrozumienie przedsiębiorczości w wolnym świecie.

Odchodząc dalej od euforii do wniosków realnych, w późnych latach pięćdziesiątych Francuzi uznali, że już nadszedł czas żeby zacząć znowu dominować nad Europą. Niemcy były jeszcze wówczas skromniutkie, armie alianckie miały tam swoje rejony, Europa drżała ze strachu na samą myśl o sowieckich atomówkach. Europejskie

dreszcze przechodziły w panikę po drugiej stronie Atlantyku. Ponieważ Waszyngton wiedział ile kosztuje kryzys ekonomiczny w Europie, wiedział też o ile więcej będzie kosztowała jej obrona w razie sowieckiego ataku. Dał więc przede wszystkim Francji, ale też i Niemcom i Wielkiej Brytanii, odpowiednie zasoby dolarowe aby przyczynili się do tej obrony w sposób bardziej praktyczny i efektywny. Jednocześnie uznali za stosowne obiecać dalsze kredyty w razie europejskiej konsolidacji, żeby w razie ataku ze wschodu, Europa miała gotowe czołgi i samoloty i żeby była jako tako samowystarczalna. Kiedy groźba ze Wschodu zmalała (czy dalej może jesteśmy naiwni?...), został wspólny rynek, już w zasadzie tylko handlowy, choć jak się później okazało podminowany politycznie. Ale jakże zmieniła się jego struktura? Pierw Francuzi chcieli grać rolę ojca i matki europejskiej rodziny, ale nie zwrócili uwagi na to, że w ciągu następnych 20 lat Niemcy zdali maturę, zdobyli parę nowych doktoratów i rozejrzawszy się po sąsiadach, szybko doszli do wniosku, że jeśli chodzi o gospodarkę nie mają konkurentów ani w Paryżu, ani w Rzymie, ani w Londynie. Spokojnie więc robili dalej swoje i dziś nie Francuzi dominują gospodarczo nad wspólnym rynkiem a Niemcy. I to właśnie oni nie tylko grają pierwsze skrzypce w tej rodzinie, ale są arbitrami we wszystkich sporach i kłótniach, a nade wszystko dominują marką niemiecką.

Proces emancypacji ekonomicznej w Polsce stawia ciągle jeszcze pierwsze kroki i proces ten wymaga pomocy. Ale za parę lat, kiedy ustalone zostaną plus minus szlaki polskiej gospodarki ze światem, wielkim znakiem zapytania jest czy Polska będzie wolniejsza i mocniejsza jako słaby członek wspólnego rynku, czy jako mocny niezależny konkurent poza wspólnym rynkiem? Czy te restrykcje wspólnego rynku w stosunku do nie-członków, o których mówią w Warszawie, Pradze i Budapeszcie, nie stałoby się równie uciążliwe dla przyszłych członków, których wachlarz gospodarczy i siła waluty musiałaby z konieczności ustawić na końcu ogonka proporcjonalnie racjonowanych „dobrodziejstw”? A więc co do manny z belgijskiego nieba, to ma ona powab ale tak jak wiele domniemyanych atrakcji, cechuje ją wysoki pułap złudzeń.

„Tydzień Polski”, Londyn 15 maja, 1993.

LABORATORIUM LITERACKIE
MARII DANILEWICZ ZIELIŃSKIEJ

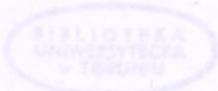
Rozproszeni po szerokim świecie pisarze polscy - jak nigdy dotąd w dziejach - spotykają się w druku albo w Polsce albo w „Dzienniku” czy „Tygodniu Polskim” czy w „Orle Białym” w Anglii, „Kulturze” we Francji czy „Nowym Dzienniku Polskim” w Stanach Zjednoczonych. Są i inne pisma polskie ale te rzadko, jak się wydaje, wykraczają poza lokalne ramy. A więc platforma małej pojemności i stąd wie się o nich mało. Londyński „monopol” jako centrum emigracyjnej literatury i publicystyki chodzi koło swego podwórka, skarżąc się na zamknięte brakiem środków źródła wydawnicze. Smak i zainteresowania czytelników - tych jeszcze czytających - też się zmieniają. Są dziś coraz bardziej dorywcze, na codzienne, szybko trawienne spożycie, bardziej praktyczne i rzeczowe, politycznie plotkarskie, a też jeszcze niekiedy rocznicowo-wspominkarskie. Na badania i doświadczenia literackie, na wydobywanie coraz to nowych tajemnic z wielkich i mniejszych dzieł literackich niewiele czasu. Zostawia się je tym którzy mają specjalne w tym kierunku talenty i dla których praca naukowa, praca zwykła, żmudna, trudna i nie przynosząca natychmiastowych laurów, ale za to odkrywczą, jest sama w sobie nagrodą. Jest dla niej dzisiaj już duże pole do popisu w Polsce, ale na emigracji słychać o niej mało. Nie jest to praca na codzien ale taka która zostaje i z której powstaje nauka o literaturze.

W przedwojennych warszawskich „Wiadomościach Literackich” istniała rubryka pt. „W pracowniach pisarzy polskich”, w której zarówno pisarze często drukowani jak i ci którzy pisywali rzadko, dzielili się z czytelnikami informacjami o tym co mają na warsztacie, jakie mają projekty na przyszłość i co odłożyli do szuflady. Myślę, że nie byłoby od rzeczy wznowić w jakimś polskim piśmie podobną rubrykę. Po pierwsze zainteresuje to oczywiście zawsze ciekawych konkurencji pisarzy i publicystów, a po drugie pokaże czytelnikom, że pisarze - może już nie emigracyjni, ale polscy piszący za granicą - jeszcze żyją, piszą i czasem nawet wydają. Dlatego, w nadziei, że projekt dojrzeje, na początek zacytuję dorobek jednego tylko roku (1992), mieszkającej w dalekiej Portugalii znakomitej pisarki Marii Danilewicz Ziełińskiej.

Oto lista jej prac: 1. „Szkice o literaturze emigracyjnej” (Zakład Narodowy im. Ossolińskich), pierwsze jawne wydanie książki ogłoszo-

nej pierwotnie w r. 1978 przez Instytut Literacki w Bibliotece paryskiej „Kultury”, zaktualizowane dodatkiem za lata 1977-1985 wydanym oddzielnie w „Zeszytach Edukacji Narodowej”, Warszawa, KOS, 1987. Warto dodać, że paryskie wydanie „Szkiców” z r. 1978 miało trzy podziemne nieautoryzowane wydania krajowe (Toruń, Wyd. „To”, 1987, uzupełnione bez wiedzy autorki portretami pisarzy emigracyjnych; „Universitas”, Wrocław, 1981 i Krakowskie Tow. Wydawnicze KTW, ok. 1988). 2. „Próby przywołań”, szkice literackie. Wybór, opracowanie i przedmowa Marek Zieliński, Warszawa, Biblioteka „Więzi”, 1992. Szkice te przywołują Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego, Józefa Konrada, Wacława Berenta, Bronisława Malinowskiego, Tymona Zaborowskiego, Stanisława Noakowskiego. 3. Nadto artykuły i eseje w następujących pracach zbiorowych i czasopismach: „Orzech trudny do zgryzienia. Prolegomena do wszelkiej przyszłej periodyzacji literatury zwanej emigracyjną” („Teksty drugie” Nr 1, Polska Akademia Nauk, 1990); „O literackim środowisku londyńskim” (praca zbiorowa pt. „Między Polską a światem”); „Nieznany dramat romantyczny Aleksandra Przeździeckiego *Don Sebastien de Portugal*”, „Ad vocem”, dodatek do Konferencji „Twórczość dramatyczna i teatralna polskiej emigracji” (red. Dobrochna Ratajczak, Poznań); „Biblioteka Polish University College” („Symposium w 50-tą rocznicę powołania w Wielkiej Brytanii Rady Akademickiej Studiów Technicznych”, red. Bolesław Orłowski); „Mickiewicziana i Album Moszyńskiego” („Rocznik Tow. Literackiego im. Adama Mickiewicza” XXIV); „Atanazy Racyński jako historyk sztuki portugalskiej”. W księdze zbiorowej pt. „Fermentum massae mundi. Jackowi Woźniakowskiemu w 70-tą rocznicę urodzin”, Warszawa, 1992), - polska wersja artykułu w języku portugalskim w „Belas Artes”; „Lekcja nawrotów historii”. (Dotyczy „Opowieści biograficznych” Wacława Berenta w opracowaniu Włodzimierza Boleckiego, „Zeszyty Historyczne”, Instytut Literacki, Paryż, 1992).

Dr Maria Danilewicz Zielińska jest nie tylko nestorką pisarzy polskich zagranicą ale także nestorką polskich bibliotekarzy. Przez wiele lat była kierowniczką Biblioteki Polskiej w Londynie kontynuując swoje przedwojenne doświadczenia w Bibliotekach Narodowej i Uniwersyteckiej w Warszawie. Nic więc dziwnego, że jedną z jej pierwszych pozycji pisarskich na obczyźnie była wydana w Londynie w r. 1942, praca „Losy bibliotek polskich”, w serii „Nauka i Wycho-



wanie”, wydawnictwo Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych, zeszyt 3. Tak kończy ona tom o historii bibliotek polskich i ich tragicznych losach wojennych: *Lepsze jutro bibliotek polskich - po zwycięstwie Sprzymierzonych - rozpocząć się musi okresem intensywnych prac z zakresu rewindykacji zagrabionego mienia, rekonstrukcji i racjonalnej organizacji zbiorów. Jakże wiele - w sensie już nie tylko dobra Polski ale i przyszłej wolnej Europy - zależy od szybkiego położenia mocnych fundamentów i wytyczenia właściwych dróg odbudowy! Warsztat swój oddała ona bez reszty tej odbudowie.*

„Tydzień Polski”, Londyn, 22 maja, 1993.

ZMIERZCH FEDERACJI

Historia nie wydłuża pamięci a pogłębia świadomość zapomnienia. Pamięć jest więc krótka i należy jej przypominać to czego woli nie pamiętać, bo albo wstydzi się swoich błędów albo liczy na to, że następne pokolenia ich sobie nie przypomną. Ale jest dużo gorzej kiedy następne pokolenia, mimo przypomnień historyków, polityków (jeśli im to jest w danym momencie wygodne) i innych mniej lub więcej tendencyjnych obserwatorów powtarzają z uporem błędy swoich poprzedników. tak się dzieje, bo w gruncie rzeczy w życiu narodów i społeczeństw wachlarz drastycznych i trwałych rozwiązań jest małej rozpiętości. Jeśli nawet przy największej dawce dobrej woli żaden kompromis nie jest do przyjęcia, musi dojść do rozlewu krwi, który sam w sobie też żadnym rozwiązaniem nie jest. Platoniczna dawka dobrej woli jako odzew narodów postronnych zwykle sytuację pogarsza, bo żadna ze stron walczących nie może pojąć, że cele humanitarne postronnych nie muszą kryć w sobie innych pobudek.

W wypadku byłej federacji Jugosłowiańskiej, to że postronni nie są jednego zdania ani jednej myśli jak jej pomóc wyjść z kryzysu, dolewa oliwy do ognia nieporozumień. A niedawny plan utworzenia „bezpiecznych stref” dla Muzułmanów otoczonych Serbami, wydaje się znakomitą receptą na anarchię, nie mówiąc już o tym, że pomysł przypomina do złudzenia inne znane nam dobrze plany obozów odosobnienia. Federacja powstała jako państwo w roku 1918, nazwana Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Nie obyło się już wtedy

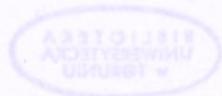
bez głębokich sprzeczności narodowościowych i etnicznych. Rok 1921, a z nim nowa konstytucja, wprowadził centralistyczny serbski system rządów. Król Aleksander I, autor zamachu stanu w roku 1929, wprowadził rządy twardej ręki i w roku 1931 zmienił nazwę państwa na Jugosławię. Po zamordowaniu króla w roku 1934, Jugosławię zbliżyła się do osi państw faszystowskich. Rozpad Federacji zaczął się chyba w roku 1941, kiedy Niemcy utworzyli Niezależne Państwo Chorwacji. Był to też początek walk bratobójczych, walk politycznych i walk etnicznych. Historia Jugosławii w czasie drugiej wojny światowej obfituje w przykłady krwawych rozgrywek narodowościowych, przy jednoczesnym szeroko zakrojonym ruchu oporu przeciwko Niemcom i wroście wpływów komunistycznych. Po wojnie nie ustały ani na chwilę konflikty etniczne i narodowościowe, ale odbudowa zniszczonej wojną Europy Zachodniej i zagrożenie sowieckie odwróciły czasowo uwagę w inną stronę.

Nie ma chyba żadnej wątpliwości, że rozkład Związku Sowieckiego wpłynął na gwałtowną zmianę temperatury etnicznej w krajach komunistycznych, nawet takich jak Jugosławię gdzie komunizm miał charakter stosunkowo liberalny i skłaniał się do bliskich stosunków z Zachodem. Ale nie wyjaśnia to w najmniejszym stopniu dzisiejszej sytuacji, bo wydaje się, że domniemane rozwiązanie ostateczne, czyli rozlew braterskiej krwi, jest rozwiązaniem nie poprzedzonym żadnym wysiłkiem pertraktacji zmierzających do kompromisu. Jak się raz zaczniesz strzelać, pertraktacje z bronią w ręku zwykle kończą się fiaskiem bo już nie ma wiele do stracenia.

Cała sprawa płonącej federacji Jugosławii musi narzucać nowe refleksje o istocie federacyjnej koncepcji. Federacja jako pojęcie abstrakcyjne ma swój wdzięk i może być atrakcyjna. Budzi w wyobraźni obraz małych państw czy narodów łączących się po to, żeby być większe, bogatsze, lepiej uzbrojone, w sumie ważniejsze i mające wpływy w świecie, równe państwom z którymi inne narody muszą się liczyć. Ale wielkie abstrakcyjne idee nie rozwiązują praktycznych problemów, a je komplikują. Takich zwykłych codziennych problemów jak język, religia, szkolnictwo, prawo... A życie składa się z problemów praktycznych. Zbliżyliśmy się tu w Wielkiej Brytanii do traktatu Maastricht, pierwszego kroku na drodze na europejskiej federacji państw, a właściwie narodów tak różnych, że przypomnienie dzisiejszego rozlewu krwi w dawnej Jugosławii może być jedynie ilustracją sytuacji, w której jeśli co, to różnice były mniejsze... I co

z tego wynika? Rzecz prosta, żadne to porównanie, ale mówimy o koncepcji. A więc: państwo związkowe, w przeciwieństwie do konfederacji, mające własne organy federalne, którym poszczególne państwa federacji przekazują część praw suwerennych. To już nie abstrakcja, to rzeczywistość. Bo właśnie o nic innego a o tę suwerenność chodzi. Jugosławia była federacją państw, które po latach nieustannych konfliktów, w praktycznym codziennym życiu mieszanym społeczeństw, nie chcą dziś już oddać żadnej części swojej suwerenności. Ani nie chcą też przyznać innym, sąsiadom, prawa do suwerenności. Czego nie wiedzą, to tego, że suwerenności ani dać ani odebrać nie można. Wynika ona z postawy narodu. Jeśli chodzi o granice gdzie się ta suwerenność ma zaczynać, a gdzie kończyć, to doświadczenia (nawet nasze własne polskie) wskazują na to że określanie granic etnicznych palcem na mapie też w końcu nie daje żadnej gwarancji wieczystego pokoju. Po próbach federacji wolą te państwa pozostać małe i nieznaczne ryzykując nawet bezbronność. Jak się okazuje rzekoma słabość geograficznie małych państw też może być mitem. W kończącym się wieku XX-tym inne niebezpieczeństwa grożą małym i mniejszym państwom i narodom. Nie miecz ani działo, a raczej brak własnej koncepcji.

W londyńskim „Spectatorze” z 17 kwietnia ukazała się świetna recenzja Adama Zamoyskiego z książki W. H. Zawadzkiego „A Man Of Honour: Adam Czartoryski as a Statesman of Russia and Poland, 1795-1831” (Oxford University Press). Tytuł wyjaśnia temat, ale chcę przytoczyć fragment recenzji, która pasuje jak ulał do koncepcji federacji (przekład K.M.): *Ci których interesuje przyszłość Europy powinni tę książkę przeczytać. Nie narodowy bigot, Książę Adam potrafił połączyć swój ognisty patriotyzm ze służbą dla kraju, który unicestwił jego własny i walczyć „dla dobra wszystkich narodów”. Był zdecydowanie przeciwny planowi Napoleona federacji europejskiej pod francuską hegemonią piętnującą narodowe aspiracje. Jego własny plan polegał na „Lidze Europejskiej”, której podstawą miały być trzy zasady: słuszne państwowe granice, wolny dostęp dla handlu i szerzenie oświaty. Jedyną potrzebną instytucją miała być rada złożona z przedstawicieli wszystkich państw działających jako forum dla załatwiania sporów. Nie jest dziwne, że był często cytowany jako ojciec duchowy Woodrowa Wilsona... Kongres Wiedeński jest wysoce pożyteczną lekcją tego co może się stać kiedy zarozumiali i niecierpliwi panowie w zakietach zaczynają igrzać z wielkimi ideami [...].*



Wystarczyło cofnąć się zaledwie o 150 lat żeby z zapomnienia historii wyczytać i znaną już koncepcję i jej praktyczny wyraz.

„Tydzień Polski”, Londyn, 19 czerwca, 1993.

KOALICJA OD PRZODU I TYŁU

Idealem sztuki rządzenia państwem - w oczach rządzących - jest sytuacja, w której obywatel płaci podatki i siedzi cicho. Idealem sztuki rządzenia państwem - w oczach płacących podatki - jest sytuacja, w której podatki przynoszą korzyści i państwu i płacącym (tym ostatnim więcej). Jeśli tak się nie dzieje, obywatel nie będzie siedział cicho. Jeśli dodać do tego istniejące pomiędzy tymi dwoma grupami wielkie nieporozumienie naszych czasów, zwane demokracją, następuje polityczna konfrontacja. U kolebki demokracji mówiono - słusznie - że bez takiej konfrontacji, czyli debaty, demokracja nie jest demokracją. Ale w tamtych czasach wymagano, żeby poziom tej debaty był jej godny i bardzo starannie wybierano tych, którym dawano przywilej brania w niej udziału. Przywilej ten zdobywali nie tylko mędrzy, nie tylko filozofowie i nie tylko tacy, których poglądy były wygodne wyborcom. Przywilej ten nadawano też tym, których poglądy jakkolwiek przeciwne od ogólnie przyjętych, miały w sobie treść wartą dyskusji. Nawet wtedy, kiedy nie miały one wiele poparcia wśród wyborców. Jednym z najważniejszych elementów wyboru mówców do debaty było zaufanie do ich motywów. Rzecz prosta, wszystkim chodziło o zdobycie władzy, ale jeśli poza wymaganymi warunkami szlachetnych motywów służenia państwu, wkradło się podejrzenie osobistej ambicji czy osobistego interesu, zupełnie nie poparte żadnym istotnym gestem altruizmu, zaufanie zniknęło w pierwszych słowach drętwej debaty. Wybrani debatujący mają na ogół wyrafinowany słuch i w słowach słyszą każdy ton fałszu, choć rzadko swój własny. Czego czasem nie dosłyszczą to tego, że płacący podatki usłyszą każdy ton fałszu równie wyraźnie. Główną bolączką naszych czasów jest brak zaufania do motywów osób wybranych do debaty, do samej debaty, a zatem i do władzy. Nie tylko w Polsce.

Jak wszystko w życiu sprawa zaufania ma dwie strony. Nie tylko płatnicy stracili zaufanie do wybranych, ale wybrani - władza - też

stracili zaufanie do wybierających. Karol Zbyszewski dając swojej świetnej książce szeroko dziś znany tytuł „Niemcewicz od przodu i tyłu”, wzbogacił język polski o może rubaszne ale celne określenie dwustronności każdego tematu i każdego zagadnienia. Tej dwustronności nie należy się bać. Przeciwnie, należy przyjrzeć się jej otwarcie, nic nie ukrywając, bo i jedna i druga strona medalu, jeśli patrzeć na nie jednocześnie, uchylą rąbka prawdy. Porównanie z tytułem Zbyszewskiego przypomniało mi to, co czytam w prasie polskiej i nie polskiej o pojęciu koalicji w zastosowaniu do partii politycznych. Wiadomo, że w Polsce ani dawnej ani dzisiejszej, koalicja nie cieszyła się ani powodzeniem, ani nie była dla żadnej partii dość atrakcyjna. Jej koncepcja teoretyczna byłaby nawet może do przyjęcia, ale jej praktyczne wykonanie zwykle napotykało na olbrzymie trudności. Czasem trudności nie do przewyżczenia. Cóż jej brakuje? Chyba autorytetu. Autorytetu ponadpartyjnego, autorytetu władzy z wyboru, autorytetu moralnego i... może najważniejszego, autorytetu odwagi cywilnej. Lech Wałęsa przyjrzał się ostatniej koalicji rządowej w Polsce z przodu i z tyłu i widocznie uznał, że nie ma ona w sobie żadnych cech przetrwania ani nie przedstawia żadnej atrakcji dla płacących podatki. Uznał też pewnie, że koalicja bez autorytetu to jak kogut bez głowy. Toteż, gdy Sejm jednym głosem wyraził brak zaufania rządowi, postanowił rozwiązać parlament i zamiast powierzyć raz jeszcze partiom predestynowanym do przejęcia władzy wykonawczej, formowanie koalicji i ryzykować fiasko, uderzył w zagadnienie od tyłu, tworząc *ad hoc* koalicję „odgórną” (żeby użyć popularnego w Polsce dziś wyrażenia), która pójdzie do wyborów we wrześniu mając za plecami autorytet prezydenta, wybranego większością głosów w głosowaniu powszechnym.

Sprawy zaufania do władzy nie załatwią wybory, ani nie załatwi taka czy inna koalicja, choć ta ostatnia, prezydencka BBWR, ma pewnie większe podstawy by się zaufania wyborców spodziewać. Nie załatwią jej zachodnie rynki, nie załatwią jej dolarowe pożyczki, ani żadna inicjatywa radykalnych zmian prawnych. I nie załatwi jej czas dopóki okres stabilizacji nie będzie dość długi by z niemowlęctwa wejść w wiek męski. Klucz zaufania leży głęboko ukryty w samych wyborcach, w tych płacących podatki i w tych, którzy podatków nie płacą bo nie mają z czego. A użyć tego klucza można, głosując i wyrzekając się jednocześnie tego wszystkiego co ten okres czasu przedłuża. Czasem trzeba klucza użyć na wyrost. Czasem trzeba

wspaniałomyślnie zrobić gest zaufania. Można wygrać albo przegrać. Należy próbować. Jeśli istnieje coś w rodzaju katechizmu wyborcy, artykuł pierwszy może mówić, że głos dany każdemu wyborcy jest darem państwa dla wybranych do debaty. Artykuł drugi może głosić, że dyscyplina debaty jest nie tylko kurtuazją wobec innych wybranych, ale też gwarancją kontynuacji godnej debaty. A artykuł trzeci nie może pominąć prawdy, że kryzys zaufania dotyczy tak samo wyborców do władzy jak i władzy do wyborców. Na artykuł czwarty znajdzie się miejsce w katechizmie wyborcy po wrześniowych wyborach.

„Tydzień Polski”, Londyn, 10 lipca 1993.

LEBIODKA

Po to, żeby zrozumieć sens tej opowieści trzeba pamiętać, że Lebiodka od wczesnych lat XVIII wieku majątek i siedziba polskiej rodziny szlacheckiej Iwanowskich, geograficznie należała do ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Chyba pierwszym śladem istnienia Lebiodki, folwarku o poprzedniej nazwie Dworzec, jest zapis z 7 października 1510 roku kiedy to majątek ten otrzymał przywilej Zygmunta I jego dworzanin Iwaszko Ryło-Bykowski. Przechodził on z syna na syna, aż we wczesnych latach XVII wieku przeszedł na jedynaczkę, córkę Jerzego Andrzejowicza Ryło-Bykowskiego, która wyszła za mąż za Stanisława Iwanowskiego, urodzonego w roku 1819. Tak przez to małżeństwo Lebiodka stała się kolebką dwóch pokoleń rodziny Iwanowskich. Jej dokładne położenie to gmina Stare Wasiliszki, powiat lidzki, (pierw gubernia wileńska) potem województwo wileńskie, państwo polskie. Obecnie Lebiodka znajduje się w obrębie Republiki Białoruskiej. Jedynym spadkobiercą Stanisława był Leonard Iwanowski, który po śmierci matki stał się właścicielem Lebiodki. Leonard, żonaty z Wacławą Jadwigą Reichel (pochodzenia niemieckiego), po wielu podróżach zagranicznych osiadł w Lebiodce już na zawsze w roku 1915. W latach 1876-1887, mieli Iwanowscy pięcioro dzieci. Byli to Jerzy (1876), Wacław (1880), Tadeusz (1882), Helena i Stanisław (1887). Byli oni wszyscy Polakami. Ale w żylach Wacława i Tadeusza (i może częściowo Stanisława), pokrzyżowały się w decydujących momentach ich życia narodowe naczynia krwionośne tak

jakby historyczne powiązania trzech różnych szczepów Wielkiego Księstwa Litewskiego odżyły w nich samych. Wszyscy trzej brali czynny udział w rządzie Litwy Środkowej, gdzie skupiały się wszystkie trzy narodowe odłamy: polski, litewski i białoruski, w roku 1920. (Jerzy brał też udział w pracach Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, a w latach 1930-1935 był senatorem R. P. z ramienia BBWR. Służył w wojsku polskim na Zachodzie jako podpułkownik i zmarł w Penley w roku 1965). Od tego momentu Waclaw występował jako rzecznik Białorusi, a Tadeusz jako rzecznik Litwy. Jesienią 1922 roku Waclaw Iwanowski, inżynier chemik z zawodu, wraca z Wilna do Warszawy, gdzie obejmuje katedrę technologii fermentacji produktów spożywczych na Politechnice Warszawskiej. Tadeusz, już od roku 1919 w Kownie, obejmuje katedrę na wydziale nauk matematyczno-przyrodniczych na uniwersytecie kowieńskim, którego był założycielem. Bracia spotkali się w Wilnie w roku 1940: obaj byli profesorami na litewskim uniwersytecie wileńskim. Nie było pomiędzy nimi różnicy poglądów co do spraw Białorusi i Litwy.

Tak się złożyło, że od późnej jesieni 1939 roku aż do maja 1941 roku (do mego aresztowania przez NKVD), w Wilnie, profesor Waclaw Iwanowski był mi bardzo bliski. W tym czasie, choć raczej przelotnie, spotykałem profesora Tadeusza w Kownie. Okres wojny 1939-1945 był okresem wyjątkowym dla nas wszystkich, ale historia wojenna profesora Waclawa wydaje mi się bardziej wyjątkowa od innych. Jest to historia tych właśnie nieoczekiwanych pokrzyżowań naczyń krwionośnych, ale jest też litanią najgłębszych uczuć ludzkiego sumienia, zrozumienia swojej powinności i może - co najważniejsze - lojalności do tego co uważał za swoją obroną drogę życia. A nie była to droga samolubna ani wysłana różami. Jak wynika z książki Jerzego Turonka „Waclaw Iwanowski i odrodzenie Białorusi”, (Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf” i Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa, 1992), opierał on odrodzenie Białorusi jako niezależnego państwa na współpracy z wolną po wojnie Polską. Nie porzucił więc Polski, a chciał przez krzewienie narodowej kultury i oświaty, a nade wszystko narodowej świadomości białoruskiej, odtworzyć siłę tego kraju wobec obu jego mocniejszych sąsiadów, z których jeden - rosyjski - był mu obcy. Dążył więc do odbudowy Białorusi w oparciu o Polskę. Jeśli patrzeć na to z tej konfiguracji, trudno się dziwić, że jako odskocznię swoich zamierzeń wybrał moment kiedy Białoruś znalazła się czasowo pod okupacją niemiecką.

Profesor Waclaw był człowiekiem wysoce niezależnym, o wielkim poczuciu odpowiedzialności, opanowanym, małowównym i skromnym w obejściu i kurtuazyjnym w stosunkach. Wyraz jego oczu mówił więcej niż słowa. Nie był człowiekiem skrytym, ale nie wypowiadał opinii, słuchał i obserwował. Nie miał w sobie ani cienia próżności, ponieważ żyliśmy wtedy w Wilnie w atmosferze różnych działań konspiracyjnych, mówiło się niewiele, ale czuło się więcej. Należało odcyfrowywać ludzkie odruchy, należało zmieniać miejsce postoj, należało też nie zadawać pytań. Wiedziałem, że profesor brał udział w polsko-białoruskiej konspiracji, ale wiedziałem też, że „białoruscy” konspiratorzy to w większości Polacy pochodzący z dziada pradziada z Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie było w tej konspiracji, o ile wiem, żadnego udziału narodowego litewskiego. A więc kto był wróg, a kto przyjaciel? Białoruś pod łapą sowiecką od 22 lat, prawie już traciła swoją narodową wiarygodność. W roku 1939 nie zanosilo się na żadne zmiany. Dopiero pakt niemiecko-sowiecki i jego następstwo stworzyło dla konspiratorów podłoże nadziei. Wypadki następowały bardzo szybko. 24 czerwca 1941 roku wojska niemieckie wkroczyły do Wilna. Mińsk zajęły 28 czerwca, a 16 lipca zdobyły Smoleńsk. W ślad za nimi szli działacze ZWZ-AK organizując tajne ekspozytury wywiadowcze. Wielu też polskich działaczy białoruskich udało się wtedy do Mińska. Na początku lipca 1941 roku Niemcy zezwolili na reaktywowanie Białoruskiego Komitetu narodowego. Miał on przeciwdziałać „bardzo aktywnemu ruchowi litewskiemu”. Waclaw Iwanowski został przewodniczącym zarządu Komitetu.

Dopiero kiedy niemiecka ofensywa ugrzęzła w podmoskiewskich zaspach śnieżnych, w listopadzie 1941 roku, profesor Waclaw wyjechał z Wilna do Mińska. Czasy były bardzo niepewne bo nikt nie mógł wówczas przewidzieć jak zakończyć się może wojna, nie mówiąc już o tym, że zawarcie pokoju sowiecko-niemieckiego było w granicach wielu alternatyw. Jak wynika z zachowanych dokumentów Stalin gotów był zawrzeć taki pokój z Niemcami za cenę zrzeczenia się Białorusi i krajów bałtyckich. W Mińsku, Iwanowski, ciągle uważany za niepewnego przez policję wileńską, został zastępcą burmistrza miasta. Kierował on tym co było najbliższe jego sercu: oświatą i kulturą, wydawnictwami zarówno beletrystyki białoruskiej jak i podręczników szkolnych, krzewieniem świadomości narodowej, teatrem. Był w swoim żywiole nauczyciela wprowadzającego w życie praktyczne ideały ku którym dążył od lat. W okresie 1941-1943, Białoruś

a także kraje bałtyckie, przeszły wiele zmian administracyjnych, politycznych i militarnych. Jednocześnie wśród aktywnych politycznie Białorusinów rysować się zaczęły pierw różnice, a potem już wyraźne rozłamy co do przyszłości ich kraju. Były frakcje pro-niemieckie, pro-sowieckie, pro-rosyjskie, pro-litewskie i pro-polskie. Jeśli chodzi o te ostatnie, to według Turonka, podziemne władze polskie odnosiły się do spraw współpracy z Białorusią bardziej pozytywnie niż władze polskie w wojennym Londynie, na czym tak bardzo zależało Iwanowskiemu. Miał on wiele trudności osobistych na tle poróżnień i frakcji politycznych. Niemniej, w czerwcu 1942 roku, został burmistrzem Mińska. Tu dbał głównie o elementarne potrzeby ludności, kierując jednocześnie wydziałem oświaty i kultury i utrzymując kilkanaście białoruskich szkół podstawowych, muzeum etnograficzne i białoruski teatr. 22 września 1943 roku udany zamach na Wilhelma Kubego, komisarza generalnego Białorusi, zmienił gwałtownie porządek rzeczy w Mińsku i na całą Białorusi. Zaczęła się też kontrofensywa sowiecka na Zachód. Białoruski Komitet Narodowy miał przejść w ręce innych działaczy, których dążenia opierały się na ścisłej współpracy z Niemcami. Chciano Iwanowskiego usunąć z przewodnictwa komitetu. Nastąpiły oskarżenia, donosy, szantaże i ostrzeżenia. Profesor ukrywał się, zmieniał miejsce postoju, krył się, ale Mińska nie opuścił. Taka była postawa jego odwagi osobistej. Była to jego ostatnia reduca. Poległ od kuli zamachowca 6 grudnia 1943 roku na ulicy swego ukochanego Mińska.

Historia wydaje różne wyroki. Będąc w Mińsku na jesieni 1992, znany historyk białoruski prof. Adam Maldis, zapytany przeze mnie o szczegóły zamachu na profesora Wacława Iwanowskiego, a specjalnie kto?, jaka grupa?... odpowiedział:... „są różne pogłoski, różne domysły. Przeważa opinia że partyzanci.”... Ale jacy?... A Niemcy?... Jerzy Turonek sugeruje, że ręka na cynglu była białoruska, a broni dostarczyli Niemcy.

„Dziennik Polski” („Środa Literacka”), Londyn, 21 lipca, 1993.

EDWARD RACZYŃSKI NIE ŻYJE

19.12.1891-30.07.1993.

Dziękować za życie zmarłej osoby to bardzo piękny chrześcijański zwyczaj. Człowiek żyjący dalej na ziemi dziękuje człowiekowi, którego już nie ma wśród nas fizycznie, za to co w życiu dokonał i za spuściznę, którą pozostawił dziękującemu. Jeżeli pomnożyć w miliony dziękujących Polaków w Kraju i na obczyźnie i zliczyć to co dla nich w swym życiu zrobił Edward Raczyński, powstał by z tej litanii bardzo specjalny rozdział historii Polski. Z jednej strony rozdział piękny kiedy w okresie swego największego napięcia zjednoczył się naród, a z drugiej strony bolesny choć pozytywny, w latach 1945-1990, kiedy naród mimo wszystkich przeszkód na każdym kroku, ani na chwilę się nie załamał. I nie tylko że się nie załamał ale potrafił wszędzie i zawsze zabezpieczać należne Polsce prawa i przywileje wolnego i suwerennego społeczeństwa. Dziś za ten rozdział dziękujemy Edwardowi Raczyńskiemu bo to On był jego autorem tu na obczyźnie, z dala od Kraju, a jednak całym życiem i całą swoją działalnością tak Krajowi bliski.

Jego młodość była młodością romantyka, szukającego w literaturze i w historii Polski odpowiedzi na nękające go pytanie jaką ma zająć postawę w życiu i czemu swoje życie poświęcić. Odpowiedzi też szukał na to pytanie wśród swoich najbliższych, w pierwszym rzędzie u ukochanej matki, wśród swoich rówieśników, i u pisarzy dawnych i współczesnych, u mężów nauki i w starannie przechowywanych tradycjach rodzinnych. W literaturze i w historii znalazł też bodziec do głębszych poszukiwań dotyczących pozycji Polski w stosunku do państw ją otaczających i wynikających z tego stanu rzeczy. Polska była wówczas pod zaborami. Pod koniec pierwszej wojny światowej widział siebie w mundurze polskiego żołnierza. Dostał tego zaszczytu jako podchorąży i w takim charakterze, jako członek polskiej misji wojskowej w Bernie szwajcarskim, stawiał pierwsze kroki, nie wiedząc o tym jeszcze wtedy, w odradzającej się polskiej służbie zagranicznej. Były to lata 1918-1919. Wkrótce potem był już tej służby czynnym członkiem, jako młody dyplomata w Kopenhadze, potem w Londynie, następnie w centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie w Wydziale Wschodnim i wreszcie w Wydziale Ustrojów Międzynarodowych. W latach 1932-1934 jako delegat Polski przy Lidze Narodów

i na Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie, a od jesieni 1934 roku jako Ambasador Rzeczypospolitej w Londynie aż do cofnięcia uznania prawowitemu rządowi polskiemu na obczyźnie w roku 1945.

W latach wojennych, 1941-1943, kierował Ministerstwem Spraw Zagranicznych, od roku 1942 w randze ministra stanu. W imieniu Polski podpisał 3 lipca 1933 roku Konwencję o określeniu napaści i napastnika i Traktat polsko-brytyjski o wzajemnej pomocy, 25 sierpnia 1939 roku. W latach 1954-1972 był członkiem Rady Trzech w Londynie, a od roku 1979 do 1986, piastował urząd Prezydenta Rzeczypospolitej na Obczyźnie.

Edward Raczyński wrócił do literatury jako pisarz w roku 1948 publikacją w języku angielskim „The British-Polish Alliance, Its Origin and Meaning”, a następnie w roku 1953 wydając pracę pt. „Polska polityka zagraniczna w czasie drugiej wojny światowej”. Później przyszły „W sojusznicznym Londynie” (1960 i 1974) po polsku i po angielsku (1962), „Rogalin i jego mieszkańcy” (1964), „Pani Róża” (1969), „Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla” (1976), i przekłady: Omar Khayyam'a „Rubayat” (1960, w tym samym tomiku publikuje swoje własne poezje dawniejsze) i z francuskiego pamiętników Wirydianny Fiszerowej „Dzieje moje własne” (1975). Do wydawnictw należy dodać dwie pozycje, które bez udziału Edwarda Raczyńskiego nie mogłyby się były ukazać. Pierwsza to „Od Genewy do Jałty”, rozmowy radiowe Edwarda Raczyńskiego z Tadeuszem Żenczykowskim (1988), a druga to „Czas wielkich zmian”, rozmowy z niżej podpisanym (1990). Nie sposób wymienić na tym miejscu licznych artykułów w pismach polskich i brytyjskich ani licznych przemówień radiowych i publicznych w obu językach, w czasie wojny i po jej zakończeniu.

Postać wyjątkowa z różnych punktów widzenia. Powstał z najpiękniejszych kart polskiej tradycji ziemiańskiej i arystokratycznej, wychowany w cieniu zasłużonych przodków, przez matkę, Różę z Potockich primo voto Krasieńską, kształcony w kolebce nauki polskiej w Krakowie (a potem w Lipsku i w Anglii), klasyczny liberał, tolerancyjny polityk, tak długo dopóki ta tolerancja nie zagrażała bezpieczeństwu ojczyzny, o subtelnym wyczuciu artysty, posiadacz artystycznego smaku i wrodzonego stylu, uznający poszanowanie prawa jako jedyną gwarancję stosunków międzyludzkich i między państwowych, może paradoksalnie - pragmatyczny idealista, znawca ludzi, wstrzemięźliwy w sądach o nich, ale nade wszystko wierny bez

reszty Polsce. Był dyplomata, politykiem, pisarzem i tłumaczem. Autorytet jego był autorytetem człowieka, który rozumiał nie tylko swoją misję życiową, ale rozumiał też to, że misja każdego człowieka jest inna. Co jest ważne to żeby ją umieć rozpoznać zawczasu.

Tak się złożyło, że niewątpliwie najbardziej intensywnym okresem życia Edwarda Raczyńskiego były lata 1938-1986. Po roku 1986, kiedy skończyła się jego kadencja na stanowisku prezydenta R. P. na obczyźnie, życie jego nie przestało być intensywne. Ale wszystkie wysiłki szły w kierunku pomocy Krajowi i utrzymaniu polskich instytucji w Wielkiej Brytanii, stolicy emigracji. Okres 1938-1986 podzielić trzeba na dwa „pod-okresy”, choć były one równie intensywne, i równie ważne - nie tylko dla niego ale i dla wszystkich Polaków. Był on w obu tych okresach osobą kluczową. Praktycznie rzecz biorąc, można by je podzielić na „przed Jaltą” i po „Jalcie”, choć rola jego nie uległa zmianie. Zmianie uległy okoliczności i warunki polityczne tej roli. Innymi słowy, tekst był ciągle ten sam ale zmieniały się akcenty. W roku 1938 zaczęły się od traktatu wzajemnej pomocy choć bez gwarancji granic. Od września 1939 roku Polska biła się z Niemcami i z Rosją. Od czerwca 1941 roku już nie z Rosją fizycznie, ale z Rosją politycznie - w Londynie. Od tego momentu aż do Jalty Raczyński reprezentował rząd polski na obczyźnie i wolę okupowanego narodu. Po Jalcie bronił ostro tego co przedtem reprezentował. W imieniu polskiej racji stanu, w imieniu prawa międzynarodowego i wbrew układom podjętym poza plecami Polski i na jej szkodę. W sierpniu 1944 roku dniem i nocą pracował nad pomocą walczącej Warszawie, szukał militarnego wyjścia z politycznego impasu. Częściowo uzyskano sukces lotów z Włoch nad Warszawę. Niestety nie było to wystarczające. Warszawa nie mogła walczyć dalej, ale nigdy nie skonała. Pisał wtedy z bólem i żalem o tym okresie: *Z chwilą wybuchu powstania nacisk na nas wszystkich się zdwoił i żyliśmy w niesłychanym napięciu. Interweniowałem wielokrotnie i w Foreign Office, i wobec rządu amerykańskiego...* Interwencje te z powodu ostrej presji sowietów nie dały oczekiwanego rezultatu.

Po Jalcie i po zakończeniu działań wojennych sytuacja Polski na Zachodzie odwróciła się o 180 stopni. Alianci uznali rząd polski w Kraju. Edward Raczyński stał się jednym z przywódców emigracji. W tej roli okazał się rozjemcą, rozważnym doradcą partyjnych polityków dzięki temu, między innymi, że sam nigdy do żadnej partii

politycznej nie należał. Poza swoim czynnym udziałem w trudnych czasem wysiłkach jednania skłóconych, resztę czasu poświęcał różnym organizacjom praktycznej pomocy Krajowi. Tu znowu jego praktyczny pragmatyzm święcił sukcesy bo potrafił wszystkie inicjatywy w tym kierunku uporządkować według tego co najpotrzebniejsze. Skala tych inicjatyw była tak szeroka a możliwości tak z początku wątle, że było to bardzo potrzebne. Była to pomoc nie tylko materialna. Każdy świadek czy uczestnik narodzin „Solidarności” w Gdańsku, aż po wypadki z lat 1989/1990 w Polsce, z prezydentem Lechem Wałęsą na czele, poświadczy jaki odzew usłyszał od ówczesnego prezydenta z Londynu. Był to odzew poparcia z którym łączył się odzew całego wolnego świata, który w tym właśnie okresie znowu odwrócił się o 180 stopni. Polska emigracja na Zachodzie niewątpliwie się do tego przyczyniła w swoim skromnym zakresie. A orędownikiem tej emigracji, wyrazicielem jej woli i wiary był Edward Raczyński. Te słowa niech będą podziękowaniem.

„Dziennik Polski”, Londyn, 7 sierpnia, 1993.

LONDYN, WRZESIEŃ 1939

5 września 1939 roku, historyk brytyjski Sir Richard Acland, w programie radiowym BBC omówił korespondencję dyplomatyczną brytyjsko-niemiecką poprzedzającą wybuch drugiej wojny światowej. Zaczął od stwierdzenia, że Hitler wprowadził na nowo regułę agresji w Europie odrzucając w ten sposób wszelką nadzieję załatwienia sporów przez dobrowolne umowy honorowo podjęte i uczciwie dotrzymane. Hitler usiłował stworzyć sytuację, w której wszystkie międzynarodowe spory miały być rozstrzygnięte siłą - i tylko jego siłą - i nigdy przez pertraktacje. I kontynuował, że tak jest należy potwierdzić faktami. W jego mniemaniu było to konieczne bo niemiecka maszyna propagandowa starała się przekonać Niemców jak również opinię całego świata, że Hitler wykazał wiele dobrej woli oferując Polsce pozytywne rozwiązanie sporu o Gdańsk, które Polska odrzuciła. Tak wyglądała brytyjsko-niemiecka wymiana dyplomatyczna.

Pierwsza nota brytyjska nosi datę 22 sierpnia 1939, czyli 10 dni przed inwazją niemiecką na Polskę. Nota ta zawierała 3 punkty:

1 - ponieważ Niemcy nie zaczęliby wojny w 1914 roku gdyby Cesarz Wilhelm wiedział na pewno, że Wielka Brytania by walczyła, Wielka Brytania chce zapewnić Hitlera, że pomimo paktu niemiecko-sowieckiego, jeśli Niemcy zaatakują Polskę, Wielka Brytania będzie walczyć; 2 - jeżeli po obu stronach nastąpiłoby „prasowe zawieszenie broni”, Wielka Brytania byłaby przygotowana dokładnie zbadać niemieckie oskarżenia, że Polacy źle traktują Niemców żyjących w Polsce i wziąć udział w obustronnych dyskusjach dotyczących wszystkich aspektów tego zagadnienia; 3 - Wszelkie umowy, które byłyby rezultatem tych dyskusji musiałyby być gwarantowane przez inne państwa.

Hitler odpowiedział następnego dnia. Nota jego zawierała stwierdzenie, że Niemcy nie mają żadnego sporu z Wielką Brytanią, ale że istnieją niektóre części Europy gdzie Niemcy mają historyczne, narodowe, polityczne i psychologiczne interesy, których nie mogą odrzucić. Gdańsk i „polski korytarz” jest jedną z nich. Brytyjska gwarancja dana Polsce dała upust polskiemu terrorowi w stosunku do półtora miliona Niemców w Polsce, czego Niemcy dłużej tolerować nie mogą.

Nastąpiły dwa dni korespondencyjnej ciszy. W piątek, 25 sierpnia, 7 dni przed inwazją Polski, Hitler wezwał ambasadora brytyjskiego, któremu powtórzył swoje pretensje w stosunku do Polski, zaznaczając jednocześnie swoją decyzję, że chce tę sprawę załatwić sam, dodając że jeśli Wielka Brytania uzna za stosowne nie wtrącać się, rząd niemiecki - poza drobnymi wymaganiami co do kolonii - nie widzi przeszkód, żeby otworzyć pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami okres pokoju i dobrej woli, jak też gwarantować całość Brytyjskiego Imperium w wypadku obcej agresji. Wielka Brytania odpowiedziała 3 dni później, w poniedziałek 28 sierpnia, 4 dni przed inwazją Polski. Treść tej odpowiedzi brzmiała, że nikt nie pragnął przyjaźni brytyjsko-niemieckiej bardziej niż Wielka Brytania, która nie zamyka drzwi przed żadną dyskusją dotyczącą problemów pomiędzy „naszymi” dwoma krajami. Wielka Brytania przyjmuje jednak, że spór niemiecko-polski musi zostać rozstrzygnięty najpierw i potwierdza, że wszystko zależy od warunków załagodzenia tego sporu. Wielka Brytania ma też zapewnienie rządu polskiego o jego gotowości by wziąć udział we wszystkich pertraktacjach co do punktów sporu, pod warunkiem, że każde obustronne przyjęcie rozwiązania musi być gwarantowane przez inne mocarstwa. Hitler był więc zapewniony tego poniedziałku, że Polacy są przygotowani do pertraktacji.

We wtorek rząd brytyjski otrzymał odpowiedź rządu Rzeszy. Nota niemiecka zawierała znane już oskarżenia Polski, niemniej jednak Hitler zgodził się na przyjęcie pełnomocnego wysłannika Polski, korzystając z propozycji brytyjskiej, w której wysłannik brytyjski byłby pośrednikiem. Polski wysłannik miał dotrzeć do Berlina 30 sierpnia. Żądanie Berlina było, rzecz prosta, nie do spełnienia. Jakże mógł tak zwany „pełnomocny wysłannik” powziąć jakąkolwiek decyzję bez odwołania się do rządu w Warszawie? Hitler żądał też decyzji polskiej w ciągu 24 godzin. Rząd brytyjski, zdając sobie sprawę, z niemal niemożliwych do wypełnienia prowokacyjnych żądań Berlina, i uznając wielkie niebezpieczeństwo sytuacji, w której dwie armie stały naprzeciw siebie przez granicę, a jednocześnie pokazując całemu światu która ze stron jest gotowa pertraktować, a która nie, odpowiedział: *Z wielkim naciskiem urgujemy obie strony do zobowiązania się, że w czasie trwania pertraktacji, żaden akt agresji nie będzie miał miejsca.* Polacy natychmiast wyrazili zgodę na przyjęcie tego warunku. Rząd brytyjski nigdy nie doczekał się odpowiedzi Hitlera.

36 godzin przed inwazją Polski, ambasador brytyjski w Berlinie otrzymał słownie notę niemiecką, w której było 16 żądań w sprawie konfliktu polsko-niemieckiego. Ambasador zażądał kopii. Nigdy jej nie dostał, a powodem było to, że „nie stawiał się na czas polski pełnomocnik”. 31 sierpnia Józef Lipski, ambasador Polski w Berlinie, prosił o spotkanie z von Ribbentropem, ministrem spraw zagranicznych Rzeszy, raz jeszcze zapewniając, że Polska jest przygotowana do pertraktacji na zasadzie „równy z równym”. Polski ambasador nie dostał odpowiedzi. Jedyłą odpowiedź dostał cały naród Polski następnego ranka, 1 września, 1939 roku.

„Tydzień Polski”, Londyn, 4 września 1993.

MUZEUM OPINII

Chłodno na ogół odniosła się polska emigracja w Wielkiej Brytanii - i może też na szerokim świecie - do przenoszenia prochów wybitnych jej przedstawicieli do Kraju. Akcja ta nie była, jak się wydaje, gruntownie przemyślana, została narzucona bez dyskusji na miejscu, bez sondowania opinii, a co najgorsze miała wszelkie znaki

wskazujące na to, że nie była czysto apolityczna. A jeśli już miałyby mieć miejsce, po dyskusji, po sondowaniu i po publicznej debacie, powinna była być bez żadnej politycznej skazy. Pośpiech jej wykonania i termin przeczył tej powinności. Emigracja słusznie podniosła głos w swojej prasie. Były artykuły i listy. A ponieważ to się już stało, został niesmak i została pustka w postaci muzeum wielu opinii. Jeśli wolno, dodam jeszcze jeden eksponat. Zabrano emigracji jej woskowy mundur, zabrano jej kontusz, zabrano jej własną, tu zrodzoną tradycję, z której wyrosła, i odebrano jej za jednym zamachem jej korzenie. Czyli jej znak rozpoznawczy wśród naszych brytyjskich gospodarzy. Nie kwestionując prawnych podstaw tej akcji, ale poddając w wątpliwość jej aspekt moralny i stan rzeczowy, nawet czysto praktyczny, jest i była ona i za taką musi być przez emigrację uważana - klinem w status quo.

Ale zacząć trzeba od początku. Nasi brytyjcy alianci po raz pierwszy zobaczyli na własne oczy świetność polskiego oręża już na samym początku wojny. Zobaczyli pozorną zuchwałość, zobaczyli męstwo, zobaczyli odwagę, ale nade wszystko zobaczyli lojalność. Zobaczyli wiele cech nas łączących i wiele takich, które nas dzieliły. Przyszły potem 4 lata zmagania na śmierć i życie, w których braliśmy udział razem. Braliśmy w nich udział razem i na Zachodzie i w Polsce. Manewry polityczne i uznanie okupacji naszego kraju nie wytrąciło jednak naszym brytyjskim przyjaciółom broni z ręki. Może było ich w 1945 roku niewiele, ale przybywało ich rok rocznie, zwiększając ich liczbę proporcjonalnie do wzrostu sowieckich ambicji politycznych. Brytyjczycy poznali nasz po-jałtański upór, który ich z początku irytował, potem kładli go na karb politycznej głupoty, choć nawet wtedy mieliśmy wśród nich wybitnych i wysoko postawionych popleczników, którzy mieli właściwą wizję sowieckiego niebezpieczeństwa. W końcu, w pragmatycznej ocenie wzmożonej militaryzacji i agresywności Moskwy, uznali za stosowne zmienić swoją pozycję. Choć nie przyznali nam racji od początku, chwytały się polskich i środkowo-europejskich doświadczeń jako argumentu politycznego w umacnianiu zachodnich stanowisk. Umacniając je i broniąc idei samostanowienia narodów wolnych, pracowali zarówno dla siebie jak i - na długą metę - dla Polski. Bo w gruncie rzeczy nigdy nie zapomnieli, że kiedy weszli do walki w latach 1940/41 jedynym ich czynnym aliantem byli pogromieni we wrześniu przez wspólnego wroga polscy żołnierze. Polacy w Wielkiej Brytanii nigdy nie byli, nie

są i miejmy nadzieję nigdy nie będą złem koniecznym. Brytyjczycy nie noszą zazwyczaj uczuć na ramieniu, ale w ich dumie narodowej znajduje swoje głęboko okryte miejsce skromne uczucie dumy, że właśnie ich kraj był zawsze otwarty dla tych, którym w ich własnym krajach odmawiano obywatelskiej wolności. Mówią o tym mało ale odczuwają to sumiennie.

Dziś, przeszło 50 lat później, wielu z nas nosi jeszcze mundur z tamtych czasów. Kontusza też mole nie zjadły. A co do szabli, została ona na zawsze ostra i w pogotowiu. Patrząc na te emblematy historii wzrosły już z nich dwa nowe pokolenia. Można bez wielkiej przesady zaryzykować twierdzenie, że nie ma pewnie ani jednej dziedziny brytyjskiego życia (poza może partyjną polityką), w której nie byłoby potomków tych pierwszych żołnierzy-aliantów. Jest to kapitał brytyjsko-polski. Ten kapitał oparty jest na korzeniach ludzi, którzy go nie tylko reprezentują ale mają go we krwi. Tylko to buduje i cementuje ślady naszego wkładu do historii. Korzenie są w tej ziemi, na której polegli w walce ci którzy pierwsi do niej weszli. Przecież ktoś dał jej początek.

Znane są na świecie ambicje Polski należenia do zachodniej strefy wpływów. Znane są też naciski i zabiegi o członkostwo wspólnoty europejskiej, traktatu Północnego Atlantyku i innych organizacji międzynarodowych. Mówi się, że nasza łańciska kultura daje nam do tego podstawy i że takie same podstawy daje nam nasza pozycja geograficzna i to że przez 50 lat walczyliśmy z groźącą Europie zagładą sowieckiego komunizmu. Mówi się także wiele o tym, że Zachód potrzebuje Polski. O tym, że Polska potrzebuje Zachodu wszyscy dobrze wiemy i tego mówić nie trzeba ani w Warszawie ani w Londynie. Ale może byłoby nie od rzeczy zadać pytanie kto kogo potrzebuje bardziej? Politycznie, ekonomicznie i kulturalnie. Przyjmijmy tymczasem, że Polska Zachodu raczej niż odwrotnie. Jeśli tak, to do jakich korzeni wracać mają i jakimi korzeniami mają się legitymować dzieci i wnuki pierwszych brytyjskich walczących aliantów? Co do jednego nie ma wątpliwości. W klimacie istniejącej na tej wyspie pełnej wolności osobistej, jedyną tożsamością każdego z nas jest pochodzenie. Nie język, nie religia a tylko to kto nas rodził.

Przy ekshumacji naszych wybitnych wojennych i powojennych przywódców może zapomniano o tym zachodnim zwyczaju i o przywileju pochodzenia. Tylko ono jedynie uchronić nas może od zapomnienia. A tu na tej ziemi jako całość właśnie od nich pochodzimy. Tak

jak powinno być: nie z wyboru, nie z przypadku, ale z rzeczywistych losów Polski.

„Tydzień Polski”, Londyn, 25 września 1993

GONITWA ZA SZCZĘŚCIEM

Daleki to wyścig z wyobraźnią, ale możnaby w wielkim skrócie pomyśleć, że wybory - takie ogólne, narodowe - to trochę tak jak gonitwa za szczęściem. Polegają one chyba na dążeniu do poprawy tego co nie bardzo działało poprzednio, do rewizji tendencji politycznych i do odświeżenia parlamentarnej atmosfery. Zmierzają więc do zmiany. Nie tylko w układzie ciała ustawodawczego, a co za tym idzie ciała wykonawczego, ale zmiany kierunku działania całego systemu państwowego czasem opartego na nowych zasadach prawodawstwa. Jednocześnie więc też do, może tylko częściowej, ale na pewno zmiany filozofii rządzenia, ideowego nastawienia do zamierzeń i planów, a także ustalenia punktu ciężkości, głównego akcentu, może nawet głównego ataku na to co dotąd bolało. Wybory to też nadzieja na zmianę - choć nigdy nie wiadomo. A jeśli zmiana - tak się nam często wydaje - to już o krok bliżej do szczęścia. Chodzi tu o szczęście dosyć w gruncie rzeczy skromne: o rzeczowe porozumienie tych co myślą podobnie i skłonnych do drobnych ustępstw na rzecz tych z którymi się różnią. Czyli o zgodność wszystkich stanów na okres dojrzewania. Aby do matury, potem jakoś to będzie.

Znakomity filozof szczęścia profesor Władysław Tatarkiewicz uczył swoich studentów między innymi, że szczęście choć na pozór nieuchwytnie daje się łatwo rozpoznać i ma różne fazy rozwoju. Czuje się je w zadowoleniu a rozwija się przy bliższym poznaniu. Uczyl też, że szczęście i jego pojęcie a więc zrozumienie zależy w dużej mierze od nas samych. Nie jest więc błogostanem spływającym na jednych z pominięciem innych. Nie przychodzi z zaświatów. Z drugiej strony jest ono wykładnikiem różnych ludzkich predylekcji, różnych usposobień i różnych charakterów. W swojej podstawowej książce „O szczęściu” pisze on też o szczęściu w utopiach: *albo wreszcie szczęście, które w naszym świecie także by być mogło ale tylko gdyby życie było inne niż jest, gdyby było dobrze uplanowane, racjonalnie pokiero-*

wane, jest to szczęście utopii. W pełnym rozdziale o utopiach pisze on o „innych światach”, o rajach, o bajkach, o eldorado. A w odniesieniu do powyższej cytaty „utopijnej” kończy tak: *Oto w utopiach planujących lepsze życie kładziono przeważnie na szczęście mniej nacisku niż na inne zalety życia.* Jakich to zalet życia potrzeba żeby gonić za szczęściem ale nie za utopią?

Jak to zwykle w życiu bywa nie w cytatach leży odpowiedź. Tatarkiewicz uznaje wiele odmiennych alternatyw na gonitwę za szczęściem. Trudność jest w tym, że każdy z nas inaczej to szczęście pojmuje i inaczej ono każdego wabi. Pomijając szczęście osobiste a koncentrując się na szczęściu zbiorowym, szczęściu narodu, dla jednych jest nim siła władzy panowania nad innymi, dla innych jest nim poddanie się tej władzy, a jeszcze dla innych - walka z tą władzą. Z walką łączy się to, że jeśli ktoś wygrywa - ktoś też musi przegrać. Nie rozegrana nie daje szczęścia. Ale czy większe szczęście daje wygrana czy przegrana? Wydaje mi się, że nie należy tu stosować sportowego porównania, że najważniejsze jest to żeby brać udział. W sporcie liczy się tylko wynik. W wyborach liczy się zupełnie szczęście, częściowe szczęście, albo jęgo zupełnie brak.

Powiedział mi ktoś niedawno w Warszawie *à propos* wyborów, że szczęście narodu (myślał w tym wypadku o dobrobycie) nie leży w kompetencjach zawodowych polityków. Z dalszej rozmowy wynikało, że nie widzą oni różnic pomiędzy utopią a możliwościami. Może chcieliby jednak lepiej, może chcieliby nieba przychylić wszystkim głosującym, uszczęśliwić za jednym zamachem wszystkie stany, obiecać, obdarować, obcałować i rządzić. Ale waga - instrument w wyborach tak ważny i bezcenny - ma dwie szale. Na jednej splywa z zaświatów roześmiana utopia, a na przeciwnej siedzi za komputerem wychudzony matematyk i myśli. Myśli nie o szczęściu dziś ale o szczęściu za rok, dwa, trzy, za dziesięć lat. A co najważniejsze rządenie nie przychodzi mu nawet do głowy. W swojej matematycznej zadumie jeszcze nie wie tego dokładnie, jeszcze nie rozwiązał zupełnie tego równania, ale oczami ścisłej wyobraźni już dostrzega rzeczywistą siłę w rękach nie tych co marzyli albo dążyli do utopii, ale tych co rozpoznali jakie prawdziwe szczęście daje rozwiązanie nawet najtrudniejszego równania.

„Tydzień Polski”, Londyn, 2 października, 1993.

MAŻ ZAUFANIA

III Rzeczpospolita, która wyrosła z ziarna zasianego przez Solidarność Stoczni Gdańskiej w sierpniu i wrześniu 1980 roku i z ofiarności i oddania jej członków, przejść jeszcze musiała 9 lat stanu wojennego, represji i groźnych procesów karnych, by wypłynąć na wolność, suwerenność i niepodległość. Stało się to na skutek porozumienia „okrągłego stołu” w kwietniu 1989 roku. Wtedy to zdobyła ona wielki kredyt moralny w całym wolnym świecie. Były to czasy euforii, kwitnącej młodości, żarliwości pracy, nowych idei, które ośwładnęły nie tylko całą centralną i wschodnią Europę zrzucającą obce jarzmo, ale natchnęło też nowym duchem optymizmu resztę cywilizowanego świata. Tak się też jakoś stało, że od tego momentu nawet sowieckie bomby atomowe przestały być takim samym ostatecznym niebezpieczeństwem jakim były poprzednio. Polska zaczęła żyć własnym życiem i pomimo wielkich trudności, ekonomicznych i politycznych i praw młodości, którym należało uczynić zadość, szybko stawiała na nogi. By te nogi stały na pewnym gruncie, jednym a jej bardziej palących zadań było znalezienie dostatecznej liczby mężów zaufania, którzy poszliby w świat głosić dobrą nowinę i jednocześnie otworzyć bramy swoich ambasad, poselstw i konsulatów dla wszystkich tych, którzy czuli się wolnymi Polakami. Nie miało już być różnic pomiędzy Polską w Kraju a Polską na emigracji.

Równy w roku, po porozumieniu „okrągłego stołu”, 18 kwietnia 1990 roku, taki właśnie mąż zaufania wylądował w Londynie w osobie Tadeusza de Virion, którego jak wyraził to pięknie śp. Prezydent Edward Raczyński, „uważam za mego następcę na stanowisku ambasadora wolnej Polski w Wielkiej Brytanii”. Minęło dokładnie 45 lat od momentu, kiedy Ambasador Edward Raczyński przekazać musiał gmach naszej ambasady na 47 Portland Place w Londynie przedstawicielowi Foreign Office kiedy Wielka Brytania uznała sowieckie panowanie w Polsce. I rzeczywiście otworzyły się bramy ambasady i konsulatu i zaczął się okres kiedy wszyscy mówili tym samym językiem. Przedstawiciel nowej wolnej Polski znany był w Londynie wśród Polaków z poprzednich wizyt i miał tu przyjaciół. Był pierwszym ambasadorem nowej ery w historii Polski.

Tadeusz de Virion, wybitny prawnik, urodził się w roku 1926. Był czynnym żołnierzem Armii Krajowej, brał udział w Powstaniu Warszawskim, był członkiem Solidarności, obrońcą w procesach

karnych (między innymi Leszka Moczulskiego i Jacka Kuronia i wielu innych działaczy Solidarności) w czasie stanu wojennego. Nie sposób w krótkim szkicu opisać jego udziału w procesie księdza Jerzego Popiełuszki. Jest to sprawa tak ważna i udział ambasadora w niej tak głęboki, że tylko on sam lub niezależny historyk mógłby odtworzyć jej całość. Dlatego każdy tylko fragmentaryczny jej zarys wyrządziłby krzywdę prawdzie.

Nazywam mężami zaufania wszystkich tych nowych reprezentantów wolnej Polski świadomie, ale nie odbieram im należnych tytułów oficjalnych. W stosunku do Tadeusza de Virion znak „mąż zaufania” jako honorowy dodatek do oficjalnego tytułu, uważam, jest na miejscu. A to z dwóch powodów. Po pierwsze przyjechał tu jako mąż zaufania prezydenta Lecha Wałęsy, a nie żadnego ze stronnictw politycznych. Po drugie, niemalże natychmiast po przyjeździe stał się też mężem zaufania emigracji polskiej na wyspach brytyjskich. Jest jeszcze powód trzeci, nie mający w gruncie rzeczy nic wspólnego z jego funkcjami oficjalnymi jako ambasadora. Ale jest on conajmniej równie ważny. Jako prawnik i to z zamiłowania, nie tylko z wykształcenia, zdecydowanie rozkochany w swoim zawodzie, ma on talent patrzenia równocześnie na oba punkty widzenia w każdej sprawie. Widzi czarne, widzi białe, a co najważniejsze rozumie szare. Bo tam zwykle jest problem. Innymi słowy, szuka sprawiedliwości sumiennej, właściwej i jasnej. Każdy prawnik wie, że sztuką najtrudniejszą jest to ażeby tak samo jasno widziały sprawiedliwość obie strony. Jest to często szczyt nie do osiągnięcia. Ale ten kto go szuka jest najbliżej tego szczytu. Najbliżej sprawiedliwej oceny sytuacji.

We wszystkich sprawach ludzkich były, są i będą nieporozumienia. Były, są i będą uprzedzenia. Były, są i będą niesnaski. Takie jest życie. Nasze emigracyjno-krajowe nieporozumienia, jeśli istnieją, mają wiele źródeł i zwykle brakuje im cierpliwości i często wzajemnej tolerancji. Jestem pewien, że Tadeusz de Virion miał w Londynie biurko zasypane listami i memoriałami w sprawach spornych, niektóre były łatwiejsze do rozwiązania, inne trudniejsze. Było też pewnie wiele błahych i pewnie trochę mniej poważnych. I tu te dwie jego role, męża zaufania i ambasadora, zarysowują się wyraźnie. Był on ambasadorem Polski wśród Brytyjczyków, a mężem zaufania wśród Polaków.

Miał on też rolę trzecią. Wspomniałem na początku o kredycie moralnym jakim obdarzył Polskę cały cywilizowany świat, a bardzo specjalnie Wielka Brytania, kiedy Polska odzyskała niepodległość.

Ambasador de Virion był też kanclerzem tego moralnego kredytu i czujnym strażnikiem by nie znikł on za żadnym, nawet najsłabszym powiewem wiatru z niewłaściwej strony.

„Tydzień Polski”, Londyn, 16 października, 1993.

TRZECIA SIŁA

Jak mówią wtajemniczeni, z małymi wyjątkami niemal cały świat zdaje się pędzić na lewo z szybkością, która nie zwraca uwagi na zegar historyczny. W Wielkiej Brytanii, nawet lewica konserwatystów ujawnia ciągoty bliższej różowej liberalnej demokracji. W Stanach Zjednoczonych, tym nieugiętym bastionie żelaznego kapitalizmu, prezydent Clinton, wybrany z demokratycznego mandatu, i jego żona, kokietują zarówno czarne i białe elementy skrajnych bezrobotnych lewicowców jak i tych żyjących na krawędzi biedy, oferując nie tyle demokratyczny co polityczny, państwowy system kasy chorych. Hiszpania na nowo wybrała rząd socjalistyczny, to samo zrobiły dopiero co Norwegia i Dania, a w Południowej Afryce, Nelson Mandela prosi Zachód o wstrzymanie sankcji uważając, że lewicowa demokracja pogodzi białych i czarnych i nawet uzna białą faszystowską mniejszość. W Australii „demokratyczny” ruch republikański chce zrzec się opieki brytyjskiej korony i w roku 2000, przy olimpijskich fanfarach w Sydney, stać się republiką. Rzecz prosta wszystkie te ruchy, i wiele innych, podobnych, nie mają nic wspólnego ze znaną nam dobrze dyktaturą komunistyczną dlatego, że żadne z nich nie mają co do niej doświadczeń. Zegar historyczny wydzwania inne godziny w Szwecji, której socjalistyczna demokracja zdaje się przebrała miarkę przygniatając podatkami socjalnie wykształconego obywatela. I we Francji, która coraz głębiej grzebie system socjalistyczny, i w Niemczech, gdzie właściwie demokracja ani lewicowa ani prawicowa nigdy nie zdała egzaminu, zawsze podminowana ambicją gospodarczej niańki Europy. A więc gdzie te rzekome analogie?

Ostatnio Polska, może ostatni kraj po którym się tego można było spodziewać, odwróciła wywalczony z wielkim poświęceniem proces krystalizacji nowych doświadczeń i wróciła do tych dobrze już dawniej wypróbowanych, choć negatywnych. I tu Polska różni się od wszy-

stkich innych przykładów pędzenia na lewo, czy na prawo, bo Polska doświadczenia dyktatury komunistycznej przeszła na własnej skórze, a po tych innych już jej został niesmak. Porównania są oczywiście zawodne, więc zostaniemy przy doświadczeniach. Kraje zachodnie mają w swoich tradycjach politycznych komórki bardzo skrajnych ruchów na lewo i na prawo, ale ta właśnie ich skrajność i drastyczne programy, wykluczały je poza nawias przyjętych norm. Powstaje więc zapotrzebowanie na trzecią siłę. Ani całkiem na lewo ani całkiem na prawo. Bliżej centrum. Sęk w tym, że do tego trzeba porozumienia, uważnego kompromisu z domieszką dobrej woli. Chodzi o połączenie bliskiej centrum prawicy z bliską centrum lewicy.

Stąd już tylko krok do pytania czy elektorzy polscy właśnie tego nie mieli na myśli, ale się przeliczyli. Jeśli tak, to nie prawica przegrała, a spekulanci. Przegrał nieoficjalny wolny rynek, przegrała koniunktura „z pod lady”, przegrała wszechstronna „kombinacja”, przegrał „korzystny kurs”, czarny rynek, który już nie powinien być potrzebny, w sumie przegrały znowu doświadczenia choć innego rodzaju. Jeśli odpowiedź jest nie, wygrał strach przed drastycznymi zmianami. Wygrała trwoga przed tym, że demokracja może okazać się nieporozumieniem, może nawet politycznym oszustwem, wygodnym dla jednych, a trudnym dla innych.

Trzecia siła nie musi wygrać wyborów powszechnych, ale nie można jej stworzyć sztucznie. Musi być wywołana rzetelną potrzebą, stać w środku, przechylać szale raz na lewo raz na prawo, ale cały czas utrzymywać niepewność obu stron. Michel Rocard, przywódca francuskich socjalistów, obecnie razem ze swoim szefem, prezydentem Francji, w politycznym odwoście, ale dobrze pilnujący swoich flank, powiedział niedawno na publicznym sympozjum europejskich przywódców socjalistycznych, że przyszłość europejskiego ruchu socjalistycznego leży w wolnym rynku i tylko w wolnym rynku. Mówił, że socjalna równość polega nie na równym podziale dóbr, ale na uznaniu równych możliwości dla wszystkich. Mówił do ludzi, których doświadczenia polityczne są inne. Mówił do ludzi dla których demokracja nie jest nieporozumieniem ani nie jest rozwiązaniem podejrzanym. Jest znanym i przyjętym powszechnie porządkiem rzeczy w wolnych krajach. Nie jest dla jednych osobistą drabiną a dla drugich kamieniem u nogi. Rocard, jako bystry Francuz, dobrze znający historię i swego narodu i Europy, nie spuszczał oka z historycznego zegara. Obserwował jak przesuwiają się jego wskazówki i w ich ruchu

dostrzegł potrzebę trzeciej siły. W Polsce zegar historyczny się nie zatrzymał. Zatrzymać go nie można. Ale można i trzeba go czytać rano, w południe i o północy. Bo tylko w nim wyczytać można kiedy przyjdzie czas i na trzecią siłę, i na trzecie wolne wybory.

„Tydzień Polski”, Londyn, 16 października, 1993.

LUBIMY ROCZNICE

Nie ma wątpliwości, że jako naród lubimy rocznice. Wszystkie rocznice. Nie klasyfikujemy ich jako bardziej czy mniej ważne, nie ustanawiamy im żadnych rang czy stopni, nie krytykujemy na ogół takich, które nam się wydają niewłaściwe, bo skoro jest rocznica, trzeba ją obchodzić. A rocznic jest wiele w dziejach wszystkich trzech wcielenń Rzeczypospolitej. Są rocznice radosne, jak niepodległości. Są też rocznice smutne, jak najazdy na Polskę, a są też rocznice tragiczne, jak Katyń, jak obozy śmierci, jak łapanki, jak rozstrzelania niewinnych, jak męczarnie w kazamatach więzień, jak nieszczęścia rodzinne... W listopadzie obchodzimy i jedne, i drugie.

Zgadzam się bez zastrzeżeń z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, że dzień 12 września 1989 roku jest dniem odzyskania przez Polskę drugiej niepodległości. Tego dnia wolny rząd polski Tadeusza Mazowieckiego został zaprzysiężony przed polskim parlamentem. Tego też dnia wolny świat uznał suwerenność Polski. We wrześniu więc też obchodzimy i jedne i drugie rocznice.

Czy jest jakiś miesiąc w roku, w którym ich nie obchodzimy? Czy jest jakiś choćby jeden tydzień w roku, w którym pamięć nie nagina się do radosnych lub tragicznych wspomnień, do choćby nawet zwykłej, bardzo prywatnej, rocznicy? Pewnie nie. Podtrzymując w dalszym ciągu ideę nie katalogowania żadnych rocznic i nie układania ich w bardziej lub mniej ważne, a przeciwnie, respektując je wszystkie, musimy przyznać, że jedna z nich ma prawo być uznana za nadrzędną. Jest nią rocznica niepodległości. Bez niej wszystkie inne nie doznałyby nigdy zmartwychwstania. Tak więc 11 listopada 1918 roku kiedy zmartwychwstała Polska, z nią razem odżyła nadzieja przyszłości. W innych zupełnie warunkach, w żadnym sensie porównywalnych, to samo stało się 12 września 1989 roku. Polska

była już na mapie Europy, ale nie była wolna. Odżyła, a z nią odżyła nadzieja, że przed nami jest nowe życie. W tym to przełomowym 1989 roku, i potem aż do końca swego długiego życia, Edward Raczyński, Prezydent na uchodźstwie, który lepiej niż ktokolwiek znał sekrety polskiej krwi, polskich serc i polskich umysłów, nawoływał byśmy tylko tej niepodległości nie zmarnowali. Był to głos nie negatywnej przestrogi, ale zachęty aby przyszłe rocznice tego dnia i tego niemal cudu, były zawsze radosne i zawsze z myślą nie o tej rocznicy, którą obchodzimy dziś, ale o tej którą będziemy znowu obchodzić za rok.

Z natury rzeczy każdy rocznicowy obchód odwraca pamięć wstecz. Odwraca oczy do historii, ponawia wspomnienia, czasem odkrywa nowe elementy, czasem też przyćmiewa inne. Ale jeśli rocznica jest - tak jak powiedziano wyżej - nadrzędna, szczegóły te nie mają wielkiego znaczenia. samo słowo „niepodległość” przestaje być osobiste, a zaczyna być ogólne, dotyczące nas wszystkich. Idąc dalej po linii myśli i wezwania Edwarda Raczyńskiego sięgnijmy wyobraźnią do następnej niepodległościowej rocznicy: 5 lat wolnej III Rzeczypospolitej. Rocznicą ta nastąpi 12 września 1994 roku. Nie czas jeszcze by sądzić, nie czas by krytykować, nie czas by tracić wiarę i nie czas by marzyć o wielkości. Ale czas by ustalić realne możliwości w ramach tego co się ma w ręku. Polska ma rząd, na który wyraziło zgodę w demokratycznych wyborach 51% jej obywateli. Ma sejm i senat i do ich obowiązków należy, pod przysięgą, sumienna ocena tego rządu i jego działalności. Z drugiej strony ma opozycję, której też sumiennym obowiązkiem jest myśleć nie tylko o teraźniejszości ale i o przyszłości i Polski i swojej. Polska ma rozwijający się przemysł, ma młode i ambitne kadry zawodowe, a nade wszystko ma - jak dotąd - pokój na zachodzie i spokój na wschodzie. Trzeba mieć nadzieję, że te realia, a nawet można je nazwać atutami, nie zmienią się przez następne 10 miesięcy, licząc na to, że nawet najbardziej aktywna opozycja zwykle wygrywa więcej kiedy strona przeciwna ma więcej możliwości potknięć. Takie są, między innymi, przywileje demokracji.

Patrząc dziś na tak pełną wydarzeń historię ostatnich 4 lat, o tym tak brzemennym okresie, że całe tomy już o nim napisano i ciągle się pisze, aż strach pomyśleć ile arkuszy papieru zajmie pięcioletnia rocznica niepodległości w przyszłym roku. Posypią się znowu wspomnienia osobiste, co kto komu powiedział i dlaczego, wypełzną na pewno stare polityczne swary i dyskusje nad tym nie jak ale kto? Nawet autentyczni historycy wplątani zostaną w sieci politycznych

ambicji amatorów rządzenia i żądnych władzy, a wszystkie pozytywne realia znikną w tej gmatwaninie gadania. Rzecz prosta, każde realia mogą ulec zmianie z dnia na dzień. Może więc byłoby bardziej wskazane by pojęcie realiów ograniczyć do pojęcia narodowej dyscypliny. A może do dyscypliny osobistej? Ażebyśmy nie zmarnowali ani tej niepodległości, ani tej pięcioletniej rocznicy, ani żadnej rocznicy aż do... nieskończoności.

„Tydzień Polski”, Londyn, 27 listopada, 1993.

KONKURS NARZEKAŃ

Gdyby ogłoszono dzisiaj w Polsce powszechny i anonimowy konkurs na tytuł osoby najmniej narzekającej na bieżący stan rzeczy, jury miałoby trudne zadanie do spełnienia. Już zaczynając od warunków konkursu powstałyby trudności. Kto miałby prawo głosować? Do kogo by należało ustalenie listy kandydatów? Czy głosowanie miałoby być jawne, czy na piśmie, czy w lokalach wyborczych, czy dopuścić do głosowania emigrację (a jeśli tak to czy tę pierwszą, drugą czy trzecią?) A kto miałby zasiadać w jury? Czy konieczna do tego matura, czy wystarczy wykształcenie podstawowe, czy też jury ma się składać wyłącznie z dr hab.? Czy zasługi wojenne mają pomóc czy przeszkodzić w wyborze? A kto w końcu miałby takie jury mianować? I jakie byłyby gaże jurorów? Czy trzeba by było wziąć pod uwagę przynależność partyjną jurorów, czy też bezpartyjność dałaby większą szansę wyboru? Do ustalenia tego trzeba też pomyśleć poważnie o kolegium wyborczym, o skrutatorach, o rozjemcach w razie sporów i o mężach zaufania przy urnach wyborczych. Czy lista kandydatów miałaby być sporządzona alfabetycznie? Czy też po ważności zajmowanego stanowiska? A cóż zwyczajny człowiek? A cóż kobiety i dzieci? Czy trzeba mieć 18 lat, żeby być uznanym za zdolnego do narzekania? No i lista narzekań? Czy na rząd, czy na premiera, czy na poszczególnych ministrów, czy na wojewodów, burmistrzów, sołtysów, wójtów, nauczycieli, kolejarzy, tramwajarzy, taksówkarzy, kelnerów czy cyklistów? Czy na pisarzy, dziennikarzy, radiowców, czy na lekarzy, chirurgów, aptekarzy, czy na emerytów, czy na policjantów, czy wreszcie na wojsko? A może na Wspólnotę Europejską?

Sprawa musiałaby pójść na radę ministrów z referatu ministra spraw wewnętrznych bo na nim skrupia się większość narzekań. Doproszono by tylko szefa narodowego banku jako, że on to właśnie kieruje drukarnią, która drukuje banknoty. Za zamkniętymi szczerlnie drzwiami siedzieliby w kucki na podłodze przedstawiciele wolnej prasy na której to lamach wszelkie narzekania witają codziennie przy śniadaniu swoich licznych czytelników. Byłaby też reprezentowana telewizja i radio by natychmiast po powzięciu przez rząd uchwały w sprawie konkursu i jego warunków przeprowadzić parę wywiadów na żywo z premierem i ministrami. Premier rzuciłby projekt pod wolną dyskusję - bez rozlicznika partyjnego, demokratycznie - szukając pozytywnych (bo na negatywne już za późno: za dużo narzekań) sugestii i wniosków. Pierwszy zabrałby głos szef resortu spraw zagranicznych swobodnie i ze swadą narzekając na brak zrozumienia potrzeb materialnych kraju na Zachodzie i na Wschodzie. Za nim cienkim dyszkantem dorzuciłby swoje narzekania minister kultury i oświaty oświadczając zebranym, że już wszyscy mają matury, prawie wszyscy są magistrami i doktorami, ale nie ma ani za grosz mechaników do reperacji zardzewiałych traktorów. Barczysty minister wojny nie narzekałby wprawdzie na brak starych, bo choć starych ale zawsze czolgów, by zaraz gromkim głosem zagrozić katastrofę z powodu braku amunicji do ich dział. Każdy minister po kolei by trochę ponarzekał, każdy by się zasmucił, aż tu niespodziewanie, skromniutki minister finansów, nieśmiało i prawie szeptem, wzięłby na odwagę i (ponieważ jest malutki wzrostem) niemalże podnosząc się z krzesła, wycedziłby jedno krótkie zdanie: „nie jest źle”. I dodał by już mocniejszym szeptem: „mamy dolary, ale ich nikomu nie damy bo roztrwoniam”. Zdumiony premier nie prosił o wyjaśnienie, bo od razu zrozumiał. Minister finansów chciałby być pierwszym kandydatem do nagrody. Ignorując więc ministra finansów (bo nic innego nie pozostałoby już do zrobienia), premier odroczył zebranie rady, polecając specjalnemu komitetowi ministrów ustalenie warunków konkursu. W krótkim wywiadzie telewizyjnym dla czekającej za drzwiami prasy przyznałby, że pomysł konkursu narodził się jako jedyny sposób przeprowadzenia obiecanych reform bez udziału sejmu ani senatu. Okazja nie do przepuszczenia!

Prasa ryknęłaby jednogłośnie: wspaniały pomysł! Minister finansów kandydatem! Ma dolary! Tymczasem komisja ministerialna spotkałaby się parę razy, ustaliłaby warunki, według których każda

kartka wyborcza wymagałaby krótkiej motywacji głosu by nadać mu ważność. Tu, rzecz prosta, powstałby pierwszy poważny kłopot: ile dodatkowych kartek papieru wolno byłoby dołączyć by umieścić na nich wszystkie narzekania? Konkurs wprawdzie miałby nagrodzić tego kto narzeka najmniej, ale chodzi o gradację narzekań. Komisja ministerialna nie przewidziałaby na czas czy należy zastosować skalę Richtera od trzęsień ziemi, czy jakąś inną skalę porównawczą? Skalę w końcu zaproponowałby prezes głównego urzędu statystycznego upierając się przy dziesiętnej, to znaczy od 1 do 10, z tym, że największą ilość punktów (10) dostać miałoby narzekanie najmniej ważne, na przykład na brak papieru toaletowego na prowincji, a najmniejszą ilość punktów (1), na przykład ciągly wzrost cen. I tak dalej. Słabość i niedokładność tego systemu zauważyłaby od razu poważna prasa gospodarcza, twierdząc, że głosowanie na negatyw nie może prowadzić do poprawy stanu rzeczy bo spierać się można do nieskończoności o to co ważniejsze: papier toaletowy czy jego cena? Ten niespodziewany zgrzyt w dobrze już - jak się wydawało opracowanym planie - doprowadziłby do poważnych wątpliwości czy właściwe byłoby mierzenie niezadowolenia czy też byłoby bardziej wskazane uznanie powszechnego narzekania za cechę do której wszyscy są już przyzwyczajeni i jej bliższe badanie, a zwłaszcza rezultaty tych badań, mogłyby pociągnąć za sobą poważne niepokoje polityczne?

Rozwiązanie tego dylematu znalazłoby się, jak się często zdarza, dzięki zupełnemu przypadkowi. Otóż cichutki i skromny minister finansów, a jednocześnie członek komisji ministerialnej w sprawach konkursu narzekań, znalazłby się przypadkowo na pewnym zebraniu towarzyskim, na którym większość gości - taki to był przypadek - należałaby do opozycji. Byłoby wykwintnie i elegancko, panowie w wieczorowych strojach, panie w długich sukniach, lałoby się wino szampańskie, kawior byłby na każdym stole, ale gdzie by się pan minister nie ruszył, wszyscy by na wszystko narzekali. Na rząd, na sejm, na senat, na drożyznę, na ceny, na wojsko, na policję, na prasę, na telewizję, na radio, na teatr, na kino, na architekturę, na czystość... Pan minister finansów, wróciłby do domu, potelefonowałby do członków komisji i na jej pierwszym zebraniu, już trochę mniej skromnie, i z większym animuszem orzekłby: „panowie, jesteśmy patalachy! Ogłaszamy nie negatywy konkurs na tego kto narzeka najmniej, ale pozytywne konkurs z nagrodami na mistrzostwo w narzekaniu!

I odwracamy skalę do góry nogami!”

„Tydzień Polski”, Londyn, 11 grudnia, 1993.

IMPAS PANA CLINTONA

Słusznie i na czasie przypomniał Stanisław Grocholski o Ruchu Europejskim („T.P.” 8 stycznia), bo może się on okazać dziś i na pewno w bliskiej i dalszej przyszłości, ważnym elementem tego jaką pozycję zajmować powinna Polska w Europie, jaką zajmuje teraz i jaką zajmować może w przyszłości. Pozycja ta ma dwa obrazy: jeden polityczny i gospodarczo-ekonomiczny, i drugi, równie ważny, historyczny, kulturalny i tradycyjny. Pragmatyczna konieczność wskazuje na to, że pierwszy musi w obecnym, innym od tego którego się od Zachodu spodziewała, układzie opierać się na współpracy handlowej ze wszystkimi europejskimi sąsiadami. Wzrost jej ekonomicznej siły może dopiero doprowadzić do bliższej współpracy z Zachodem. Drugi, ten od serca, opiera się głębokimi korzeniami na Zachodzie. To nie tylko atrakcja w formie humanistycznej edukacji i tego wszystkiego co nazywamy kulturą chrześcijańską, ale tradycyjny udział w łańcuchu wymiany myśli, wymiany idei i wspólnego, europejskiego, rozwiązywania bieżących zagadnień. Polska zawsze łaknęła europejskiego porozumienia w stosunku do reszty świata. A nade wszystko, że tak samo jak państwa zachodnie, wyrosła z tej samej klasycznej kolebki myśli, słowa i lojalności.

Impas pana Clintona na szachownicy europejskiej wyszedł, bo nie mógł nie wyjść. Wszystkie pionki Centralnej i Wschodniej Europy padły pod słowami nowej polityki i obietnicy „inicjatywy pokoju”, bez zaproszenia do wieży obronnej NATO, za cenę rosyjskich zapewnień o obustronnej współpracy. Już w niedzielę 9 stycznia, czyli w dniu rozpoczęcia szczytu NATO w Brukseli z udziałem prezydenta Clintona, londyński „Times” poinformował, że na ukończeniu są pertraktacje amerykańsko-ukraińskie na podstawie których Ukraina zobowiązuje się do rozbrojenia tysiąca długo-dystansowych pocisków nuklearnych. To na początek. Luźna strefa pomiędzy Rosją a Zachodem ma zapewnić kontynuację demokratycznych reform Jelcynga (czy może Żyrynowski?), ma zagwarantować neutralizację broni nuklearnej i ma

w rezultacie podtrzymać równowagę ekonomiczną Rosji zastrzykami dolarów. Dlatego między innymi, przypomnienie Stanisława Grocholskiego jest na czasie.

Ruch Europejski i jego naczelna organizacja łącząca narodowe rady Ruchu, są dziś dla Polski i jej najbliższych sąsiadów jedynym zabezpieczeniem, choć jeszcze nie gwarancją, przed całą serią nowych impasów motywowanych wyłącznie krótkoterminowymi korzyściami politycznymi różnych rządów europejskich i innych. Ruch Europejski jest też jedynym poza rządowym organem europejskiej łączności. Jest niezależny od efemerydalnych premierów i ministrów spraw zagranicznych. Pewną gwarancję jego ciągłości daje to, że na jego czele stoją najwybitniejsi doświadczeniemi mężowie Europy. Już dziś nie karierowicze polityczni, nie praktykujący partyjnicy mniej lub więcej znacznych ugrupowań lokalnych, nie przedstawiciele wielkich koncernów przemysłowych czy handlowych, (choć parę takich by się przydało), ale ludzie dla których idea ambicyjnej agresji terytorialnej po tak wielkich i bolesnych doświadczeniach choćby tylko dwóch ostatnich wojen europejskich, nie tylko nie jest atrakcją, ale kataklizmem grożącym kompletną anihilacją.

Szachownica europejska miała już po tych dwóch wielkich wojnach współczesnych wiele wznoszeń i wiele upadków. Przeżyła też wiele potknięć. Wszystkie one mają swoje miejsce w archiwach poszczególnych europejskich narodów, skrzętnie i pieczołowicie pielęgnowane właśnie z powodu tej oryginalnej kolebki. Tam urodziła się myśl, że narody kształcą się na doświadczeniach poprzednich pokoleń, ale tylko wtedy nauka ta owocuje, kiedy redukują one do minimum popełnianie tych samych błędów, które były udziałem ich poprzedników. Jedną ze słabości nowopowstałej Unii Europejskiej, już dość skrupulatnie dążącej do europejskiej federacji, jest to, że składa się ona wyłącznie z partyjnych przedstawicieli europejskich - efemerydalnych - rządów zrzeszonych w niej państw. Używam słowa państw a nie narodów świadomie, starając się podkreślić głęboką różnicę pomiędzy tymi dwoma pojęciami: rządy reprezentują polityczne organizacje państwowe. W Ruchu Europejskim zrzeszają się narody nie na zasadzie jakiegokolwiek klucza partyjnego czy państwowego. Jako swoich reprezentantów wysyłają do Ruchu tylko osoby, które nie zapomniały żadnej lekcji od kolebki aż po lata 1918 i 1945. Ruch Europejski rozpoczął się od zebrania w Hadze w roku 1948, na którym Polskę reprezentował Ambasador Edward Raczyński, Wielką Brytanię

Winston Churchill a Francję Leon Blum. Tak pisał o tym Edward Raczyński w swojej książce „Czas wielkich zmian”, (Rozmowy z niżej podpisanym, Editions du Dialogue, Paryż, 1990. Kolekcja „Świadkowie XX wieku”): [...] *od roku 1949, a więc w rok po powstaniu tak zwanego Ruchu Europejskiego, przystąpiłem do tego ruchu jako polski przedstawiciel i brałem udział we wszystkich zebraniach tejże organizacji. Starłem się o to, by sprawa polska nigdy nie była pominęta w uchwałach, w dyskusji itd. [...] Nawiasem warto może dodać, że Ruch Europejski rozpoczął się od zebrania w roku 1948 w stolicy Holandii, Hadze. Był to związek próby sfederowania Europy, może właśnie prekursor późniejszego Wspólnego Rynku Europejskiego, choć założenia tej przyszłej federacji zdawały się być bardziej wówczas polityczne, a mniej komercyjne. Specjalnie Churchill poświęcił się idei federacji europejskiej z wielką gorliwością. Dzięki uczestnictwu znanych i wybitnych polityków stworzono dość poważną organizację ze statutem i sekretarzem, którym był przez pewien czas nasz rodak Józef Retinger, w czasie wojny bliski współpracownik i doradca gen. Sikorskiego, który także cieszył się zaufaniem Churchilla.*

Szachownica europejska zmienia się ciągle. Nawet ostatnio zmieniła ona, można chyba powiedzieć, dosyć radykalnie swój układ. I nic nie wskazuje na to, żeby którakolwiek z tych zmian miała cechy permanencji. Musimy więc być przygotowani na dalsze. Ruch Europejski, tak jak wygląda on teraz - może mniej polityczny niż w roku 1948/9, ale za to bardziej praktyczny - zdaje się czuć nad tymi zmianami. Po ostatniej zmianie może on łatwo okazać się też jedyną gwarancją, że żaden więcej impas nie wyjdzie.

„Tydzień Polski”, Londyn, 22 stycznia, 1994.

KAMIEŃ WĘGIELNY POD EUROPA

Europejska wspólnota interesów, która zupełnie nie wiadomo dlaczego przybrała sobie ostatnio historyczne imię Unii, była oryginalnie - w latach pięćdziesiątych - wynalazkiem Francuzów, którym bardzo zależało na tym, żeby Francja stała się centrum Europy. Było to wtedy do przyjęcia przez większość Europejczyków, którzy wybaczyli już Francuzom rok 1940, dlatego że w tych wczesnych

latach powojennych nie pytano się jeszcze o nic Niemców. Niemcy były w praktyce pod okupacją czterech „aliantów”, którzy wprawdzie debatowali o przyszłości tego kraju, ale debatowali dość platonicznie, bo nikt nie odważył się położyć kropki nad „i”. Wszyscy Europejczycy musieli sobie przecież już wtedy zdawać sprawę z tego, że Niemcy nie tylko się odbudują bardzo szybko i sprawnie, ale przewyższą ekonomicznie wszystkie inne kraje europejskie. Tak się jednak stało, że zarówno Francuzi jak i Anglicy nie chcieli przeszkadzać Niemcom w szybkiej i sprawnej odbudowie ich przemysłu i bytu gospodarczego po prostu dlatego by odciążyć swoje państwowe budżety, których nie było już stać na filantropię w stosunku do niedawnych wrogów. Podatnicy w Paryżu i w Londynie ściskani pasem coraz większych poświęceń ekonomicznych by ratować Kruppa mieli dość i dawali temu głośny wyraz. Co do trzeciego alianta, Stanów Zjednoczonych, sytuacja była trochę inna. Innymi przesłankami kierował się Waszyngton i innych spodziewał się od Niemców korzyści. Waszyngton i sąsiadujący z federalną stolicą Pentagon drżeli przed sowiecką groźbą bomby atomowej, drżeli też przed bliskością granicy sowieckiej w centrum Europy, a nade wszystko ponieważ uważali się za wojennych zbawców Europy, liczyli na wzmocnienie swojej pozycji politycznej w Europie i... na powojenne rynki zbytu. Nim jednak Krupp i I. G. Farben nie tylko wznowili, bo nigdy nie zatrzymali, ale zdwoili i stroili produkcję, Amerykanie po cichu i nie tylko po cichu, liczyli na użycie Niemców na pierwszą linię pożarcia przez sowiecką artylerię, gdyby się coś zaczęło. Europejczycy alianci nie mieli już ani siły ani środków do jakiegokolwiek walki. Tak to było na początku.

A co z tego wynikło? Amerykanie przegrali w Vietnamie i też nadwerzężyli poważnie i budżet państwa i cierpliwość wyborców. Kolejni lokatorzy Białego Domu mieli coraz to nowe kłopoty z Europą. Armia amerykańska w Niemczech kosztowała biliony dolarów a możliwość inwazji sowieckiej jakoś się z roku na rok oddalała, tak że w końcu, po podpisaniu różnych mniej lub więcej ważkich umów amerykańsko-sowieckich, Waszyngton się uspokoił i przestał drzeć. Francuzi, jak zwykle pragmatyczni, uznali po Algierii, że czas na zabezpieczenie własnych sklepików zamiast żyć w nadziei rządzenia całą Europą. Anglicy, przepojeni atlantyckim „special relationship” i przygnieceni permanentnym kryzysem gospodarczym, dali za wygraną i choć chcąc nie chcąc przystąpili w końcu do europejskiej wspólnoty interesów, i choć trzymają jeszcze resztki swoich wojsk

w Niemczech, wrócili do szukania bezpieczeństwa w tym, że są wyspą. W takim to klimacie Niemców nawet nie trzeba było budzić ze snu, bo nie spali ani chwili. Jak to u nich zwykle bywa, wzięli się do roboty i dziś, na początku roku 1994 stali się europejską potęgą. A może nawet potęgą w zasięgu światowym.

Dziś w konfiguracji europejskiej istnieją dwa główne motywy działania. Pierwszy, którego celem ma być handlowa wspólnota interesów Europy Zachodniej, i drugi, którym ma być unia bezpieczeństwa, obejmująca te same kraje. Pierwszy jest jasny i w gruncie rzeczy łatwy i możliwy do osiągnięcia przy odrobinie dobrej woli i wzajemnej uczciwości. Drugi nie tylko nasuwa poważne wątpliwości, ale daleki jest od jakiegokolwiek pozytywnego rozwiązania. Pierwszy streszcza cel ambicji handlowych mniej więcej równych sobie partnerów o równych handlowych manierach i o równych handlowych możliwościach. Mówi on nie tylko o wspólnym rynku, ale o wspólnej protekcji tego rynku, wspólnej obronie przeciwko intruzom, których polityczne przynależności i „manier” handlowe są inne, obce. Mówi o tym, że dopuszczenie tych „innych” może wspólnotę osłabić i przez to może ona stracić panowanie nad Europą. Ten motyw jest wprawdzie ważny, bo już sam w sobie dzieli Europę na dwa obozy, ale drugi motyw, ten mówiący o bezpieczeństwie jest o wiele ważniejszy. Ten dotyczy też i Polski i wszystkich krajów centralnej i Środkowej Europy.

Powyższy błyskawiczny sprint po mapie Europy wskazuje na jej podział. Wskazuje wyraźnie gdzie leżą jego nigdzie nie zatwierdzone granice. Trudno się nie dopatrzeć różnych analogii. Pamięć przywołuje przedjałtańskie nadzieje i pojałtańskie porażki. Ale nawet głębiej: w roku 1939 Polska, jak pokazały późniejsze wypadki historyczne, była bliżej Zachodu, bliżej centrum Europy, niż jest dziś. Koniec 1993 roku przyniósł rosyjskie niespodzianki, amerykańskie kroki izolacji od Europy i już dobrze rysujące się skutki połączenia Niemiec w jedną całość. Pisząc te słowa (3 stycznia), londyński „Times” przyniósł wiadomość, że prezydent Stanów Zjednoczonych Bill Clinton definitywnie (pro tem?) odrzucił przyjęcie Polski do sojuszu północnoatlantyckiego, bo może to wzniecić pretensje rosyjskie. Powiedział to w przeddzień nowego „szczytu” sojuszu w Brukseli, w którym będzie brał udział przed wizytą w Moskwie. Wracając do tematu, Niemcy należą jedną nogą do wspólnoty europejskiej bo bez nich wspólnota chyba by upadła. Ale drugą nogą depczą po Europie Wschodniej, która jest od wspólnoty oddzielona zarówno polityczną jak i ekono-

miczną barierą graniczną. Jeśli przyjmiemy, że istnieje „jałtański” podział na strefy wpływów - a mamy wiele na to dowodów - gdzie jest narzucona linia demarkacyjna? Czy na tej właśnie granicznej barierze, czy głębiej? I czy taka linia w rzeczywistości istnieje? Jeśli tak, to jest to kamień węgielny złożony uroczyście pod ziemią Europy Wschodniej i Środkowej w fundamentach Jałty. Jeśli nie, to czas jest jeszcze po polskiej stronie. Ale jaką miarą czas ten mierzyć? W czasach trochę dawniejszych, powiedzmy choćby w latach 30-tych, bezpieczeństwo polegało między innymi na gwarancjach jakie wielkie mocarstwa dawały krajom zagrożonym atakiem z zewnątrz. I, jak dobrze wiemy, gwarancje te grały. W roku 1994, nie mówi się o gwarancjach. I nie mówi się o bezpieczeństwie krajów zagrożonych, bo nie mówi się o zagrożeniu jako o praktycznej możliwości, nie dopuszczając nawet myśli o konflikcie zbrojnym na wielką skalę. Położyła temu kres broń nuklearna. Dziś więc jeśli mówi się o bezpieczeństwie, myśli się o konfliktach równie groźnych choć lokalnych i „na małą skalę”. Cała rzecz w tym, że skala jest względna. To co dla Stanów Zjednoczonych czy Unii Zachodnio-Europejskiej może być „konfliktem lokalnym”, dla państw Europy Wschodniej i Środkowej może być sprawą życia i śmierci.

Zainteresowanym czytelnikom polecam najnowszą książkę Timothy Gardon Ash pt. „In Europe's Name. Germany and the Divided Continent”, (Londyn, 1993, Cape). Jest tam wiele o dobrze nam znanej niemieckiej „Ostpolitik”.

„Tydzień Polski”, Londyn, 29 stycznia, 1994.

REDAKTOR I JEGO DZIEŁO

Mieczysław Grydzewski w stulecie urodzin.

Jednym z bardziej fascynujących aspektów pracy historyka jest wyszukiwanie oryginalnych i autentycznych źródeł informacji. Innym jest konfrontacja znalezionych w materiałach historycznych opinii, opisów i sprawozdań naocznych świadków, z faktami. A jeszcze innym umiejętność interpretacji sprawdzonych już faktów i ustalanie ich wpływów na naszą teraźniejszość. Historykiem, który takiej właśnie

fascynacji całkowicie się poddał i poświęcił jej olbrzymią większość swojej działalności, był Mieczysław Grydzewski, którego stuletnia rocznica urodzin przypada w styczniu 1994 r. Grydzewski nie był historykiem naukowym w ścisłym tego słowa znaczeniu, choć jako uczeń profesora Marcelego Handelsmana na Uniwersytecie Warszawskim, miał do tego wszelkie dane. Obrął on sobie literaturę i publicystykę jako główne pola działania. Do drobiazgowych dociekań historycznych wrócił częściowo jako *Silva Rerum* w późniejszych latach londyńskich. Tak czy inaczej, nigdy nie odbiegł od poszukiwań źródeł, ścisłej informacji i - co uważał za równie ważne - osobistych pamiętników, obserwacji, rozmów, nawet anegdot, „bon mots” wybitnych pisarzy, poetów, aktorów, historyków, ministrów, polityków, monarchów i magnatów. A nade wszystko od pasji sprawdzania każdego faktu, każdej cytaty, każdego zwrotu, pisowni każdego nazwiska, kropki, przecinka i cudzysłowu. Ponieważ wiedział, że każda konfrontacja opinii z faktami bliska jest kontrowersji, uznawał zawsze - i jako historyk i jako redaktor i jako publicysta, - zasadę, że jeśli zejdą się dwie lub więcej opinii, wszystkim należy się prawo głosu. Takim to głosem było dzieło jego życia: „Wiadomości Literackie” w Warszawie, „Wiadomości Polskie” w Paryżu i w Londynie, i wreszcie „Wiadomości”, w Londynie. Wszystkie trzy wcielenia tego głosu są w roku 1994 też jubilatem bo mija w tym roku 70 lat od dnia, w którym usłyszano go po raz pierwszy.

Mieczysław Grydzewski urodził się w Warszawie, kształcił się w Warszawie, doktoryzował się z historii u Handelsmana w Warszawie, zaczął wydawać pierwsze swoje pismo w Warszawie, większość swego życia w kraju mieszkał i redagował na ulicy Złotej pod numerem 8 w Warszawie, lubił najbardziej jadać w restauracji Simona i Steckiego w Warszawie a na kawę chodził do Ziemiańskiej na ulicy Mazowieckiej w Warszawie, gdzie przy stoliku na pięterku działała kuźnia najwybitniejszych młodych poetów i pisarzy polskiego dwudziestolecia, przy udziale równie rozentuzjasmowanych literaturą i niepodległością kibiców jak generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski, gawędziarz Franz Fiszer, i z młodszych malarz i rysownik Zdzisław Czermański. Żył więc warszawskim tętnem, warszawskim teatrem, warszawską plotką i warszawską przyjaźnią. Drugim miejscem, które ukochał było Zakopane, Tatry i górską wspinaczka. A później, trzecią atrakcją jego życia był Paryż i paryskie teatry. Pierwszym szczeblem kariery Grydzewskiego w piśmiennictwie pol-

skim był miesięcznik literacki „Pro Arte Et Studio” w latach 1916-1919 (do r. 1918 pismo młodzieży akademickiej uniwersytetu warszawskiego), którego tytuł został zmieniony w r. 1919 na „Pro arte”. Był to już załączek późniejszej grupy poetów „Skamandra”. Miesięcznik poetycki pod takim tytułem, redagowany przez Grydzewskiego ukazywał się w latach 1920-1928 w Warszawie, wznowiony w latach 1935-1939. Najwybitniejsi Skamandryci to Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Lechoń (Leszek Serafinowicz), Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński i najmłodszy z nich, Stanisław Baliński. „Skamander” zainaugurował poetyckie święto niepodległości, które trwało 20 lat. Grydzewski był w tym święcie marszałkiem polnym, gospodarującym rytmami czasem nieokiełznanym entuzjazmem poetów, musztrował ich w dyscyplinie literackiej, namawiał do pisania, był ich mentorem, krytykiem, korektorem, opiekunem, obrońcą i wielbicielem. Oni znowu wiedzieli, że bez takiego protektora i znawcy, bez wiernego wydawcy, pewnie nie doszliby nigdy do tej popularności, która była ich udziałem i dzięki której weszli do aeropagu literatury polskiej. Cytując za Marianem Hemarem... *Nie wiadomo czym pomysłem był ów tytuł wzięty z Wyspiańskiego, ze Skamandra, co falą połyska wiślaną, jeden czytelnik na stu wiedział, co to znaczyło, ale tytuł przylgnął jak ulal - każdy tytuł byłby może przylgnął do „genialnego szwadronu skamandragonów”, jak napisał Adolf Nowaczyński.* W tym to pierwszym okresie „Skamandra” Grydzewski sprawował funkcję redaktora nocnego warszawskiego dziennika „Kurier Polski”.

Perłą życia Grydzewskiego były jednak „Wiadomości Literackie”. Numer 1 ukazał się 6 stycznia 1924 r. Otwierał go wywiad redaktora ze Stefanem Żeromskim i credo pisma otwartego dla wszystkich, którzy mają coś interesującego do powiedzenia, bez żadnych uprzedzeń politycznych, religijnych ani rasowych. „Wiadomości Literackie” były w Polsce czymś nowym i w swojej formie nieznanym. W zaraniu niepodległości otwierały na dużych płachtach typu dziennika, ale na jakby odświętnym papierze, cały nowy świat bogatej kultury polskiej i obcej. Przybliżały literacką i oświeconą Polskę do źródeł innych kultur, do informacji, do nowych zjawisk literackich i artystycznych. Redaktor Grydzewski był w swoim żywiole. Trzeba pamiętać, że to nie on wybrał swój zawód, a zawód wybrał jego. Sam interesował się wszystkim, był ciekaw życia we wszystkich jego przejawach. Zaciekał też pisarzy rodzimych i czytelników, zaintrygował zuchwałą

postawą innowatora, nie bojącego się żadnych tabu, odwagą cywilną, pod warunkiem zachowania dyscypliny dobrych manier, kurtuazji w stosunku do przeciwników politycznych i literackich i - co najważniejsze - kurczowego trzymania się prawdy. Grydzewski instynktownie wyczuwał talent pisarski u innych. Patrząc dziś na głębokie nieporozumienia wynikające z nieprzestrzegania zasadniczych praw i przywilejów demokracji, myślę że nie będzie dalekie od rzeczywistości jeśli się powie, że redaktor „Wiadomości Literackich” wzbogacił pojęcie demokracji przez całkowite przejście jej zasad na polu kulturalnej wymiany myśli i słowa. Był on klasycznym liberałem z domieszką niecierpliwości tam gdzie działa się krzywda, i gdzie jasna kwestia gubiła się w gmatwaniu myślowej, i radykałem polskiego patriotyzmu bez żadnej domieszki. Ostatni przedwojenny numer (793/829) ukazał się z datą 3 września 1939 r. W tym miejscu dodać należy, że w latach międzywojennych ukazywała się w druku (chyba nie bardzo regularnie) też redagowana przez Grydzewskiego, bliska kuzynka „Wiadomości” „La Pologne Litteraire”, przeważnie w języku francuskim, choć bywały w niej też artykuły w innych językach. Wydawnictwo to było łącznym pomysłem Antoniego Bormana, Jadwigi Beckowej i redaktora a ukazywało się w porozumieniu z ministerstwem spraw zagranicznych. Bliskim kuzynem „Wiadomości” był też dodatek w postaci „Przyjaciela Psa”, ukazujący się dorywczo ale z dużym nakładem redaktorskiej pomysłowości i przywiązania do wszystkich psów.

Hitlerowski napad na Polskę 1 września 1939 r. zatrzymał tylko na krótką chwilę pracę Grydzewskiego bo oto już w marcu 1940 r. w Paryżu odżyły „Wiadomości Polskie”. Parafował je Zygmunt Nowakowski, ale redaktorem udziałnym był w dalszym ciągu Grydzewski. Krótka paryska sielanka skończyła się z datą ostatniego paryskiego wydania: 23 czerwca tegoż roku. Przeniesione do Londynu (pierwszy londyński numer 17 lipca 1940 r.) razem z władzami Rzeczypospolitej, ostro przeciwstawiające się pojednawczej polityce aliantów w stosunku do Związku Sowieckiego, wytrzymały do 1944 r., kiedy pod pozorem braku papieru władze brytyjskie wycofały debit pisma.

Przez następne dwa lata Grydzewski spędzał nie część - co miało miejsce kiedy był czynnym redaktorem - ale cały czas w czytelni biblioteki British Museum. Tam powstała wspaniała antologia „Wiersze polskie wybrane” (1946) i książka (po angielsku) „Chopin As Seen By His Contemporaries”, pomimo wielu zabiegów wydawniczych

nigdy nie wydana. Lata te poświęcił też Grydzewski na inne sporadyczne wydawnictwa i na przygotowanie następnego wcielenia „Wiadomości”. 7 kwietnia 1946 r. redakcja znalazła się na 27 Rosary Gardens, w londyńskiej dzielnicy Południowego Kensingtonu. Redaktor miał wtedy 52 lata. Były one już bezprzymiotnikowe w tytule, ale tak samo jak od początku swego istnienia, pięcioprzymiotnikowe w zawartości. Przyniósł ze sobą w grubo wypchanej teczce materiały na dobrych kilka numerów, w młodzieńczym sercu niepowstrzymaną energię, a w głowie niekończące się pomysły. We frontowym parterowym pokoju Grydzewski czuł się u siebie, miał biurko redakcyjne zawsze zasypane papierami, miał telefon, miał materiał i (choć lubił w tej sprawie udawać pesymizm) ogonek czekających z zapartym oddechem czytelników. Wróciły mu wszystkie ulubione przez niego i jego przyjaciół dziwactwa, wróciła w wyostrzonym wymiarze niecierpliwość do gwizdzących konduktorów w autobusach i do ospałych kelnerów. Odezwała się na nowo walcząca i bezkompromisowa wola przywrócenia Polsce wolności i suwerenności. Po dwóch latach był znowu warsztat gdzie walkę można było aktywnie kontynuować. I kontynuował ją aż do końca.

Pisząc o Grydzewskim w rocznicę i jego, i jego dzieła, nie można pominąć choćby paru słów o osobach mu najbliższych. Grydzewski był w gruncie rzeczy samotnikiem zarówno w pracy jak i w przyjaźniach. Przyjaźni było wprawdzie wiele, ale każda była inna. Były przyjaźnie takie jak z Wierzyńskim czy z Lechoniem - te najbliższe gdzie można było mówić otwarcie o najbardziej osobistych sprawach codziennych - i takie jak z Zygmuntem Nowakowskim - te bardziej zawodowe, w których wzajemny respekt nie dopuszczał do wymiany uczuć, i takie jak z profesorem Stanisławem Strońskim, kiedy spierano się często o najważniejsze postulaty polityczne. Grydzewski miał dla wielu głębokie uczucia przyjaźni w milczeniu. Nikt nigdy nie był mu obojętny. Zauważał i wyczuwał każdą obecność. Z drugiej strony lubił trzymać swój prywatny dystans bo był człowiekiem niezmiernie delikatnym, nigdy się nie narzucającym, skromnym, wstydliwym nawet, a także łakomym na ludzkie ciepło, które przyjmował jako wielki dar, który mu się według niego nie należał. Rodziny nie miał poza oddaną mu kuzynką Zofią Wilczyńską. Myślę, że człowiekiem mu najbliższym był Antoni Borman. Od początku współwydawca, ten który przyczynił się nie tylko pracą i entuzjazmem, ale i finansowo do pierwszego numeru „Wiadomości Literackich”, człowiek który zawsze

był wtedy, kiedy był potrzebny, który w 1946 r. w Londynie, tak jak w 1924 w Warszawie, zakasał rękawy i pakował, nalepiał znaczki i rozwoził „Wiadomości”. Drugim, inaczej ale też bliskim, był Juliusz Sakowski, zwłaszcza w czasach wojennych i powojennych, i jego żona pani Stefania, u których przez wiele lat mieszkał. Państwo Stefania i Adam Kossowscy byli też przez wiele lat niezawodnymi przyjaciółmi. Pani Stefania, objąwszy ostatni ster londyńskich „Wiadomości”, kontynuowała z największym oddaniem dzieło mistrza. Były to osoby w jego kręgu codziennym. Ale równie bliskim, jako niezawodny protektor, przyjaciel pisma, pisarz i opiekun, w czasach dobrych i złych był Prezydent Edward Raczyński. Było osób więcej, ale ponieważ Grydzewski nie miał bliższej rodziny, związanie z jego imieniem wyżej wymienionych uważam za konieczne w tym krótkim rocznicowym wspomnieniu. Co do autorów (nigdy nikt przeciętny) i współpracowników wszystkich trzech wcieleń „Wiadomości”, gdyby wymienić wszystkich, powstałby niemal kompletny słownik biograficzny literatury polskiej i dwudziestolecia i pięćdziesięciolecia.

Mieczysław Grydzewski zmarł w Londynie w 1970 r.

„Dziennik Polski” („Środa Literacka”), Londyn, 19 stycznia, 1994.

NIEPOROZUMIENIE MORALNE

W międzynarodowej prasie narodów, które uznajemy za cywilizowane, czytamy coraz więcej o tak zwanej moralności. O moralności politycznej, o moralności (albo nie) polityków, o moralności demokracji, o moralności prasy, sądów, policji, rządów, przestępców kryminalnych, młodocianych, a nawet dzieci, partii politycznych, ministrów, posłów do parlamentu, prezydentów i premierów, rodzin królewskich, no i w końcu zwyczajnego człowieka, homo sapiens, od którego - w sumie rzecz biorąc - wszystko się zaczyna. Początek temu dała, jak się wydaje, prasa brytyjska od słynnego już dziś wezwania premiera John'a Major'a „Back to Basics” („Powrót do zasad”), ale ponieważ prasa tutejsza jest czytana też szeroko w świecie i komunikacja reportażowa jest dziś błyskawiczna, a język angielski opanował świat, więc po świecie się rozeszło. Opinia publiczna, nie wiadomo jakim obliczona wymiarem, stawia coraz to nowe zasady tego co jest moral-

ne, a co nie. Zabierając głos przy pomocy prasy, radia i telewizji, wydaje wyroki, narzuca kary tym, których uważa za winnych przekroczeń i łatwych prześlizgów z „moralności” do „niemoralności” i wreszcie ustala granice tak zwanej przyzwoitości. Innymi słowy, co uchodzi, a co nie. Ponieważ prasa narodów cywilizowanych jest na ogół wolna od cenzury (?), więc dobrze, że informuje i że pisze i mówi o rzeczach ważnych, dobrze że jest dyskusja, bo zasady są ważne i moralność jest ważna jeśli umówimy się, mniej więcej dokładnie, co znaczy pojęcie „moralność”. Nie to co ujdzie, ani to co się pomimo wątpliwości uda, ale na czym oparte są zasady tego, co uważamy za moralnie pozytywne, do przyjęcia, dopuszczalne, a co albo wcale, albo tylko z pewnym zastrzeżeniem.

Polska Encyklopedia Popularna PWN (1992) tak pisze pod hasłem „Moralność”: *W znaczeniu wartościującym: zgodność działań ludzkich z prawdą i dobrem osób; w znaczeniu szkoły filozoficznej akcentują bądź niezmienność głównych zasad moralności, bądź ich zależność od epoki i środowiska.* W dużym skrócie odpowiada to ogólnie przyjętym zasadom, ale otwiera bramy niekończących się możliwości różnych interpretacji. Na przykład, coś co może być uznane „w porządku” przez demokratycznie wybranego w wolnych wyborach posła do sejmu czy senatora, któremu wyborcy dali do ręki trochę władzy, może być uznane za zupełnie nie „w porządku” przez dziennikarza którego jedynym zainteresowaniem zawodowym jest jak ten poseł władzę, którą mu dano zdobył i jak ją zużyje. Czy „moralne” są obietnice przedwyborcze kandydata do parlamentu, który może w nie nawet sam wierzyć jako obywatel, ale wie, że niedługo się utrzyma przy władzy jeśli będzie je po wyborach podtrzymywał, albo nawet wiedząc, że ich wykonanie byłoby sprzeczne z polityką jego partii? Czy „moralne” jest użycie przez dziennikarza środków inwigilacji prywatnego życia tego posła czy senatora w nieukrywanym celu publikacji jej rezultatów? W obydwóch wypadkach odpowiedź musi być negatywna. A jednak świat przyjmuje ten stan rzeczy jako „normalny”, jako spodziewany, wiedząc że nic go nie zmieni. Że dalej będziemy codziennie słuchać sloganów wygłaszanych przez żądnych władzy polityków, którzy ani z prawdą ani z dobrem osób niewiele mają wspólnego. Ale wierzą, że mają, choć nikt inny już wierzyć nie potrafi. Gdzie tu „zgodność działań ludzkich z prawdą i dobrem osób”? Czy to tylko niedościgniony cel idealisty, czy chorągiewka, którą zasłania się każdy żądny władzy, bez względu na to czy ma do

niej kwalifikacje czy nie? Jako model do naśladowania uznajmy ich niezmiennosc, ale nie wchodzmy bliżej w zakamarki ich sumienia bo to już „niemoralne”.

Zostaje zależność od epoki i środowiska. Ta wydaje się bliższa prawdy i rzeczywistości z którą mamy do czynienia na codzien. Mówimy o epoce dzisiejszej i o dzisiejszym środowisku o zachodnich poglądach i zachodniej kulturze. Mówimy o społeczeństwach, które zaczęły kwestionować moralność swoich polityków, swoich przywódców, i które wątpią dziś w skuteczność swoich własnych systemów administracyjnych w obliczu marnotrawstwa mienia publicznego i nawet braku dostatecznych organów kontrolnych. Stąd szeroki zakres „moralnej” dyskusji. Każdy kronikarz naszych czasów musi zanotować pogarszający się stan braku dyscypliny osobistej i zbiorowej, braku dobrych manier w stosunkach ludzkich, a nade wszystko, już nie braku, ale wielkiego nadmiaru słowa mówionego, nawet krzyżącego w odróżnieniu od słowa pisanego. Słowo pisane zostawia czytającemu dowolność w korzystaniu z niego. Słowo krzyżane zwykle wymaga natychmiastowej odpowiedzi, często równie głośno krzyżanej. Wszystko to, tak czy inaczej, łączy się z tym co mówimy o moralności lub jej braku. Bo gdzieś, z biegiem lat, zeszły z drogi normy, te które nazywamy normami przyjętymi z tradycji, z historii i z poczucia kontynuacji środowiska. Gdzieś z tej drogi znikły wyboje, które trzeba było przejść, czasem kalecząc kolana. Dziś wszystko jest podobno łatwe, wszystko się wszystkim należy. I dlatego politycy muszą ciągle obiecywać coś więcej, coś lepszego, bardziej atrakcyjnego, żeby utrzymać się przy władzy, zapominając o tym co moralnie jest o wiele potrzebniejsze: sumienie.

„Tydzień Polski”, Londyn, 19 marca, 1994.

NUKLEARNE I INNE WIDMA

Przyzwyczajenia nabyte w czasie zimnej wojny są jak grypa: mają swoje sezony. Istnieje jedna międzynarodowa profesja, prawie tak wiekowa jak ta najstarsza, specjalnie podatna sezonom grypowej epidemii. Ma ona wiele nazw: służba wywiadowcza, wywiad, bardziej praktycznie choć i wulgarnie - szpiegostwo, lub eufemistycznie -

„informacja” albo z angielska „intelligence”. W Polsce mówiło się „dwójka” od francuskiego „deuxieme bureau”, czyli tradycyjnie drugi oddział sztabu generalnego. Była to i jest profesja okryta zwykle mgiełką tajemniczości i wdziękiem grzesznej intrygi, która obejmowała cały wachlarz niedopowiedzianych zdań, niedokończonych rozmów i domysłów. Historia europejska zna mnóstwo okoliczności i osobistości, które możnaby zaliczyć do niej od najdawniejszych lat, ale jeśli skoncentrować się tylko na wieku XX-tym, okres tuż przed, w czasie i po pierwszej wojnie światowej dałby, pewnie podstawy na których wielkie mocarstwa i inne kraje przeszły z romantycznego amatorstwa do zorganizowanego zawodowstwa. Dzięki zimnej wojnie i niemal nieograniczonemu postępowi techniki nastąpiło udoskonalenie metod wywiadowczych. Dziś ta doskonałość doszła do tego, że w gruncie rzeczy nikt nic ukryć już nie może. Każdy nowy wynalazek techniczny, przemysłowy, militarny czy geologiczny, zbrojeniowy czy obronny, staje się własnością wszystkich zainteresowanych. Tajemnic już nie ma. A jednak....

Zimna wojna była zimna między innymi dlatego, że był dobry wywiad. Nie dlatego, że podpisywano sobie wzajemne obietnice. Obie strony - Wschód i Zachód - wiedziały o sobie (tak im się przynajmniej wydawało) wszystko. A specjalnie ile nuklearnych głowic miała każda z nich i gdzie były osadzone. Ale sytuacja polityczna była jasna. Komunistyczna dyktatura trwała nadal i nic nie wydawało się kruszyć jej podstaw. Kiedy jednak na przełomie lat 1989/1990 zaczęła się kruszyć dotychczasowa fasada Kremla, początkowa euforia Zachodu, specjalnie w Stanach Zjednoczonych, nie zaćmiła całkowicie czujności wywiadu. Zwolniła jej tempo i niecierpliwą pilność zastąpiła swobodniejsza analiza wydarzeń. Choć nuklearne głowice siedziały nadal w tych samych miejscach, a nawet zaczęto je powoli i częściowo rozbierać, materiały przychodzące od agentów z Moskwy i innych ośrodków, dotyczyły bardziej spraw cywilnych niż wojskowych. Zmiany na Kremlu postępowały szybko, ale do stabilizacji tak jak ją pojmuje Zachód, było jeszcze daleko. I daleko do niej jest dziś. Wywiad więc nie mógł spać. Im więcej zmian politycznych tym więcej niepewności. Ośrodki „informacji” wzmogły tempo działania. Zarówno wschodnie jak i zachodnie.

Inne przyzwyczajenia służb informacyjnych są raczej tradycyjne i dawniejsze niż zimna wojna. Dotyczą one tylko profesjonalnych uczestników tych niebezpiecznych gier. Jest rzeczą wiadomą, że bez

wzajemnej wymiany usług cały aparat ugrzązłby po pewnym czasie w nie kończącym się labiryncie spekulacji i niesprawdzonych informacji. Co nie jest zawsze wiadome, to że jest tylko jeden maleńki kroczek od pozycji szukającego informacji do pozycji informującego. Każda organizacja typu wywiadowczego musi, czy chce czy nie chce, doświadczyć tego na własnej skórze prędzej czy później. Nie należy dociekać przyczyn, to też tak jak grypa. Musi się to przejść.

Nie jest może łatwe przyznać kiedy dzieje się to na własnej skórze. Central Intelligence Agency w Waszyngtonie przeżyła szok, którego nie spodziewała się ze źródła z którego przyszedł. Sprawa Rick'a i Rosario Ames, jako agentów rosyjskich, operujących przez tak długi okres czasu, była niespodzianką. I w tym cała rzecz, że nie powinna być ona być niespodzianką. Ale może było już za późno, żeby ją wykorzystać. Mamy tu do czynienia z dużą ilością niewiadomych, a najważniejszą z nich jest kto w tej wymianie usług zyskał a kto stracił? I czy „opposite number” państwa Ames na Kremlu dostarczał równie ważnych informacji CIA? Rzecz prosta, nigdy się nie dowiemy. Tymczasem normalne dyplomatyczne „wzajemności” wyrzucania dyplomatów bo tego wymaga międzynarodowa recepta na wszelkie „nietaktowne” potknięcia, spokojnie sprawę zakończą. Pozostaje tylko meritum sprawy: Ilość obustronnie osadzonych głowic nuklearnych nie jest już chyba ważna, bo niewiele ich właściwie potrzeba, żeby zniszczyć świat. Chodzi więc o zamiary tych od których zależy ich użycie, czyli gra psychologiczna na śmierć i życie. Przypomina się stary film angielski z ostatniej wojny w którym dowódca niemieckiej łodzi podwodnej czyhającej na dnie Atlantyku, znajduje się w pojedynku psychologicznym z brytyjskim dowódcą krążownika, czekającego na właściwy moment by go storpedować. Obaj manewrują przez dłuższy czas, aż w końcu wyczerpują wszystkie znane im obu możliwości techniczne i taktyczne i pozostaje im obu tylko intuicja. Kiedy wreszcie Niemiec wychodzi na powierzchnię, raniony paroma torpedami, Anglik znajduje się niemalże dokładnie nad nim i atakuje już nie torpedą, ale całym krążownikiem. Długo patrzą sobie w oczy bez słowa bo obaj zrozumieli, że ich intuicja była identyczna. Łódź podwodna była zniszczona, a krążownik unieruchomiony. Nikt nie wygrał i nikt nie przegrał.

„Tydzień Polski”, Londyn, 23 kwietnia, 1994.

JAK DALEKO JEST WILNO?

W niedawnej rozmowie prywatnej z Konsulem Generalnym R. P. Januszem Kochanowskim zawadziliśmy, ni z tego ni z owego, o Wilno. Mowa o tym mieście i o jego dziś tylko częściowej polskości, rozgrzewa pamięć i podnieca sumienie. Nie chodzi o winę czy jakieś narodowe czy osobiste grzechy przeszłości, ale o spotkanie twarz w twarz z tym co było i z tym co zostało. Wiemy, że nie wróci już w całości, ale wiemy też że takie spotkanie może - tak jak zwierciadło - ukazać rąbek światła niedostrzeżony poprzednio. Zaraz za rozmową pośpieszyła pokaźna przesyłka materiałów rzeczowych, w których znaleźć było można cały obraz kulturalny litewskiej polonii. Jest jej ponad 260 000, czyli jak obliczono, 7% całej ludności Litwy. Najliczniejszy jest rejon Wileńszczyzny. Obraz kulturalny, a w nim na pierwszym miejscu szkolnictwo polskie, i zaraz potem piśmiennictwo, zmienia się w dojrzałość z każdym mijającym rokiem. Jest świadom swoich celów, jest ambitny i dumny z tego co już osiągnął. Ale tak jak wszyscy potrzebuje poparcia. Oficjalnego i prywatnego.

Tak się złożyło, że 11 listopada 1992 roku byłem w mroźnym już Wilnie. W ambasadzie R. P. powiedziano mi, że w kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu odbędzie się wieczorem msza św. za Polskę. Mszę św. celebrował nuncjusz apostolski na Litwie, Hiszpan, Arcybiskup Justo Mullor Garcia, pierwszy od wojny ambasador pierwszego polskiego Papieża. To on też wygłosił po francusku piękną homilię, tłumaczoną jednocześnie na polski, przy pomocy mikrofonu, przez polskiego księdza. Nazwał on tę homilię „Homilia w dzień Polski” („Homilie dans la journée de la Pologne”) [...] *Dziś, w święto narodowe Polski, będziemy dziękować Bogu za dar wiary udzielony olbrzymiej większości Polaków. Ale, ponieważ jesteśmy grzesznikami, nasz stan łaski musi być poprzedzony prośbą o przebaczenie... za uczynki przeciwko wierze, za zwątpienie w nadzieję, za brak miłości, zrozumienia, tolerancji, braterstwa... Żyjemy w momencie fascynującym w historii Kościoła i historii Polski, i wszystkich narodów chrześcijańskich...* Arcybiskup wymienił tu i Litwę i Polskę i swój kraj ojczysty - Hiszpanię, chcąc podkreślić łączność europejskiego chrześcijaństwa, przywołał naukę Papieża o jedności duchowej narodów w chrześcijaństwie zjednoczonych i przypomniał, że nie wystarczają same tradycje. Chrześcijaństwo wymaga dobrej woli od wszystkich. Myślałem wtedy, że nie mogło być przypadkiem, że

właśnie nuncjusz apostolski odprawił mszę św. na cześć Polski w Wilnie w roku 1992 i to w dniu dla Polaków tak znamienym jakim jest dzień 11 listopada. Homilią swoją objął on zrećnie całą swoją „parafię”, polską i litewską, rozumiejąc konieczność współpracy litewsko-polskiej. To był wyraz specjalnego poparcia. Słuchając słów Arcybiskupa, rozglądałem się po otaczającym mnie tłumie. Był to tłum, po którego twarzach nie płynęły łzy ani radości, ani wzruszenia. W oczach widać było smutek i zamyślenie, tak jakby twarde postanowienie przetrwania. Bo to był twardy tłum mocnych ludzi. Takich, których źródła cierpliwości rzadko się wyczerpują, i ludzie którzy nigdy nie dochodzą do stanu desperacji. Widziałem już te same twarze w latach 1939/1940 w tym samym miejscu. Nic nie było w tym dziwnego: dla starszych życie jest i trudne i niezmiennie. Przyjąć je takie ono jest z godnością im wystarcza. Ale cały obraz kulturalny, oświata i szkolnictwo - to młodzież i dzieci. Patrząc na dzieci i młodzież, niektórzy w harcerskich mundurach, inni i kostiumach narodowych, ci mieli w oczach święto, a święto było rzadkością. Był inny dzień, nie taki jak codzień. Dzień specjalny. Wracalem z kościoła z Litwinem, oficjalnym gościem na mszy św., szefem departamentu polskiego w ministerstwie spraw zagranicznych i członkiem urzędu mniejszości narodowych rządu litewskiego. Mówił, rzecz prosta, płynnie po polsku. Miał lat pewnie około pięćdziesięciu. Urodzony Wilnianin. Ale nie należał do mniejszości.

Czytam teraz w prasie londyńskiej, polskiej i angielskiej, i w prasie krajowej, o traktacie z Litwą podpisanym w Wilnie przez prezydentów Polski i Litwy. Jest to traktat piętnastoletni. W materiałach przesłanych czytam też „Dokumenty IV Zjazdu Związku Polaków na Litwie”, z lutego 1994 roku. W dokumentach tych raz po raz powtarza się słowo „przetrwanie” w odniesieniu do mniejszości polskiej na Litwie. Nie widzę miejsca na to słowo bo wskazuje ono na wątpliwość czy polskość na Litwie będzie mogła w przyszłości istnieć, albo na spekulację historyczną na przyszłość. Obecna rzeczywistość nie przeprowadza żadnych zasadniczych zmian. Zatrzymuję się więc na rozdziale dokumentów, w którym jest mowa o języku, o oświacie i o szkolnictwie. „Los języka - to los narodu”. Mówi się tu nie o polskim separatyzmie, uznaje się fakt, że Wileńszczyzna jest integralną częścią składową Republiki Litewskiej, ale jest mowa o utrzymaniu praw mniejszości w szkołach i innych zakładach naukowych... *Język ojczysty ludności polskiej nawet w historycznie zwartych*

skupiskach na Litwie jest systematycznie, wbrew normom międzynarodowym i ustawodawstwu Republiki Litewskiej, wypierany z życia publicznego. Nie jest szanowana zasada, że odrodzenie języków mniejszości jest oznaką bogactwa i żywotności cywilizacji [...] Dokumenty wskazują na to, że dążenia są na dobrej drodze - traktat na pewno pomoże - ale znowu konieczne jest poparcie. Litwa, jako członek Rady Europy, niezupełnie jeszcze przestrzega jej regulaminów. Nie ulega jednak wątpliwości, że dążyć będzie do zacieśnienia stosunków zarówno gospodarczych jak i kulturalnych z Europą zachodnią. Rzecz w tym, że nie będzie pewnie błędem przypuszczać, że wszelkie okazje stypendiów zagranicznych i wszelkich wymian młodzieżowych, studenckich czy magisterskich, wynikające z oficjalnych, rządowych powiązań z Europą Zachodnią zarezerwowane będą dla Litwinów. Polska kultura na miejscu może uzyskać z czasem wiele niezależności, ale czy będą jej dostępne te same co Litwinom ułatwienia i możliwości zagraniczne?

Emigracja polska na Zachodzie ma wiele doświadczeń w dziedzinie sprowadzania młodzieży i nawet czasem dzieci w wieku szkolnym, do Anglii i innych krajów. Dzisiaj już dzieci i wnuki tej emigracji mogą zastąpić ojców i dziadków w podtrzymywaniu ich tradycji - tym razem apelując do potomków zachodnich Wilniuków i do całej emigracji - by zarzucili jeżeli już nie most, to kładkę do dalekiej Wileńszczyzny, która wyda się wtedy o wiele bliższa.

„Tydzień Polski”, Londyn, 18 czerwca, 1994.

LIST DO SYNÓW

Rok temu, chodząc po tatrzańskich dolinach pomiędzy Zakopanem i Bukowiną i wdychając czyste jak łyzy, kryształowe powietrze górskie, myślałem o tym jak moi synowie, urodzeni, wychowani i wykształceni w Anglii, mają kochać swoją ojczyznę, której nie znają. Moje myśli, kołysane wiatrem z widocznych jak na dłoni przełęczy górskich, przenosiły się raz po raz z tatrzańskich szczytów do angielskich nizin i z powrotem. Z myśli tych powstał list.

Rodziliście się w czasie kiedy nasze losy na najbliższe lata były już przesądzone. Zdjęliśmy mundury ale zamiast wracać do ojczyzny,

zostaliśmy na obczyźnie. Nie myśleliśmy wtedy o tym jak wytłumaczymy wam to co się stało bo byliśmy przejęci tworzeniem nowego życia, dachu nad głową, zawodu, szukaliśmy dla was bezpieczeństwa w obcym, choć przyjaznym świecie, żyjąc z dnia na dzień, ale obserwując was każdego ranka i wieczora. Nie snuliśmy wtedy planów ani dla was ani dla nas bo ważne były tylko krótkoterminowe rozwiązania. Dwa razy do roku przychodziły, tak jak dawniej, święta: Boże Narodzenie i Wielkanoc, różne urodziny, różne imieniny, kiedy były chwile smutku, których genezy nie umieliśmy ująć w słowa bo byłyby one dla was niezrozumiałe. Słowa te polykaliśmy szybko z plackami i mazurkami i tylko ich smak przypominał nasze własne dzieciństwo i młodość. Dla was ten smak był nowy ale inny. Dla was to były słodczyce i łakocie, dla nas to były lzy, żal i ból odejścia na zawsze. Jediną radością byliście wy. Jedinym celem naszego życia byliście wy. Ojczyzna była zawsze przy nas, ale patrzyliśmy na nią z daleka, bo wiedzieliśmy, że nie była w zasięgu dotyku. Byliście ciągle mali i odwlekaliśmy na przyszłość wytłumaczenie wam dlaczego mówimy językiem, którego nie słyszycie poza domem i dlaczego mówimy często o bliskich nam osobach, których nie znacie. Nie była to zwłoka całkiem świadoma, ale była wygodna bo nie wywoływała pytań, na które nie było prostej odpowiedzi. Jediną odpowiedzią była cała historia Polski. Pamiętam, że kiedyś powiedziałem w obecności starszego syna - miał wtedy pewnie nie więcej niż 5/6 lat - że moje dzieciństwo i młodość trwały tak długo jak młoda Polska. A gdzie jest stara? - pytał.

Potem przysłała pierwsza szkoła i nawet z polskimi rówieśnikami bardzo szybko zaczęliśmy mówić po angielsku. Było to dla was normalne. U nas wzbudzało poważne różnice zdań. Ale trudno było zapobiec procesowi, w którym chodziło o to żebyście mieli równe szanse w życiu, bez względu na decyzję waszych rodziców pozostania na obczyźnie. Dla was nie była to już obczyzna. Dla was był to jedyny dach nad głową, któryście znali, jedyny ustalony tryb życia i jedyny dom. Nie powiem ojczyzna, bo od najwcześniejszych lat musieliście sobie zdawać sprawę, że ten kraj, w którym żyjecie nie jest jedynym domem jaki znali wasi rodzice. Wiedzieliście, że mają oni inne horyzonty przeszłości, a więc także i widnokreśli przyszłości. Musieliście wiedzieć, że wasi rodzice do końca życia dążyć będą do powrotu do ich ojczyzny, ale pojęcie to dla was z każdym rokiem i z każdym osiągnięciem życiowym oddalało się w przestrzeń, która w waszej

świadomości była już taka daleka, że stawała się abstrakcją.

Pamiętam, moi drodzy, że było to w okresie jednego z ostrych zaognień politycznych o Berlin, kiedy wasza matka zabrała was pociągiem do Polski. Zaognienie musiało być dość poważne bo przestrzegwał mnie w czasie waszego tam pobytu Foreign Office w Londynie o możliwości różnych trudności w razie pogorszenia sytuacji. Wróciliście bez szwanku, ale także bez zrozumienia ani moich obaw ani możliwości na przykład zamknięcia granicy. Już wtedy musieliście sobie zdawać sprawę, że jako mieszkańcom tego kraju, włos wam z głowy spaść nie może. Takie to były czasy i taki to był kraj. I byliście jeszcze o wiele za młodzi by myśleć o tym w jakim konflikcie uczuć żyli wasi rodzice i rodzice waszych polskich rówieśników, dla których ojczyzna była niezmienna, zawsze taka sama, zawsze ta sama, zawsze jedyna, ale ci co nią władali odbierali jej tożsamość. Ich tożsamość, wbrew ich woli.

Kształciliście się dalej w świetnej szkole benedyktyńskiej, gdzie dzięki głęboko zakorzenionej tradycji brytyjskiej, niczym nie różniście się od waszych rówieśników. Ale równie dzięki i tradycjom, i wychowaniu, a także przyjętym zwyczajom, nie mówiono o patriotyzmie. Patriotyzm jest tutaj sprawą ściśle prywatną, osobistą i nie mówi się o niej głośno. Słuchaliście jednak w domu, od czasu do czasu, o polskiej potrzebie akcentowania przynależności narodowej, o obywatelstwie, o obowiązkach ojczyznianych, o pomocy Polaków z obczyzny dla Polaków w Polsce, o choćby bliskości rodzinnej i o bliskości przyjacielskiej, o wspólnych przeżyciach wojennych, które łączą ludzi na całe życie, co jest też wyrazem swego rodzaju patriotyzmu. Muszę wam powiedzieć, że sam wolę patriotyzm cichy prywatny raczej niż głośny i wyzywający bo ten ostatni czasem przechodzi w współzawodnictwo. Zmierzam do tego, że ojczyzna jest pojęciem dla każdego innym. Tak jak modlitwa. Indywidualnie musi być głosem wewnętrznym, zbiorowo jest krzykiem tłumu, czasem pieśnią, o pomoc, o poddanie się woli nieba, czasem dziękczynienie, czy w smutku czy w radości. Niekoniecznie mówić trzeba o miłości ojczyzny jako o pojęciu oderwanym, ale nasz stosunek do ojczyzny mieścić się powinien w całej gamie uczuć, tak jak do osoby najbliższej, tak jak matki i ojca do dzieci.

Potem przyszły lata uniwersyteckie, przygotowania do zawodu, pierwszy stopień dojrzałości i samodzielności. Dziś po latach rzetelnej pracy jesteście obaj na wysokich szczeblach pracy zawodowej, odpo-

wiedzialni za siebie i za innych. Macie obaj domy rodzinne, jeden z was małe dzieci. Kraj, w którym życie nie był dla was nigdy obczyzną i nigdy nie było dla was dziwne to, że życie tu a nie gdzie indziej, choć już jako dojrzały ludzie musieliście sobie zadawać pytanie czy wasi rodzice są jedynym łącznikiem pomiędzy wami a ich ojczyzną, czy jest w was samych inny element, może mniej jasny, czy uchwytny, który wskazuje na to, że ich ojczyzna jest też waszą ojczyzną i że nic tego zmienić nie może. W miarę jak żęście dojrzewali i dorastali, a specjalnie w ostatnich już czasach od kiedy jesteście ustabilizowani w życiu, stopniowo dostrzegałem różne aspekty waszego zainteresowania Polską. W waszym życiu zawodowym i towarzyskim spotykacie, jak się okazuje, coraz więcej Polaków w waszym wieku i o podobnych czy pokrewnych zainteresowaniach zawodowych, zarówno z kraju jak i rozproszonych po świecie. Dziś nic już nie jest dla nowych pokoleń Polaków obczyzną. Świat stoi dla nich otworem. Stąd pewnie słyszę coraz więcej pytań dotyczących spraw polskich. Odczuwam przybliżenie do tych spraw nie jako platoniczną czy zdawkową konwersację, ale sygnał do konieczności zdobycia nowej wiedzy.

W latach bezpośrednio powojennych i nawet późniejszych, kiedy rośliście w domu rodzinnym, miałem często kłopot ze znalezieniem czasu na to co może wielu by uważało za święty obowiązek, rozpraszania cieniów przeszłości. Żeby uspokoić sumienie zacząłem wierzyć, że nie patriotyczne legendy są kluczem do zaszczerpienia miłości ojczyzny, ale że przychodzi moment w życiu każdego człowieka, w którym wewnętrzne poczucie przynależności do źródła z którego wyszedł wywołuje w nim siłę uczucia. Nie znalazłem jak dotąd prostej jednosylabowej odpowiedzi na pytanie czy można kochać ojczyznę, której się nie zna, ale z tego co od was słyszę i z tego co w was widzę, patrzę spokojnie w przyszłość opierając się na doświadczeniu, że sama emocja znalezionej uczucia wystarcza.

„Dziennik Polski” („Środa Literacka”), Londyn, 20 lipca, 1994.

O EDWARDZIE RACZYŃSKIM W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ZGONU

Przegląd literatury i publicystyki o Ambasadorze i Prezydencie R. P. Edwardzie Raczyńskim (1891-1993) w rok po jego śmierci wskazuje na obszerne i szczegółowe życiorysy i równie dobrze udokumentowaną działalność polityczną, dyplomatyczną, społeczną i literacką, nie pomijając przeżyć osobistych męża, ojca i młodszego syna ukochanej matki. Było to życie bogate w poważne osiągnięcia dzięki jego charakterowi, wykształceniu, umiejętnościom i wielkiej godności osobistej, połączonej z pokorą i skromnością. I, jako mężowi stanu, dzięki zrozumieniu naszych narodowych wad i zalet. Przegląd ten pozwala też na zastanowienie się nad tym jakie zostawił nam wskazówki postępowania, by ułatwić realizację tych dążeń, które były jego i naszym wspólnym celem. Nie będzie chyba błędem nazwanie jego moralnego i politycznego testamentu - testamentem dydaktycznym. Począwszy od własnej edukacji humanistycznej i prawniczej w młodości, do wczesnych lat w wojsku i w dyplomacji, lat wojennych i powojennych, jako delegat Polski przy Lidze Narodów w Genewie, ambasador Polski w Londynie i kierownik polskiej polityki zagranicznej, - oświata, w jak najszerszym tego słowa znaczeniu, nauka „polskości”, jej historii i jej politycznej roli w Europie i w szerszym świecie, była bliska jego sercu. Bliskość ta miała wyraz praktyczny w trosce o kształtowanie dzieci i młodzieży w czasie wojny, o udostępnienie temu samemu pokoleniu i powojennemu napływowi żołnierzy z wielu frontów wojennych, studiów wyższych i wreszcie długoletniej opiece nad polskimi bibliotekami i archiwami, nie pomijając polskich wydawnictw, wszędzie tam gdzie się pojawiały jako czasopisma niepodległościowe w czasach złych, czy wolne już w czasach lepszych (nawet w Wilnie po odzyskaniu niepodległości przez Litwę). W szerszym wymiarze, testamentem wychowawczym jest też jego bezwzględna „ponadpartyjność” polityczna, choć był też przecieży politykiem, i wynikające z długoletnich doświadczeń, zrozumienie i ścisłe studium roli polskiej służby zagranicznej. W pojęciu tego wyjątkowego nauczyciela, nie znającego „prywaty” w służbie, w której w każdym momencie rola profesjonalnego dyplomaty mogła się zmieniać tak szybko jak zmienia się układ własnej polityki zagranicznej i krajów z nami sąsiadujących i innych. Dyplomata musi rozumieć swoją rolę w każdej zmiennej sytuacji, nigdy nie zapominając

o naczelnej i nadrzędnej podstawie jego każdej akcji - obronie interesów swego kraju. A jeśli rola ta jest kluczowa, taka jaką była dla Raczyńskiego jego pozycja w Ambasadzie londyńskiej i w wojennym ministerstwie spraw zagranicznych, przez jego ręce przejść musiała większość rozwiązań ówczesnej polskiej polityki i dyplomacji. Trzymając ten nielatwy kłębek zagadnień w swoich rękach, nadrzędna podstawa rozwiązań nigdy nie podlegała żadnej wątpliwości. Tak mówił nad jego grobem Krzysztof Skubiszewski, minister spraw zagranicznych R. P. 9 sierpnia 1993 roku w Rogalinie: *Obejmując ministerstwo spraw zagranicznych Raczyński - cytuję jego słowa - postawił sobie za zadanie na wewnątrz załagodzenie niefortunnych sporów w naszej ekipie rządzącej..., na zewnątrz zaś obronę naszych granic i praw oraz naszych ziomków... Z wielką konsekwencją zwalczał postawę tych, dla których, jak pisał, „najważniejsze sprawy państwowe przybierają postać spraw partyjnych. Dla Polski - powiadał - udręczonej ale epicznie bohaterskiej, chciałoby się grona ludzi oddanych wyłącznie Sprawie, dbających tylko o interes narodowy, o naszą rację stanu”. Temu ideałowi był wierny. Mimo, że pochłaniały go fakty wojny i straszne ciosy wciąż spadające na Polskę, miał wizję polityki powojennej i miejsca Polski w odbudowanej Europie. Jako mąż stanu miał Raczyński wielkie poczucie rzeczywistości. To poczucie - jak sam napisał o innym polskim mężu stanu - „rzecz na pozór zwykła, a jakże w istocie rzadka, zwłaszcza w naszym społeczeństwie”. Miał Raczyński dar prawidłowego rozumowania, przewidywania, miał tę szczególną umiejętność orientowania się w sytuacji, gdy jeszcze nie wszystkie fakty były znane lub dostępne. Miał jasną świadomość tego, o czym naród winien zdecydować oraz tego, co państwu i narodowi zagraża. Potrafił osiągnąć zgodę i porozumienie bez rezygnacji z imponderabiliów. Cechował go rozumny patriotyzm.*

To z czego składa się faktyczna historia każdego kraju jest nieodwołalne. Wielką jest sztuką zbudowanie z tych faktów nauki na cele dzisiejsze i na przyszłość. Raczyński w swoim poszukiwaniu tych zjawisk w historii naszego kraju, które mogą pokazać dalszą drogę, nie unikał ani spraw przegranych ani nie przeceniał wygranych. Uważał, że właściwa nauka i ocena leży gdzieś pośrodku. Kiedy na polskim firmamencie pokazał się Lech Wałęsa i powstała gdańska „Solidarność”, Raczyński przyjął od razu postawę pozytywną, słusznie uważając, że w momencie rewolucji o tak głębokich korzeniach, o tak wielkim potencjale niebezpieczeństwa a jednocześnie o tak ambitnych

celach i może świtującej możliwości sukcesu, nie może być miejsca na żadną teoretyczną debatę o zasadach. Należy się wstrzymać z wyrokiem i poprzeć inicjatywę. Na tym stanowisku stał do końca, nawet już wtedy kiedy popełniano błędy. Dopóki nie niwelowały one pozytywnych osiągnięć, należało je położyć na konto naturalnego procesu nabywania doświadczenia. W sześć miesięcy po śmierci Edwarda Raczyńskiego, 27 lutego 1994 roku, ks. Henryk Jankowski, człowiek solidarnościowy i jeden z najbliższych współpracowników Lecha Wałęsy z czasów gdańskich i późniejszych, słynny proboszcz parafii św. Brygidy w Gdańsku, wygłosił znamienne kazanie zaadresowane: „Ukochani w Chrystusie Panu Bracia i Siostry! Przedstawiciele polskiej inteligencji!” W kazaniu tym ostro potępia kryzys polityczny, gospodarczy i kulturalny, uważając, że *przyczyną kryzysu jest bezsporny fakt historyczny, że właśnie teraz definitywnie ze sceny życia politycznego schodzi grupa społeczna zwana polską inteligencją*. Tak mówił w swoim kazaniu ks. Jankowski: [...] *Niedawno zmarły Edward Raczyński, który przeżył cztery epoki historyczne i nigdy nie spieniewierzył się swym zasadom, nie takiej pragnął Ojczyzny, o której mówiono nad jego trumną. Gdy pod koniec swego długiego życia dowiadywał się o waśniach i karczemnych awanturach w kotle rozpasanych namiętności, o anarchii i prywacie, nawoływał rodaków w kraju do jedności i pracy dla wspólnego dobra... „Nie marnujcie zdobytej niepodległości” - mówił przed śmiercią*. Była to ostania żywa lekcja dla wszystkich Polaków, bez różnic partyjnych, bez różnic poglądowych, bez różnic klasowych i bez różnic geograficznych.

Szerokie kontakty Prezydenta Edwarda Raczyńskiego z Polakami rozsianymi po całym świecie, zarówno prywatne jak i bardziej oficjalne, dostarczały mu szczegółowych informacji o ich życiu. Jeśli chodzi o Kraj był on pewnie najlepiej poinformowanym Polakiem mieszkającym za granicą. Czytał wszystko (od kiedy stracił wzrok, czytano mu), był nienasyconym słuchaczem Radia Wolnej Europy, polskich audycji BBC i innych, analizował je skrupulatnie, świetnie wyczuwając przeznaczenie biuletynów. Dzielił on te informacje według ich ważności i wyciągał z nich właściwe wnioski. Podział ich był dość specjalny. Pierwsza grupa informacji dotyczyła tego w jaki sposób mogła polonia zagraniczna pomóc Krajowi i jak najkorzystniej wyciągnąć maximum z istniejących możliwości. Druga grupa ograniczała się do informacji, które mogły pomóc w planowaniu działalności

na dłuższą metę. Tych dostarczały głównie źródła amerykańskie, czyli Polacy mający dobre kontakty w Kongresie, wśród współpracowników prezydentów w Białym Domu i wśród naukowców i publicystów. W Stanach Zjednoczonych Polacy mieli tradycyjnie o wiele łatwiejszy kontakt z organami rządowymi i brali bardziej ożywiony udział w życiu państwowym niż w Europie Zachodniej. Co do informacji z Kraju, szeroki wachlarz Polaków z różnych dziedzin i różnych pokoleń, utrzymywało z nim kontakt, a co najważniejsze wielu szukało praktycznej rady, specjalnie ci, którym przyszło do sprawowania poważnych funkcji państwowych w latach 1989-1993. Były to lata przełomowe, okres intensywnej działalności politycznej wewnątrz Kraju i narodzin polskiej służby zagranicznej tak wtedy ważnej. Edward Raczyński zawsze patrzył na te dwie dziedziny odrodzonego życia państwowego Polski z dwóch osobnych punktów widzenia: jeden wymagający natychmiastowej akcji w postaci pomocy doraźnej czy rady lub wskazówki, i drugi, wymagający głębszego przygotowania. Oba były oparte na doświadczeniach całego Jego życia: poprzez pierwszą niepodległość 1919-1939, drugą wojnę światową w Londynie i wreszcie lata powojenne na obczyźnie. A więc elementem drugim w poszukiwaniu nauki, wskazówek i korzystania z doświadczeń, była informacja. Umiejętność jej użycia dla celów praktycznych była koniecznym warunkiem każdego działania politycznego. Różnica według nauki Raczyńskiego pomiędzy politykiem a dyplomata polega na tym, że polityk używa informacji z takim akcentem jaki sobie wybierze i mówi o nim głośno - dyplomata notuje skrętnie wszystkie informacje, a mówi o nich tylko wtedy kiedy tego wymaga racja stanu.

W czasie jego długiego życia i w ciągu ostatniego roku wyszło w druku wiele prac o Edwardzie Raczyńskim, w tym wiele biografii, opracowań historyczno-politycznych i literackich, dających więcej lub mniej szczegółów z jego młodości, wieku męskiego i pełnej dojrzałości. Ponieważ uwieńczeniem jego kariery lat 1934-1945 (Ambasada R. P. w Londynie i Ministerstwo Spraw Zagranicznych) były lata powojenne 1945-1993, (Rada Trzech i działalność polityczno-społeczna) ukoronowane urzędem Prezydenta R. P. na obczyźnie (1979-1986), większość wydawnictw o nim opiera się na tym właśnie okresie. W historii jego życia znajduje się jeden szczegół, jedno wydarzenie, które mogło być mieć daleko idące skutki gdyby się sprawdziło, choć raczej pomijane w życiorysach. Oto, kiedy 21 czerwca 1940 roku Prezydent R. P. Władysław Raczkiewicz wyładował

na dworcu Paddington w Londynie witany uroczystie przez króla Jerzego VI, pierwsze słowa jakie zwrócił on do Raczyńskiego były „Cieszę się, że widzę Pana w dobrym zdrowiu, wiele w ostatnich dniach myślałem o zdrowiu pańskim”. Raczyński nie wiedział o co chodzi. Sprawę wyjaśnił nieco później szef gabinetu Prezydenta Stanisław Łepkowski. W czasie przeprawy krążownikiem Royal Navy „H.M.S. Arethusa” z portu Le Verdon (koło Bordeaux) do wybrzeży Anglii, Prezydent Raczkiewicz podpisał dekret wyznaczający Edwarda Raczyńskiego swoim następcą w razie storpedowania krążownika. Dekret ten został podpisany w obecności świadka, Howarda Kennarda, ambasadora brytyjskiego w Warszawie do września 1939 i przy rządzie polskim od tego czasu. Rząd brytyjski był o tym natychmiast poinformowany. Dodać trzeba, że Raczyński nie lubił tego przypominać choć z obowiązku kronikarskiego mówi o tym cytując treść dokumentu („W sojuszniczym Londynie. Dziennik Ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945”, Londyn, Polish Research Centre, 1960). Jeszcze jedna lekcja by spekulacje polityczne zostawić historykom, a decyzje opierać na faktach.

Trudno uwierzyć, że to już rok minął od jego śmierci. Na świecie wiele się zmieniło. W Polsce trwa proces zdobywania doświadczeń, proces powolny i dla wielu uciążliwy. Krajowa prasa polska wydaje codziennie wyroki na to co się dzieje, krytykuje, potępia, sądzi, często zaocznie, piorunuje na przeciwników politycznych. Trudno więc uwierzyć, że to już prawie 5 lat od zdobycia wolności. Słuchając indywidualnych polityków ma się wrażenie, że kapitał dobrej woli jest mimo wszystko niewyczerpany. A więc tym więcej miejsca na tolerancję bo jak uczył doświadczony nauczyciel, w polityce ani krajowej ani zagranicznej nie istnieją ostateczne rozwiązania - tylko stopniowe - zwłaszcza po narodowych kataklizmach - kiedy wymagają one prób, ścierania się opinii i kompromisów. Oto testament dydaktyczny Edwarda Raczyńskiego mówiący o tym, że polityka, tak jak dyplomacja, to też służba.

„Tydzień Polski”, Londyn, 30 lipca, 1994.

SPADKOBIERCY

Są osoby, które nie potrzebują zostawiać testamentów, bo całym swoim życiem dokumentują to co zostawiają po sobie w spadku. Zapisującym spadek trudno jest przykazać co mają zrobić z tym co mają do zapisania innym. Można na nich najwyżej liczyć. W podobnej sytuacji są narody, którym historia podpisuje testament, nie indywidualny a zbiorowy. Ponieważ historia narodu z natury rzeczy nie płynie nigdy łagodnym prądem a tętni zwykle wirami wzlotów i upadków, to co zostawia w spadku może być przedmiotem argumentów, debat i kontrowersji, sporów, walk, rewolucji i bardzo rzadko kompromisów, przy podziale pochwał i potępień. Bo to tylko co się w jej czasie działo, poza pamięcią, może historia zostawić. Dodać można jeszcze cechy czysto ludzkie: domieszkę dumy, szczyptę żalu i kroplę zazdrości. Tendencją wszystkich chyba spadkobierców historii jest krytyka. Naród, który dostaje w spadku za mało ostro się buntuje. Naród, który dostaje za dużo - milczy. A naród, któremu historia ucięła nogi, rodzi się na nowo latając dziury historii, naprawiając jednocześnie obce fałszy i budując nowe życie swoim spadkobiercom.

W niekończącym się pochodzie rocznic polskich, europejskich i światowych w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku, w półwieczu światowej zawieruchy kiedy Polska znalazła się pomiędzy niebem i piekłem, historia narodu nie zawiodła. Tym razem zostawiła testament może bogatszy niż kiedykolwiek bo w tym jednym półwieczu, okresie tak historycznie krótkim, przeżyła klęskę, która zdawała się początkowo mieć wszelkie szanse ostatecznej zagłady, zwycięską walkę i odrodzenie. Rocznice i ich obchody mają to do siebie, że użyźniają niemal na poczekaniu literaturę i publicystykę. Ponieważ słownik języka (ani polskiego ani innych) nie ma dość sił, żeby na zamówienie tworzyć nowe słowa, pęcznią one w oczach przez ciągłe ich powtarzanie. W rezultacie - jest to nieuniknione - wzruszenie i powaga jednego wielkiego słowa urasta przez takie powtarzanie do roli młyna, w którym miele się słowa wielkie i poważne, a słowa proste i użyte raz, bo to wystarcza, znikają w chmurach odurzenia. Jest rzeczą nieodzowną i konieczną by po 50 latach historyczne fakty zidentyfikować, zweryfikować, udokumentować, skonfrontować, jeśli trzeba, ocenić, zanalizować i przekazać w testamencie narodowym. Jest rzeczą równie konieczną, by każdy materiał wątpliwy, a nie zweryfikowany jak wyżej, włączyć do testamentu jako taki, po to żeby

dać spadkobiercom możliwości nowych badań historycznych. Niezbędne jest też analizowanie genezy - czasem sprawa sporna - i próba syntezy pełnego obrazu każdego okresu. Im bardziej ten okres był znamieny tym bardziej będzie on pod obstrzałem nie tylko tych którzy brali w nim udział czy byli jego naocznymi świadkami, ale też i tych którzy obserwowali z daleka, czy nawet z drugiej strony barykady. I słuszne jest, że tak się dzieje.

Myśląc o tym łańcuchu rocznicowym lat dziewięćdziesiątych naszego stulecia nie podobieństwem jest oddzielić je od dwóch może najbardziej znamienych okresów testamentowej historii: Powstania Warszawskiego i wezwania „Solidarności” do szturmowania bez ognia na baszty systemu, który z tą historią nie był zgodny. Czy sama analiza, czy sama weryfikacja, czy samo udokumentowanie wystarczy? Spójrzmy oczami wyobraźni co mógłby przeczytać potomek, syn, wnuk czy prawnuk powstańców i robotników stoczni gdańskiej a momencie otwarcia testamentu tych lat polskiej historii, nie pomijając ani chwili z lat po powstaniu aż do roku 1989, przyjmując, że oba znamienne wydarzenia wyszły z tego samego źródła, a to co miało miejsce w roku 1989 było logiczną konsekwencją roku 1944.

Testament ten składałby się z dwóch części: część pierwsza byłaby poświęcona rodakom. Składałaby się nie z rad bo tych, jak wskazuje praktyka, żadne pokolenie nie akceptuje, ale z analizy wypadków w świetle tego co nastąpiło po tych wypadkach. I pozytywne i negatywne. W tej części testament dodałby parę uwag (a może i ostrzeżeń?) co do ignorowania niektórych sąsiadów, z korzyścią sąsiadów innych. Druga część byłaby przeznaczona nie dla spadkobierców, a dla polityków, dyplomatów i generałów państw obcych. Oba najznaczniejsze wypadki tego pięćdziesięciolecia: rok 1944 i 1989, są już i będą w przyszłości niemal równie brzemiennie w skutki dla państw obcych i nie tylko dla tych z Polską sąsiadujących. Nie dziś może, nie jutro może, ale w przyszłości. Analizując i rozpraszając kontrowersje, dokumentując, a specjalnie z nieustanną myślą polityczną i gospodarczą zwróconą ku Zachodowi, nie możemy zapomnieć o tym jak polskie wypadki historyczne mogą być ważne dla Zachodu w wieku XXI. Dziś świat wie tylko, że wara obcym najeżdżcom, bo prędzej czy później, Polsce nigdy nie zabraknie sił żeby zrzucić, tak czy inaczej, obce jarzmo. Dziś świat patrzy na Wschód okiem kupca. Jutro sytuacja może się diametralnie zmienić. Jeśli w testamencie polskiej historii polscy spadkobiercy wyczytają wszystkie atuty lat

1944-1989, i przekażą je tym, którzy zmieniają rolę tylko kupca na rolę też protektora europejskiej cywilizacji i kultury, oba tak bardzo polskie wydarzenia przejść będą mogły do testamentów historycznych innych krajów i stać kamieniem węgielnym nowej Europy.

Przyjdzie czas kiedy spadkobiercy - bez względu na to jak przyjmą podział dóbr doczesnych - uznają za swój obowiązek dokonać bilansu tego testamentu dając w ten sposób świadectwo wypełnienia ostatniej woli poległych rycerzy o wolność i demokrację. Podpisując właściwy dokument, nie muszą wydawać wyroków, ale muszą też podpisać dokument świadczący o przekazaniu swoich wniosków swoim następcom. Tak to w każdym kolejnym testamencie historycznym Polski, Powstanie Warszawskie i „Solidarność” rozumiane będą przez naszych i obcych spadkobierców historii tak samo jak oceniali je ich inicjatorzy i wykonawcy.

„Tydzień Polski”, Londyn, 10 września, 1994.

PODRÓŻ MIĘDZYPLANETARNA

Jak się okazuje natura ludzka się nie zmienia, zmieniają się tylko okoliczności w jakich istnieje i działa. Chyba od zawsze filozofowie, historycy, pisarze, publicyści i artyści zastanawiają się nad tym do jakiego stopnia postęp nauki i sztuki wpływa na obyczaje. Choćby w osiemnastym wieku, to znaczy nie tak dawno, Jan Jakub Rousseau (1712-1778), w notatkach autobiograficznych pt. „Wyznania”, opowiada o swoich wędrówkach między Paryżem a Vincennes (dwie mile), które przerywał krótkimi odpoczynkami po drodze mając zawsze jakąś lekturę. *Pewnego dnia - pisał - wziąłem ze sobą „Mercure de France” i przerzucając go trafiłem na pytanie konkursowe, zadane przez Akademię w Dijon: Czy postęp nauk i sztuki przyczynił się do zepsucia czy do poprawy obyczajów?* Diderot, jego przyjaciel, który był celem wycieczki Rousseau, twierdzi, że od momentu tego niespodziewanego impulsu, może natchnienia nawet, Rousseau doznał olśnienia i już do końca życia nie zбочzył z drogi myśliciela. Nie wiemy czy do konkursu przystąpił, ale wiemy, że postęp myśli ludzkiej i jego praktyczne skutki odsłoniły mu wiele tajemnic i umysłu ludzkiego i serca. Przypomnieć może warto na

marginesie, że Rousseau był pisarzem i filozofem, czołowym myślicielem oświecenia, twórcą teorii wychowania, prekursorem idei wielkiej rewolucji francuskiej, krytykiem ustroju feudalnego, głosił ideę egalitaryzmu oraz hasło kultu natury i uczucia. A więc był człowiekiem oświecenia *par excellence*. Jeśli Rousseau kiedykolwiek bezpośrednio odpowiedział na pytanie konkursowe „Mercure de France”, to można by przypuścić, że przychylił się do jednego i drugiego: może przyjąłby jako punkt wyjścia głębszych badań przyczyn zarówno możliwość zepsucia jak i możliwości poprawy obyczajów, biorąc jako podstawę to co i on i my nazywamy postępem nauk i sztuki.

Co zajmuje nas dzisiaj, to samo pytanie tyle tylko, że o dwieście lat później. I można by je ubrać w te same słowa. Z jednej strony nauka wyszła z orbity czysto ziemskiej i dotarła aż do księżyca, objając się po drodze o drobniejsze elementy wszechświata. Co do sztuki, bardziej dostępnej większości ludzkości, postęp jej można by w wielkim felietonowym skrócie określić jako coraz większe ułatwienie porozumienia pomiędzy ludźmi i mniej sformalizowane zrozumienie potrzeby ekspresji. Zostawiając tymczasem na boku wszechświat i sprawy kosmiczne, bo ogarnięcie ich wymaga głębokiego przygotowania teoretycznego, ale dodając olbrzymi postęp w inżynierii, medycynie, biologii i w innych naukach ścisłych, może warto byłoby przyrzeć się bliżej sztuce, a w szczególności sztuce ludzkiego porozumienia i obcowania, nie zapominając ani na chwilę że wszystkie te dyscypliny muszą w końcu doprowadzić dosyć krętą wprawdzie drogą, do sprawy obyczajów. Bo z nich składa się życie codzienne nas wszystkich.

Obyczaje obejmują cały zakres pojęć a wszystkie prowadzą się do stosunków międzyludzkich. Poczynając od uznawania lub nieuznawania autorytetu prawnego i państwowego, autorytetu osób wykształconych i doświadczonych, autorytetu moralnego czy autorytetu rodzinnego, aż do respektowania lub nierespektowania opinii innych, poszanowania lub jego braku dla własności, cudzej czy własnej, a wreszcie codziennej kurtuazji czy dobrych manier. Rzecz się zacieśnia, jeśli mowa o życiu publicznym gdzie postęp technologii przyspieszył tempo porozumienia ale nie wpłynął na treść tego porozumienia. Innymi słowy przyspieszył swary i klótnie, nie skracając nawet czasu tego procesu. Technologia udostępniła możliwość szybkich decyzji, ale nie wydaje się żeby zostawiła dość czasu na ich skrupulatne przemyślenie.

Tempo publikowania tych decyzji przez środki masowego przekazu jest takie, że nieprzemyślane decyzje, często pochopne, powodują chaos i zamieszanie, kontrowersje i dementowanie ich, zostawiając w rezultacie na polu albo fałszywe albo niepełne i niesprawdzone informacje. Widzimy to w prasie codziennie.

Na płaszczyźnie nie publicznej, ale prywatnej, choć telefon i faksimile obiega cały świat błyskawicznie, satelitarnie i międzyplanetarnie, nie w każdym rodzinnym domu jedno pokolenie może porozumieć się z drugim. W powietrzu wisi pomieszanie pojęć, wisi brak porównywania wrażeń, czuje się niewykorzystaną próżnię, w której każdy broni swojej własnej pozycji tak jakby była ona zagrożona. W tych konfliktach głos ludzki gra wielką i zasadniczą rolę. Jego dźwięk wskazuje na to czy porozumienie jest w ogóle możliwe. Ale dźwięk ten usłyszy tylko ucho wrażliwe na otoczenie. Z drugiej strony głos kryje w sobie wiele niebezpieczeństw. Nie tylko to że wszyscy mówią z reguły za dużo, ale że wszyscy uważają się za uprawnionych do zabierania głosu we wszystkich sprawach. Taki głos tworzy wiele innych głosów, a przez ich powtarzanie może diametralnie zmienić ich treść.

Na pozór wydawać by się mogło, że odpowiedź na konkurs ankiety „Mercure de France”, którą wyczytał w drodze do swego przyjaciela Diderota Jan Jakub Rousseau przeszło dwieście lat temu, nie powinna sprawić żadnego kłopotu. Jana Jakuba wprowadziła w świat poważnych rozważań filozoficznych o tym jak funkcjonuje myśl ludzka. Co do nas, przewyższał on nas wielkim talentem porządkowania swoich myśli, a my ponieważ mamy mniej czasu na myślenie w rezultacie technicznego postępu nauk, pytanie to zadajemy sobie w tej samej formie. A więc mamy jednak poważne wątpliwości jak na to pytanie odpowiedzieć i czy postęp nauki i sztuki daje nam po tylu latach odpowiednie kwalifikacje na tę odpowiedź. To samo pytanie zadawał sobie na początku Rousseau.

Narzekamy często na obyczaje naszych czasów, na panoszące się niepotrzebne gadulstwo, na brak dobrych manier, na ordynarność języka, na brak szacunku dla innych, brak respektu dla prawa, na brak poczucia odpowiedzialności, na obcość ludzi, na agresywność, na arogancję. Tak samo pewnie było dwieście lat temu bo widocznie „Mercure de France” miał dobre powody do opublikowania ankiety. Z tym, że wtedy postęp nauk i sztuki nie rozwijał się w tempie naszego stulecia. Jeśli więc nic się nie zmienia, wniosek wydaje się prosty, ale

jednocześnie może zbyt łatwy: postęp ani psuje, ani nie poprawia obyczajów, ale je tworzy. Z tym zastrzeżeniem, że im szybszy postęp tym mniej czasu na pilnowanie obyczajów.

„Tydzień Polski”, Londyn, 1 października, 1994.

Z DEMOKRACJĄ NA „TY”

W jednej ze swoich charakterystycznych wypowiedzi świetny pisarz Edward Morgan Forster (1879-1970) wyraził pogląd: [...] *podwójny wiwat dla demokracji! Jeden dlatego, że pozwala na różnorodność, drugi dlatego, że dopuszcza krytykę. Dwa wiwaty są całkiem wystarczające - nie ma powodu do trzeciego.* Winston Churchill (1874-1965), członek tego samego pokolenia, poszedł dalej, kiedy przemawiając w parlamencie 11 listopada 1947 roku, czyli już jako przywódca opozycji konserwatywnej, mówił, że *Różne formy rządu były próbowane i będą dalej próbowane na tym padole grzechu i niedoli. Nikt nie uważa demokracji za formę doskonałą ani wszechstronną. Mówi się nawet, że demokracja jest najgorszą formą rządzenia oprócz tych wszystkich innych form, które próbowano od czasu do czasu [...].* Od tego czasu, jak dotąd, nie wymyślono innych, które można by przeciwstawić dyktaturze, ani takich, które byłyby do przyjęcia dla narodów cywilizowanych. Ponieważ Polska też przyjęła ten daleki od ideału system po wielu poważnych przejściach i tarapatach, nie należy się dziwić, że jak pisze między innymi „Dziennik Polski” (9.09.1994): *Wewnętrzne konflikty koalicyjnego rządu w Polsce utrudniają rządzenie. Gabinet Pawlaka na rozdrożu? Spór z Narodowym Bankiem Polskim [...]* itd.

Interesują nas, rzecz prosta, sprawy polskie bardziej niż inne, ale rozejrzyjmy się szerzej po zachodnim wybrzeżu Europy i spójrzmy jak dają sobie radę zachodnie demokracje parlamentarne w pięćdziesiąt lat po kulminacyjnym wydarzeniu drugiej wojny światowej i po daleko idących zmianach socjalnych i gospodarczych, z codziennym aktem rządzenia. W kolebce parlamentarnej demokracji, Wielkiej Brytanii, której obraz etniczny zmienił się niemalże nie do poznania po stracie imperium i kolonii, zmieniła się też dość radykalnie rutyna rządzenia. Wiemy jakie są obowiązki demokratycznie wybranej opozycji, ale

zmiany dotyczą też konfliktów wewnątrz partii politycznych zarówno rządzących jak i opozycyjnych. Trapi je niechęć do kompromisów, uważanych dawniej za szczyt kunsztu politycznego. W obu izbach parlamentu zmienił się patos przemówień, znikła kurtuazja wymiany zdań, konfrontacja stała się bardziej agresywna, arogancja przestała być niedopuszczalna, maniery i gesty stały się czysto zdawkowe, z trudem tylko ukrywające ostrość wypowiedzi. A treść przemówień i dyskusji, nawet sam język, styl argumentacji, nie potrafi dziś choćby dyskretnie ukryć faktu, że nadrzędnym motywem każdej akcji politycznej jest żądza władzy. Akt rządzenia, moment który w każdej akcji politycznej ma być równowagą argumentów za i przeciw, doprowadzający do decyzji obejmującej wszystkich obywateli kraju, jest aktem państwowym i pieczętuje się w swojej ostatecznej formie majestatem państwa. Ale i ten majestat okazuje się często naruszony przez arogancję wynikającą z najbardziej dzisiaj niebezpiecznej ceny prawdziwej demokracji: braku cenzury. Linią demarkacyjną pomiędzy cenzurą a jej brakiem, strzeżoną jak oko w głowie jako nienaruszalny symbol wolności słowa, ma być niepisana luźna umowa, zawieszona gdzieś w eterze i znajdująca się w rękach czasem odpowiedzialnych a czasem mniej odpowiedzialnych. Tam, gdzie interes prywatny małej stosunkowo ale wpływowej grupy ludzi tworzy tak zwaną opinię publiczną. Przy coraz bardziej zbliżonej działalności i aktywności - tymczasem na szczęście tylko gospodarczej - państw tak zwanej „unii europejskiej”, to samo w większej lub mniejszej mierze dzieje się we Francji, Belgii, Holandii, Hiszpanii, Grecji, Portugalii i we Włoszech. Rzecz ma się nieco inaczej w Niemczech, gdzie pojęcie demokracji („łacińskiej”) miało zawsze inny wydźwięk zarówno historyczny jak i praktyczny. Ratuje ten inny wydźwięk zupełnie „nie-łacińska” dyscyplina, raczej gospodarcza niż intelektualna, i wspólna granica z Europą wschodnią czy centralną. Dzięki niej praktyczne doświadczenia niemieckie od strony wschodniej są bardziej obce Francuzom, Belgom, Holendrom czy Włochom, a specjalnie Brytyjczykom. Wszędzie jednak, przy bliższej obserwacji, zanotować można obniżenie poziomu demokratycznego rządzenia. Różnice między nimi widzi się na tle doświadczeń i tradycji poszczególnych parlamentów, na tle wypadków historycznych i na tle wykształcenia politycznego, a nade wszystko dyscypliny partyjnej i temperamentów. Wszędzie jednak elementem najważniejszym jest walka o władzę. O tym mówi się otwarcie. O czym mówi się najmniej to o środkach tej walki. Walka

o władzę polityczną jest zjawiskiem całkiem normalnym i właściwym w systemie demokratycznym. I w tym samym systemie jeśli programy ich mają poparcie. Ale muszą one odpowiadać założeniu, że nie powinny służyć ograniczonej czy odizolowanej od ogółu społeczeństwa grupie osób.

Nic więc nie dzieje się w Polsce innego niż to co dzieje się w innych krajach, które przyjęły system demokracji parlamentarnej. Na doświadczenie potrzeba czasu, a na rutynę drugie tyle czasu. Biorąc słowa Forstera i Churchilla za punkt wyjścia, nie wymyślono jeszcze lepszego systemu, więc musimy zostać przy tym co już mamy. Ale skąd ten ogólny upadek obyczajów, skąd upadek kurtuazji, skąd równanie w dół? Skąd wreszcie to, że w swojej niedoskonałości do pojęcia demokracji wkradła się - może nikt tego nie zauważył - koncepcja, że każdy obywatel tego systemu ma niekwestionowane prawo o taką władzę się ubiegać? Tu może leżeć klucz do rozwiązania zagadki. Sprawowanie władzy łączy się z pewnym misterium decyzji. Ma ono w sobie bliżej nieokreślony element autorytetu. Jeśli go nie ma, władza nie będzie się go trzymać. Każda decyzja po to żeby była przyjęta musi opierać się na autorytecie. Autorytet zdobyty w demokracji jest pierwszym stopniem na drodze do władzy.

System zwany demokracją jest jak już wiemy daleki od doskonałości. Jeśli by jednak do doskonałości dążył i doskonałości wymagał, może Forster dodałby jej trzeci „wiwat”? A Churchill byłby mniej pesymistyczny? Jeśli komu należy się „wiwat” już dziś, to tym co ciągle próbują.

„Tydzień Polski”, Londyn, 21 października, 1994.

KADENCJA HISTORYKÓW

Zjawiskiem głęboko wzruszającym jest pasja młodych historyków w kraju do badania w najdrobniejszych nawet szczegółach tego wszystkiego co było im długo niedostępne ba, nawet zabronione. Celem tej pasji są między innymi różne bardziej lub mniej ważne „tajemnice” emigracji. Począwszy od tych co pikantniejszych i plotkarskich aż do rzeczywistych faktów udokumentowanych i skrzętnie zebranych przez naocznych świadków, komentatorów, wykonawców

i w końcu złożonych w opiekę archiwistom. Przyjeżdżają doktoranci, magistranci, lektorzy, docenci habilitowani, a nawet młodszy od nich studenci. Niektórzy, ci którym udało się zdobyć jakieś, choćby skromniutkie stypendia, i tacy którzy bez niczyjej pomocy żyjąc jak mnisi, wszyscy oni szperają z wielkim zapałem po żółkłych teczkach ciesząc się znajdując tam nieznanym im pamiątki epoki. Są to rzeczywiście pamiątki ale pamiątki jeszcze żywe, tak długo jak długo wystarczy życia ich świadkom. Młodzi historycy spieszą się więc by tych świadków jeszcze z bliska zobaczyć, bo choć refleksje jako osobiste i wychodzące z jednej pary oczu i jednej pary uszu, będą może kiedyś w przyszłości do dyskusji, dziś są relacjami na żywo. Wszystkie kataklizmy dziejowe budzą zapal aktywnych historyków i rodzą nowe pokolenia tej profesji dzięki olbrzymiemu dopływowi materiału. Polskie dzieje ostatniego półwiecza nie są wyjątkiem.

Tak jak wzruszająca jest pasja młodych historyków krajowych do odburzowania nas i naszego półwiecza na obczyźnie, tak równie fascynujące dla nas za granicą są szczegółowe informacje dotyczące tegoż półwiecza w kraju. Tak jak dla krajowych badaczy informacje o nas, o naszych rządach emigracyjnych, partiach politycznych i życiu społecznym były długo niedostępne, badacze, pisarze, dziennikarze i publicyści polscy na obczyźnie mieli skąpy dostęp do rzetelnych informacji z kraju aż do 1989/90 roku. Informacji dochodziło różnymi drogami wiele, ale wszystkie to co mogło przejść przez nawet cienkie sito, nie zawsze zdawało egzaminu wiarygodności. Było za wiele źródeł i za wiele głosów. Stąd dziś historyczny róg obfitości czyli złota epoka dla historyków z jednej i drugiej strony.

Z bogactwem materiałów coraz bardziej dostępnych uwagę zwraca dość specjalny dokument dotyczący aktualnego i palącego problemu zwrotu czy odszkodowań za bezprawne pozbawienie mienia prywatnego w Polsce, ich prawowitym właścicielom. Jak wiadomo sprawa walczy się pomiędzy kolejnymi rządami i sejmem od dawna, ale rozwiązania nie widać. Dobrze zorganizowany i aktywny Związek Ziemiaków w Wielkiej Brytanii i Kanadzie, brat i siostra Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego w kraju, uważnie śledzi i dokumentuje wszystkie elementy rozgrywek partyjno-politycznych o reprivatyzacji. Zapobiega też u swoich i u brytyjskich przyjaciół parlamentarnych przychylnych sprawie, o użycie swoich wpływów by przekonać władze polskie o konieczności przyłączenia się jak najszybciej do rządu państw respektujących prawa człowieka i obywatela. Członkowie

Związku słusznie uważają, że jest to głęboko związane z uznaniem Polski jako zdrowego społecznie i prawnie kandydata do Unii Europejskiej. Chodzi w tym wypadku o stanowisko moralne, raczej niż o przyszłość gospodarczą, choć oba elementy są równie ważne.

Dokument ten nosi datę „Marzec 1994” i jest wydany w Polsce w języku angielskim. Ma sporo tytułów. Cytuje je od góry: „Voice in co-operation with the Ministry of Privatization”, „Privatization Methods”, „Reprivatization. Problems and Possibilities”, „A look at the evolution of reprivatization in Poland”. Dokument jest pozytywny (choć podobno mało znany szerokiej rzeszy zainteresowanych) i wskazuje jak doszło do obecnego stanu. Zaczyna od tego, że powojenna nacjonalizacja była bezprawna bo przekraczała prawne jej granice i nie uznawała odszkodowań za rekwizycję mienia. Stwierdza dalej, że tym samym była ona w konflikcie z art. 99 Konstytucji z marca 1921 roku, który to artykuł został utrzymany w Konstytucji z kwietnia 1935 roku. Władze działające na terenie Polski po roku 1944 nie kwestionowały tego stanu rzeczy. Przeciwnie, utrzymywały że podstawą ich działań była właśnie Konstytucja z marca 1921 roku! Sam art. 99 nie wykluczał nacjonalizacji jako takiej, ale obwarowywał ją potężnymi warunkami. Artykuł ten uważał własność prywatną jako najważniejszą podstawę systemu społecznego i prawnego ale pozwalał na zniesienie tej zasady albo jej ograniczenie w wyjątkowych sytuacjach, pod warunkiem spełnienia jednocześnie trzech warunków: *wszelkie ograniczenia własności prywatnej muszą być uprawnione aktem prawnym; zniesienie lub ograniczenie musi być uzasadnione „nadrzędną potrzebą”; koniecznym elementem ingerencji państwa do własności musi być odszkodowanie. Ostatni warunek jest niezależny od wypadków politycznych.* 22 lipca, 1952 roku artykuł 99 Konstytucji 1921 roku stracił swoją ważność na skutek wprowadzenia ustaw komunistycznych. dziś cała sprawa odszkodowań jest w rękach rządu i parlamentu. Dokument w dalszym ciągu opisuje przebieg argumentów politycznych, debat i projektów dalszej akcji w tej ważnej sprawie. Prasa codzienna o nich informuje. Nie wchodząc w szczegóły peregrynacji projektów pomiędzy rządami i sejmem, ani różnymi zarządzeniami administracyjnymi, głównie lokalnymi, to co mówi dokument w swojej konkluzji wskazuje, że jesteśmy na dobrej drodze... *Problem własności musi być rozwiązany przez akt prawny. Podobne akta weszły już w życie we wszystkich krajach postkomunistycznych, które reformują swoją gospodarkę. Zbieg niesprzyjających*

okoliczności sprawił to, że w Polsce zadanie to nie zostało spełnione. Dziś Skarb Państwa, na zasadzie decyzji rządu z 4 października 1993 roku, ma już „kapitał rezerwowy”, który w procesie rewindykacji własnościowych ma spełniać rolę mechanizmu administracyjnego rozszczeń. Tyle „Głos współpracy z ministerstwem własności”. Reszta należy do parlamentu jako akt wagi specjalnej, ponad partyjną ideologię, ponad koniunkturę, bo to nie „interes prywatny”, a podstawa praworządności w systemie oświeconej demokracji. Pospolite ruszenie historyków z obu stron ma dziś dość amunicji do podmurowania racji praworządności.

„Tydzień Polski”, Londyn, 12 listopada, 1994.

KLEPTOKRACJA

O światowym zasięgu wzrostu „kleptokracji” pisał wnikliwy publicysta brytyjski Neal Ascherson w londyńskim dzienniku „The Independent” 28 października b.r. Od niego pożyczam tytuł: „kleptocracy” czyli połączenie kleptomani z klasą rządzącą. Mówiąc po polsku, był to esej o zmaterializowaniu tego czego - jak się dotąd wydawało - zmaterializować nie można. Na przykład: uczciwość, respektu do prawa, respektu dla demokratycznie wybranej władzy państwa, lojalności polityków w stosunku do wyborców, poczucia obowiązku ponad prywatą i wreszcie, społecznej solidarności. Ale to nie wszystko. Artykuł zaczynał się od porównań klimatyczno-geograficznych. Kiedy następuje odpływ morza, ukryte formy życia zaczynają wylazić na światło dzienne. Różne gatunki śliskich płazów, żarłocznych gadów i różnego natrętnego robactwa, tratując się nawzajem w pośpiechu, uciekają by schować się pod najbliższym płaskim głazem... Cały świat wydaje się pochłonięty wczesnowiosennym odpływem morza. Powodem tego stanu rzeczy jest z jednej strony światowy kryzys ekonomiczny, którego początkiem był szybki, choć niekoniecznie ściśle legalny (broń i amunicja!) rozwój międzynarodowego handlu w latach osiemdziesiątych, a z drugiej „zimnej wojny” (choćby nawet chwilowy i pozorny), dzięki czemu ten rozwój był możliwy. Nie może więc być czystym przypadkiem, że skandale polityczno-finansowe właśnie wylazły z tego odpływu

w końcu lat osiemdziesiątych. W roku 1989 Jim Wright, speaker Kongresu Stanów Zjednoczonych, był jedną z wielu wysokich osobistości, które nakryto „in flagranti” przyjmując nielegalne podarunki. Był to początek niekończącego się łańcucha podobnych oskarżeń (w większości udowodnionych), w całym rzekomo cywilizowanym świecie. Ceny tych transakcji wzrastały z każdą nową sensacją. A że sensacje mogą się dziać tylko w rejonie spraw publicznych, bo tylko te sprzedają gazety i na wysokich stanowiskach eksponowani są bardziej niż inni. Za dawnych, dobrych czasów w tzw. demokracjach (tej gdzie każdy demokrat i każdy radykał znalazł swoje miejsce), rozumiano że polityka służyła dobru społeczeństwa; ale żeby polityka służyła tylko politykom?... Takiej interpretacji nie tylko że nie rozumiano, ale nie znano. Były, rzecz prosta, wyjątki. Chowano je szybko pod głązy w czasie odpływu. Bo nawet jeśli ukarano i zdymisjonowano przestępcę, zachowywano podstawową regułę milczenia aby nie podrywać autorytetu nie osoby, ale urzędu jaki piastował. Poślizgnąć się to ludzka rzecz ale nie zaraz okazja do medalu, że mu się udało... Przykład podobno idzie z góry ale publiczne pranie skandali w prasie, radio i telewizji nie ma nic wspólnego z demokracją, ale ma dużo wspólnego z chaosem moralnym. Nawiasem mówiąc, to nie tyle pranie, ile często podniesienie do rangi sukcesu... Od publicznego dochodzenia prawdy są sądy. Nie chodzi tu o głoślowny „prestige”, nie chodzi o głoślowną moralność, chodzi o dużo więcej: o godność, o respekt i o dyscyplinę. Jest rzeczą wiadomą, że dyscyplina jest rozpuszczalna w każdym klimacie politycznym czy ekonomicznym. Jak jedna łapówka ujdzie w tłoku, inne potoczą się za nią tak szybko jak zmienna jest damska moda. A za nią, ta sama „damska moda” wejdzie frontem do polityki. Rezultat: wszystkim wolno.

To są znane nam zjawiska naszego dzisiejszego świata. Uwagę moją zwrócił jeden z powodów tego stanu rzeczy wymieniony powyżej, a mianowicie rzekomy koniec „zimnej wojny”. Rzeczywiście z upadkiem sowieckiej dyktatury w Rosji rozluźniło się poczucie rosyjskiego niebezpieczeństwa na Zachodzie. Co, ważniejsze dla nas, to że dziś ta pozorna cisza nuklearna bardziej pewnie rozluźniła czujność Zachodu niż państw dzielących granice z Rosją. Ale dlaczego ma to też być powodem rozluźnienia obyczajów? Czy dlatego, że czujność obronna wzmacnia dyscyplinę polityczną, czy dlatego, że najbogatsze państwo świata (Stany Zjednoczone) święcie wierzy, że mocarz

siedzący na wulkanie nuklearnego arsenału, ale politycznie w grzędawisku opozycji, odda duszę za dolarowe inwestycje? Czy też dlatego, że tak zwana wolność polityczna (wszystkim wszystko wolno), jest celem samym w sobie? Fala niczym nie skrępowanej przestępczości nie podlega już dziś ani przypluwom ani odpływom. Jest coraz mniej gładów, ba, nawet kamieni, pod którymi może się chować robactwo naszych czasów. Rzecz w tym, że zachodzi pytanie czy chce się ono jeszcze w ogóle chować. Jeśli tak to jesteśmy na dobrej drodze. Jeśli nie, droga będzie śliska. Po pięciu latach od zakończenia „zimnej wojny”, nie kładźmy na jej sumieniu dodatkowo rozluźnienia obyczajów. Zrobiła już i tak dość złego. Po pierwsze jej „zakończenie” jest pod znakiem zapytania, a po drugie, jeśli to „zakończenie” jest przyczyną ogólnego oszustwa i hipokryzji na wielką skalę, to czym należy je zastąpić by ludzkość mogła znowu czegoś się bać. Nic tak nie wzmacnia solidarności między ludźmi jak choćby szczypta niepewności.

Post scriptum.

W prasie polskiej, która nie jest w tym wypadku żadnym wyjątkiem, zarówno krajowej, ale też i emigracyjnej (choć w tej ostatniej mniej), tenor ostrej krytyki jest powszechny. Krytykuje się prezydenta, premiera, rząd, ministrów, posłów, senatorów, burmistrzów i tych wszystkich, którzy mają w rękę jakąkolwiek władzę. Debata, nawet krytyczna, jest potrzebna w każdej demokracji. Ale tym, wybranym w demokratycznych wyborach, którzy reprezentują majestat państwa, należy szacunek. Nie osobie, ale jego pozycji w państwie. A każda krytyka powinna wziąć na siebie odpowiedzialność za pozytywną alternatywę. Demokracja musi szwankować jeśli nie ma respektu dla autorytetu. Może posunęła się zbyt szybko za daleko? Może prezydent, a za nim marszałkowie Sejmu i Senatu, tak jak sędziowie Sądu Najwyższego, wymagają większego dystansu nie tylko od władzy wykonawczej ale i od... wyborców?

„Tydzień Polski”, Londyn, 3 grudnia, 1994.

ARCHIWUM „WIADOMOŚCI”

Londyńskie „Wiadomości” za okres 1946-1981 można śmiało nazwać kolebką idei literackich, politycznych i historycznych powstałych w atmosferze emigracyjnej walki o niepodległość Polski. Ich zebrane i pieczołowicie utrzymane archiwum jest świadectwem dzieła całego życia Mieczysława Grydzewskiego twórcy i redaktora, którego wiedza i precyzja dodały kulturze i literaturze polskiej nowy wymiar w rozumieniu wolności słowa. Ponadto można by też przyznać „Wiadomościom” palmę pierwszeństwa w utrzymaniu niezależności we wszystkich trzech dziedzinach: literackiej, politycznej i historycznej. A dla przyszłych badaczy dziejów tej wyjątkowej emigracji „Wiadomości” muszą reprezentować wszechstronność i głębokość informacji o niej i o ludziach, którzy byli jej najwybitniejszymi przedstawicielami. Dziś, kiedy już większość ich nie żyje, badacze, w kraju, historycy, pisarze, publicyści i poloniści, mają do tego skarbcza dostęp, bo archiwum znalazło bezpieczne i trwałe miejsce w Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Stefania Kossowska, ostatnia redaktorka londyńskich „Wiadomości”, w głębokiej trosce o stałe miejsce pobytu archiwum jak też o umożliwienie badaczom i historykom korzystania z niego w jak najszerszym zakresie, zainicjowała poszukiwanie właściwego miejsca. Jedyna oferta w Londynie przyszła od prof. Karoliny Lanckorońskiej przy udziale zawsze przyjaznego pismu, prezesa Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, Jana Badeniego. Tak więc od roku 1981 do października 1994 roku, kiedy archiwum wyjechało z Londynu, jego tymczasowym schronieniem był dom Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Dzięki niej można było zabezpieczyć na jakiś czas utrzymanie jej w całości. Ponieważ Fundacja jest instytucją zamkniętą, dostęp do jej zbiorów, a także do archiwum „Wiadomości” był bardzo ograniczony: dostęp do archiwum miała tylko Stefania Kossowska i nieliczne osoby przez nią wprowadzone i to w celach przez nią zaaprobowanych. Redaktorka zdawała sobie świetnie sprawę z tego, że już może niedługo zabraknie na Zachodzie tych nielicznych nawet osób, które nie tylko znały historię „Wiadomości”, czy choćby ich londyńskie emigracyjne, lub nawet tylko londyńskie wcielenie, ale takich, które mogłyby przejąć na siebie opiekę nad archiwum i zapewnić mu pozytywną przyszłość. A nade wszystko udostępnić je krajowym badaczom i ludziom pióra. Do polskich instytucji emigracyjnych

można byłoby też zastosować te same wątpliwości. Należało myśleć o przyszłości praktycznie, biorąc pod uwagę nowe pokolenia młodych humanistów w kraju.

Dlaczego Toruń? Jak się często zdarza w sytuacjach kiedy pole wyboru jest ograniczone, zbieg okoliczności decyduje. Tu zbiegła się atrakcyjna informacja o Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i wielokrotny pobyt w Londynie jej pracownika Mirosława Supruniuka połączony z jego niesłabnącym entuzjazmem do studiów o epoce „Wiadomości”. Na takiej to zasadzie inicjatywa Kossowskiej wyraziła się praktycznie w liście do rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, prof. dr. hab. Andrzeja Jamiolkowskiego z dnia 3 grudnia 1993 roku. Pisała w nim, że miała wprowadzić dwie propozycje od instytucji naukowych w Polsce, ale byłaby specjalnie rada by archiwum znalazło stałe schronienie w Toruniu. Wpłynęły na to żywotność tej instytucji, ścisła łączność z polską przeszłością literacką jak i z bieżącym życiem intelektualnym, i w nie malej mierze osoba archiwisty Biblioteki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Mirosława Supruniuka, - i jego żony Anny, też pracownika naukowego - którzy będąc wielokrotnie w Londynie i badając materiały „Wiadomości”, stali się najlepszymi specjalistami w dziedzinie historii i tradycji pisma. Rektor odpisał 23 grudnia 1994 roku dziękując za propozycję przesłania archiwum i uważając to za zaszczyt dla Uniwersytetu. Prosił jednocześnie o szczegóły co do zawartości archiwum. Bogactwo jego zawarte jest w całej korespondencji redakcyjnej od roku 1946 aż do zamknięcia pisma w roku 1981, i różnych dokumentach i materiałach związanych z prowadzeniem pisma, w zbiorze oprawnych roczników przedwojennych „Wiadomości Literackich” (niepełnych), Warszawa 1924-1939, „Wiadomości Polskich”, Paryż-Londyn 1940-1944 i „Wiadomości”, Londyn 1946-1981. Ponadto archiwum uzupełniają książki, między innymi z dedykacjami autorów, meble z redaktorskiego gabinetu i drobne pamiątki.

Posyłając te informacje do rektora Jamiolkowskiego 18 lutego 1994 roku, Kossowska zaproponowała formalne warunki przekazania archiwum na własność uniwersytetowi toruńskiemu: opracowanie zbiorów, skatalogowanie korespondencji (w praktycznie szybkim terminie) by je udostępnić we właściwej formie badaczom naukowym, zaznaczenie źródła „Archiwum «Wiadomości»”, w wypadku prac drukowanych opartych na jego zawartości, oddając uniwersytetowi prawa autorskie czy honoraria z tego tytułu; powierzenie opieki nad

archiwum, opracowania jego materiału i ewentualnego wydania katalogu Mirosławowi Supruniukowi i jego żonie Annie, obojgu pracownikom uniwersytetu toruńskiego, jako doskonałym znawcom zarówno archiwum jak i innych szczegółów dotyczących pisma. Koszta ich koniecznego przyjazdu do Londynu by przygotować archiwum do transportu do Polski, jak również samego transportu, poniesie - jak zapewnił jej prezes Jan Badeni - Fundacja z Brzezia Lanckorońskich. W imieniu uniwersytetu rektor Jamiolkowski przyjął z wdzięcznością wszystkie warunki bez zastrzeżeń. 31 października 1994 roku archiwum wyjechało z Londynu i znalazło się w Toruniu 4 dni później, 5 listopada.

W liście do mnie pisanym 30 listopada w Toruniu, Mirosław Supruniuk pisze, że archiwum otrzymało samodzielne pomieszczenie, w którym odtworzono pokój redakcyjny. [...] *Możliwe to było dzięki temu, że biblioteka UMK jest największą i najnowocześniejszą biblioteką uniwersytecką w Polsce - naturalnie biorąc pod uwagę budynek i infrastrukturę techniczną. W tym samym pomieszczeniu stworzona zostanie pracownia do badań nad emigracją literacką powojenną [...]* Plan dalszej akcji umożliwiającej pracę naukową w oparciu o archiwum przewiduje uporządkowanie materiału do końca 1997 roku i wydanie katalogu na początku roku 1998. Na marzec bieżącego roku planowana jest wystawa i wydanie książki o „Wiadomościach”. Treścią książki ma być synteza osobowości Mieczysława Grydzewskiego, historia i tradycja pisma, jego trzy wcielenia, i osobiste wspomnienia współczesnych autorów i współpracowników. Na dalszym planie jest już mowa o serii wydawniczej „Z archiwum «Wiadomości»”, która ma objąć korespondencję i zachowane rękopisy. Obecni nowi opiekuni tego skarbcza mają nadzieję powiększyć jego zbiory ogłaszając, że poszukują i gromadzą wszystkie rozproszone drobiazgi i korespondencje związane z „Wiadomościami” i współpracującymi z tygodnikiem pisma, w tym szczególnie listy Mieczysława Grydzewskiego

A więc stało się. Głęboka troska Stefanii Kossowskiej, ostatniej redaktorki pisma, znalazła swoje zadośćuczynienie, a polska nauka humanistyczna zyskała źródło badań i dociekań historycznych i literackich, które były jej dotąd niedostępne. Trzeba dodać, że w ostatnich paru latach wzrosło ogromnie zainteresowanie publicystyką emigracji i jej dwoma głównymi filarami: paryską „Kulturą” i jej wydawnictwami, i „Wiadomościami”. Wymienić tu można między innymi (nie licząc wielu artykułów w prasie), książkę Rafała Habielskiego „Niezło-

mni nieprzejednani. Emigracyjne «Wiadomości» i ich krąg 1940-1981” (Warszawa, 1991), Mieczysława Grydzewskiego „Silva rerum”, teksty publikowane w „Wiadomościach” z lat 1947-1969 w wyborze Jerzego B. Wójcika (Gorzów Wielkopolski, 1994) i Mirosława Adama Supruniuka „«Kultura»: materiały do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu. Bibliografia działalności wydawniczej 1946-1990” (Toruń, 1994). Głębokie zmiany w Polsce w latach 1989/1990 wzmogły głód informacji o minionych latach i o tym jak emigracja broniła jej niepodległości. Materiałem niezbędnym w zaspokojeniu tego głodu jest słowo pisane. Niech świadczy o tym archiwum „Wiadomości”.

„Dziennik Polski”, („Środa Literacka”), Londyn, 15 lutego, 1995.

DEMOKRACJA: ROZUM CZY AMBICJA?

W r. 1962 ukazała się w przekładzie angielskim książka Salvadora de Madariagi pt. „Latin America Between the Eagle and the Bear” („Ameryka łacińska pomiędzy orłem i niedźwiedziem”). Salvador de Madariaga y Rojo, 1886-1978, hiszpański pisarz i dyplomata, 1931-1936 stały delegat Hiszpanii do Ligi Narodów w Genewie, profesor uniwersytetu w Oxfordzie i świetny znawca procesów demokratycznych i antydemokratycznych, był także przyjacielsko ustosunkowany do Polski. Śledził on uważnie wypadki wojenne i powojenne w Polsce i w interpretacji ich umiał patrzeć na obraz całości raczej niż na poszczególne fragmenty. Nawiasem mówiąc, w okresie swojego ambasadorowania przy Lidze Narodów, związał się też w przyjaźni ze swoim polskim odpowiednikiem, Edwardem Raczyńskim. Madariaga był w gruncie rzeczy liberałem starej klasycznej szkoły, dla którego posiadanie rozumu, czy wykształcenie, czy innej głębokiej umiejętności, związane było z wysokim poczuciem odpowiedzialności za innych, którym rozum, wykształcenie czy specjalna umiejętność nie były dane. Z odpowiedzialnością polityczną (sprawowania rządów) łączyła się odpowiedzialność społeczna (mocni dbają o słabszych). W książce, o której mowa znajduje się interesujący przyczynek: [...] *Sprawami ludzkimi rządzi taki rodzaj socjologicznej siły, który zmusza je do tego, że chylą się ku chaosowi jeśli nie są utrzymane na pewnym poziomie dyscypliny przez osoby rozumne. Te osoby rozumne to to co*

nazywamy rządem. Jasne jest, że w pewnej liczbie przypadków, zbyt licznych by zadowolić sumienie świata, ręka która ma zapobiec chyleniu się spraw ludzkich ku chaosowi nie jest ani dość silna ani dość rozumna by spełnić swoje zadanie. Jest więc zrozumiałe, że w wielu częściach świata tworzą się warunki sprzyjające komunizmowi, bo komunizm kwitnie w chaosie i zamieszaniu podczas kiedy liberalna demokracja wymaga spokoju i praworządności.

Zafrapował mnie ten fragment książki Madariagi zwracając uwagę na przedwyborcze wypowiedzi prasy polskiej w kraju i gdzie indziej. Intryguje mnie też coraz to dłuższa lista kandydatów na urząd prezydenta. Nie mogę się powstrzymać od pytania: dlaczego potrzebny jest nowy prezydent? Dlaczego tracić czas na powikłane i nie zawsze pozytywne machinacje kandydatów i ich partii politycznych, kiedy Polska ma w tej chwili najlepszego kandydata już na stanowisku od pięciu lat i już doświadczonego w trudnościach, w jakich polski prezydent musi lawirować. Każdy inny, nim się nauczy, nim nabierze doświadczenia, nim straci parę lat na walkę z partiami politycznymi, będzie znów musiał przybrać szaty kandydata. Czasu na nic nie starczy. A co Polska? Co ekonomia? Co Zachód? Co traktat Północnego Atlantyku? Co stabilizacja?

Jeśli chodzi o Zachód, Lech Wałęsa czasu nie stracił. Jest po prawdzie najbardziej znanym polskim mężem stanu na Zachodzie, po Paderewskim i Piłsudskim... Jest symbolem zrzucenia jarzma sowieckiego w Europie, jest też już nie symbolem, ale faktycznym twórcą nowej początkującej demokracji, której uczą się na żywo dwa pokolenia młodych Polaków. Słusznie może krytyk powiedzieć, że pierwszy demokratyczny rząd Suchockiej się udał, natomiast następny już nie, a ten po nim też nie bardzo. Niemniej nominacja prof. Władysława Bartoszewskiego na ministra spraw zagranicznych w nowym rządzie, to niemal genialne posunięcie Wałęsy. Jest ich teraz dwóch znanych na Zachodzie: tandem partyjnie wolny od niebezpieczeństwa konfliktu na poziomie zawsze najgroźniejszym: partyjnej walki o władzę. Tandem Wałęsa - Bartoszewski, przy pomocy prof. Krzysztofa Skubiszewskiego jako wytrawnej ręki zachodniego, też ponad partyjnego, emisariusza do najwyższej europejskiej instancji sądowej, to pierwszy krok do mównicy, a może i podium, ekskluzywnego klubu zachodniej demokracji liberalnej.

Przez pierwsze pięć lat Wałęsa musiał walczyć o autorytet. Polacy niełatwo przyznają autorytet. Z natury rzeczy wolą, aby tym autory-

tetem był dystans pomiędzy głową państwa, a społeczeństwem. Głowa państwa powinna być osnuta mgiełką przezroczystej tajemnicy. Wałęsa uważał, słusznie w okolicznościach swej początkowej prezydentury, że powinien wejść w labirynt rozgrywek politycznych. Nie tyle po to, żeby zdobyć autorytet, ile po to, żeby skłócone głowy nowonarodzonych polityków nie pęczniały zbyt szybko. Niektóre głowy poszły na marne, inne się nie dały, jeszcze inne nie udzieliły łaski autorytetu prezydentowi, bo mieli nadzieję zająć jego miejsce. W tym labiryncie Wałęsa przeszedł chrzest bojowy prezydenta. Tam zdobył doświadczenia, ale brakło mu partnera do pełnego autorytetu. Tu opozycja zaczęła używać epitetu „dyktator”, nawet w swej naiwności podchwycony przez niektóre pisma zachodnie. Epitet, który wyszedł też z tego labiryntu. Pewne posunięcia były błędne, inne były potknięciami, jeszcze inne były niefortunne. Za doświadczenie trzeba płacić. Dziś na progu nowego prezydenckiego pięciolecia jest już bliski autorytetu ale brak mu pełnego uznania społeczeństwa. A do tego potrzebny jest gest społecznego rozumu a nie ambicji. Tym gestem byłaby akklamacja wyborcza, po to aby kandydatom partyjnym pozostałym w labiryncie dać możliwość zdobycia twardego doświadczenia i przygotowania, z którego może powstać baza do rozumnego rządzenia państwem. Patrząc obiektywnie z Londynu, Lech Wałęsa wydaje się jedynym w Polsce elementem stałym. Jako taki musi być uważany przez Zachód jako pierwsza gwarancja dojrnięcia do stabilizacji ekonomicznej i politycznej Polski, a więc do pełnej praworządności. Żadna z głównych partii politycznych nie gwarantuje nawet pierwszego stopnia stabilizacji dopóki ich głównym motywem działania jest obrona własnych doktrynalnych interesów.

Odpowiadając na pytanie „Co to jest polskość?” postawione mu w swoim czasie przez krakowski „Znak”, Edward Raczyński powiedział między innymi: *Polska zbiorowość ma w kraju i poza jego granicami surowych krytyków i gorliwych obrońców... Salvador de Madariaga, pisarz i polityk, dumny ze swojej Hiszpanii, w książce poświęconej narodom europejskim, Polakom, obok swoich Hidalgów, daje miejsce osobne. To według niego narody niedorzeczne, „absurd”. Ten żart literacki jest wieloznaczny, a kryje się w nim zrozumienie dla losu hardych, niefortunnych i krytyka opinii światowej, która nas nie docenia. Madariaga, z którym się przyjaźniłem, dobrze znał naszą historię i nasze położenie i starał się w miarę swych sił być nam pomocny.* Procesy demokratyczne i procesy pseudodemo-

kratyczne nie są sobie tak odległe jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Łącznikiem pomiędzy nimi jest rozumny kompromis. A czas zrobi swoje.

„Tydzień Polski”, Londyn, 8 kwietnia, 1995.

BEZ OSTATNIEGO AKTU

Istnieje w naturze niezbadane bogactwo przyczyn dla których ludzie, zdawaloby się myślący względnie logicznie, działając na własną szkodę, mając pod ręką wszystkie atuty by działać na własną korzyść. Dotyczy to też rządów i organów administracyjnych bez względu na to jakimi drogami doszli do sprawowania władzy, choć zdecydowanie predylekcję do tego typu postępowania mają rządy i administracje, których tradycje nie wywodzą się z historycznie już ustalonych systemów liberalno-demokratycznych. Przypomina się stare polskie przysłowie „na złość mamie niech mi uszy zmarzną”, jako ilustracja krnąbrnego chłopca, który wbrew nakazom mamy nie chce włożyć czapki w trzaskający mróz. Analogia równie jaskrawa to fakt autentyczny w rozgrywającym się od dawna dramacie politycznym, którego treścią jest reprivatyzacja mienia odebranego bezprawnie obywatelom polskim przez narzucony Polsce obcy system. Dramat rozgrywa się na dwóch osobnych płaszczyznach jak wynika z autentycznego faktu opisanego poniżej. Dla wyjaśnienia istnienia dwóch płaszczyzn (a może istnieje też trzecia i czwarta?...), należy je bliżej określić. Płaszczyzna pierwsza, ta główna, dotyczy mienia prywatnego. Bezprawie trwa nadal a ubiegający się o zwrot swego mienia żyjący właściciele i spadkobiercy wciąż czekają na rozwiązanie tego problemu przez wprowadzenie w życie odpowiedniego prawa. Zbywani są bezskutecznymi intencjami i głuchym echem administracyjnej frazeologii, od czasu do czasu potwierdzonym pustosłownym edyktem ministerialnym bez politycznego pokrycia. Jak się wydaje dramat bez ostatniego aktu.

Płaszczyzna druga zakrawa na paradoks. Dotyczy ona, jak się okazuje, faktu bezprawia dokonanego przez państwo w stosunku do mienia... państwowego. Ale zacznijmy od początku. 30 października 1924 roku, utworzona została aktem notarialnym Fundacja Smogu-

lecka imienia Bogdana Hutten-Czapskiego. Majątek Fundacji stanowiła nieruchomość (majątek ziemski) o powierzchni 2683 ha położona w miejscowości Smogulec. 13 maja 1931 roku w Smogulcu, w województwie poznańskim, właściciel dóbr smoguleckich, Bogdan Hutten-Czapski, uroczyście obchodził swoje osiemdziesiąte urodziny. Okazję tę wykorzystał jubilat by ogłosić wyjątkową darowiznę państwu i nauce polskiej. Darowizną tą była, stworzona przez niego, „na wszystkie czasy niepodzielna”, Fundacja Smogulecka. W tym to dniu, w dworze smoguleckim, Bogdan Hutten-Czapski przekazał władzom Fundacji Smoguleckiej akt własności dóbr smoguleckich. Celem Fundacji było dostarczenie Uniwersytetowi Warszawskiemu i Politechnice Warszawskiej środków do popierania nauki polskiej. Fundacja została potwierdzona rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 października 1930 roku o Fundacji Smoguleckiej imienia Bogdana Hutten-Czapskiego (Dziennik Ustaw nr 76 poz. 596). Fundacja w pełni realizowała swoje cele do momentu wybuchu drugiej wojny światowej. Po wojnie, na zasadzie art. 2 ust. i dekretu PKWN z 6 września 1944 roku, po przeprowadzeniu reformy rolnej majątek Fundacji przejął skarb państwa, mimo istnienia nadal Fundacji. Dekretem z dnia 24 kwietnia 1952 roku o zniesieniu wszelkich fundacji także Fundacja Smogulecka przestała istnieć.

Spadkobiercy Bogdana Hutten-Czapskiego, rozumiejąc że państwo rzadko dopuszcza się bezprawia w stosunku do siebie samego, i nie będąc w posiadaniu dokładnych informacji, żyli w przeświadczeniu (specjalnie po roku 1990), że Fundacja dalej działa i że majątki w jej administracji owocują i zasilają zarówno Uniwersytet Warszawski jak i stołeczną Politechnikę, tak bardzo potrzebnymi funduszami. Tym bardziej, że od roku 1944 wszystkie wyższe zakłady naukowe stały się instytucjami państwowymi. Niestety pobyt w Polsce i oględziny majątków wykazały inną rzeczywistość. Majątki leżą odłogiem od lat. Nie tylko, że nie owocują, ale są w najwyższym stopniu zaniedbane. Opinia rzeczoznawców potwierdziła, że dobrych parę lat potrzeba aby przywrócić je do stanu pozytywnej eksploatacji. W archiwach Uniwersytetu i Politechniki w Warszawie znaleziono dokumenty dotyczące wieczystej Fundacji Smoguleckiej.

W liście do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa (Oddział terenowy w Bydgoszczy) z 13 stycznia 1993 roku, Rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej, kreśląc historię Fundacji Smoguleckiej aż do dekretu z 24 kwietnia 1952 roku, kiedy

przestała ona istnieć, piszą dalej: *Jednocześnie zgodnie z art. 7 tegoż dekretu majątek niniejszej Fundacji winien być przekazany właściwemu ministrowi, który zgodnie z art. 8 dekretu mógł przekazać w „zarząd i użytkowanie zakładom i instytucjom, których działalność realizuje te same lub podobne cele jak zniesionych fundacji”*. Niestety powyższego nie zrealizowano do dzisiaj. Uniwersytet Warszawski i Politechnika Warszawska zamierzają reaktywować Fundację Smogulecką, w związku z czym wnosimy o powstrzymanie wszelkich działań związanych z majątkiem Fundacji a w szczególności ze sprzedażą majątku Fundacji. Kopie listu wysłano do Ministra Edukacji Narodowej i do Ministra Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Rektorzy otrzymali odpowiedź z Urzędu Rady Ministrów (Biura Kontroli, Skarg i Listów) datowaną 18 maja 1993 roku. Dyrektor Biura przyznaje, że istnienie tego rodzaju fundacji byłoby niewątpliwie wielką korzyścią dla rozwoju nauki i wyższych uczelni w kraju, borykających się z trudnościami finansowymi. I pisze dalej: [...] Niemniej jednak z prawnego punktu widzenia reaktywowanie fundacji, które przestały istnieć w 1952 roku oraz przywrócenie im praw majątkowych nie jest obecnie możliwe do zrealizowania [...] gdyż brak osób fizycznych lub prawnych, które byłyby następcami prawnymi zarządów tych fundacji... (A Uniwersytet i Politechnika?...). Projekt ustawy o reprivatyzacji wniesiony przez grupę posłów do Sejmu w tym samym okresie [...] nie przewiduje jednak zwrotu majątków ziemskich na rzecz osób prawnych. Na zakończenie: [...] nie wydaje się aby możliwym do zrealizowania był wysunięty w wystąpieniu Panów Rektorów postulat przekazania wyższym uczelniom powyższych majątków nieodpłatnie, gdyż przeczyłoby to wprowadzonym w gospodarce krajowej ustrojowym zasadom wolnego rynku (sic!) i byłoby poważnym uszczupleniem Skarbu Państwa... To już nie dramat a tragicomedia, choć też bez ostatniego aktu.

„Tydzień Polski”, Londyn, 3 czerwca, 1995.

RAZEM WSZYSTKIE STANY!

Kronikarz, historyk i pisarz współczesności nie może w swojej analizie naszych czasów pominąć zagadnienia zmieniającego się profi-

lu społecznego narodów, które przeszły dramatyczną pożogę wojenną. A tym bardziej powojenną. Profil ten i jego uwarstwienie zmienia się proporcjonalnie do tego jak drastyczne były dzieje omawianego narodu czy społeczeństwa. Przykład Polski jest znamieny bo losy narodu polskiego w czasie ostatniej wojny i po jej zakończeniu zaliczyć chyba można do najbardziej drastycznych ze wszystkich krajów europejskich. Nie tylko dlatego, że wroga napaść nastąpiła z dwóch stron - Wschodu i Zachodu - ale też dlatego że po rzekomo wygranej wojnie naród polski nie wrócił przez długie lata do społecznej równowagi. Okres 1944/45 - 1989/90 był okresem silnego i radykalnego nacisku politycznego, którego celem było zniwelowanie tradycyjnego uwarstwienia społecznego narodu. Równowaga, której społeczeństwo miało prawo się spodziewać, nie nastąpiła bo na skutek narzuconego systemu komunistycznego rozleciała się - przyrodzona każdemu człowiekowi - struktura warstwowa (by uniknąć często dwuznacznego określenia „klasowa”, o które tu nie chodzi). Pochodzenie, przynależność, posiadanie, nawet zawód, nie stanowiły już podstaw społecznego członkostwa właściwej grupy. Dawny, naturalny i przyrodzony profil społeczny powoli się zacierał, aby równie powoli, niemal instynktownie, indywidualnie i zbiorowo, wrócić na swoje należne mu miejsce po przejściu rządów przez siły tych, którzy byli twórcami „Solidarności” i którzy przywrócili Polsce niezależność i rzeczywistą suwerenność. Ale proces ten wydaje się z różnych przyczyn mozolny i utrudniony.

Radykalna akcja przewarstwienia społecznego przy pomocy praw narzuconych, obcych duchowi społeczeństwa i wrogich w stosunku do praw człowieka i obywatela, przetrwał dwa pokolenia. W ciągu życia tych dwóch pokoleń zatarło się naturalne uwarstwienie społeczeństwa. Nie jest ono nigdy i nie może być przypadkowe, ani nie może być narzucone przez sprzeczne naturze ludzkiej prawa. Na rzecz narzuconego obcego prawa znikła - równie ważna jak wszystkie inne w życiu narodu - warstwa społeczna mianująca się posiadaniem własności prywatnej. A więc ziemi, nieruchomości, wartości przemysłowej (fabryk itp.), udziałów w firmach handlowych i przemysłowych i każdej innej własności ruchomej. Dziś pokolenia te biorące udział w bieżących radach stanu, w bieżącej administracji państwowej, stają oko w oko z zagadnieniem praworządnej rehabilitacji tej warstwy społecznej, której obce prawo i obcy instynkt tego prawa, skonfiskował mienie. A tym samym przekreślił ją jako naturalną część społeczeństwa. Bez tej warstwy polskie społeczeństwo nie jest tworem samoistnym takim

jakim zawsze było i być powinno, a jest tworem sztucznym. Pierwszym pytaniem jest czy czynniki rządzące tej rehabilitacji pragną w imię cywilizacji i praworządności, by mieć prawo ubiegania się o przyjęcie Polski do klubu państw zachodniej demokracji? Jeśli tak, to zagadnienie to może być rozwiązane w trybie ściśle administracyjnym bez uszczerbku dla państwa, a z korzyścią dla wszystkich warstw społecznych. Jeśli nie, sprawa zaczyna być poważna bo musi zahaczać o cały ustrój polityczny państwa, o jego konstytucję i o jego praworządność w przyszłości. A nade wszystko o to czy spór o prawdziwą demokrację w Polsce ma szanse oparcia się na rzeczywistej niczym nie skrepowanej woli narodu. Nie możemy odpowiedzieć na te pytania, bo odpowiedzieć na nie może tylko Polska sama przez jej Sejm i Senat, w ściśle wolnym, niepartyjnym, głosowaniu. A dopóki to nastąpi, musimy w poczuciu solidarności do narodu i państwa, przyjąć że intencja pełnej rehabilitacji istnieje. Krok następny, to jak narodowi i państwu w tym pomóc, jeśli pomoc nasza - emigracji - na coś może się przydać i jeśli narodowi i państwu na niej zależy.

Przyjmując więc jako istniejącą honorową intencję parlamentu i rządu by unormować warstwowość społeczeństwa polskiego według norm obowiązujących w zachodnich krajach demokratycznych, nie należy dziś obarczać nikogo odpowiedzialnością za ich brak. Nie jest to praktycznie ważne. Niemniej jeśli nie nastąpią zmiany jakich żąda karta praw człowieka - przyjęta przez Polskę - odpowiedzialnością za to obciążą kiedyś naród tych którzy intencji nie wprowadzili w życie. Pociągnąć to może za sobą zupełnie niepotrzebne oddalenie Polski od Unii Europejskiej, od NATO i od tych wszystkich organizacji międzynarodowych, na których forum ścierają się strategie polityczne i społeczne, inwestycyjne i handlowe, i gdzie zapadają decyzje obowiązujące ich rzeczywistych członków. Członkostwo tych międzynarodowych ciał wymaga jednak zdania egzaminu z odpowiedzialności za równomierny z innymi członkami otwarty i wolny ustrój społeczny.

Dwa ważne publicznie ogłoszone w „Dzienniku Polskim” (11 kwietnia i 2 maja br.) oświadczenia wskazały raz jeszcze na to, że przypomnienie odnowienia zasadniczych wartości społecznych i polityczno-prawnych w Polsce jest ciągle potrzebne. Roman Gumiński, prezes Polskiego Związku Ziemiaków w Wielkiej Brytanii i Kanadzie, w wywiadzie udzielonym redaktorce „Dziennika” (2 maja br.), z umiarem i zdając sobie całkowicie sprawę ze współczesnego klimatu politycznego w Polsce, podkreśla wyraźnie, że polskim obywatelom

którzy utracili swe mienie nie leży tylko na sercu repywatyzacja jako taka, ale głównie taki prawny stan rzeczy, taka praworządność, która pozwoli na dyskusję do ustalenia warunków rehabilitacji ich własności. To jest właśnie najważniejszy element akcji zmierzającej do wypełnienia luki w uwarstwieniu społecznym, w którym brakuje poważnej większości tych którzy pozbawieni zostali swej prawowitej własności, obojętnie w jakiej była ona formie. Oświadczeniem drugim, jakby nadrzędnym, była Deklaracja Ideowa Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii (11 kwietnia br.). Pełny jej tekst jest ogólnie znany. Warto może podkreślić, że stawia ona następujące dezyderaty *na których rzecz chcemy działać: praworządności, równości obywateli wobec prawa, poszanowania własności prywatnej, poszanowania pracy, uczciwości państwa wobec obywatela i obywatela wobec państwa, odbudowy dumy narodowej, odbudowy poczucia honoru obywatelskiego i osobistego, ideału służby narodowi i państwu polskiemu [...]*.

W pracy zbiorowej polskich historyków „Z dziejów polityki i dyplomacji polskiej, Studia poświęcone pamięci Edwarda hr. Raczyńskiego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na wychodźstwie”, (Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1994), Jerzy Kłoczowski w eseju o słynnym historyku polskim Oskarze Haleckim, i jego tezach, pisze: *Chrześcijaństwo związało wolność człowieka ze sprawą godności ludzkiej osoby. W całej historii „Wieku Europejskiego” ostatniego tysiąclecia jest to perspektywa najważniejsza, problem główny, różnie zresztą rozwiązywany [...]*. Naród polski ma wszelkie dane na to, żeby zagadnienie powrotu do naturalnego uwarstwienia społeczeństwa rozwiązać według tych zasad.

„Dziennik Polski”, Londyn, 5 czerwca, 1995.

LOBBY OR NOT TO LOBBY?

(O polskie „lobby” wśród nas samych)

Nieżyjący już świetny biograf, bibliograf i kronikarz emigracji, autor kartoteki działaczy emigracyjnych, politycznych i społecznych, Bohdan Jeżewski, który jako zawodowy dziennikarz napisałby

szczegółowy, choć pewnie nieco uszczypliwy, reportaż o emigracji polskiej w Anglii wczesnych lat powojennych, miał poza pracą wydawniczą pasję poszukiwania zabytków polskich na wyspach brytyjskich. Gdyby taki reportaż wyszedł spod jego pióra, nie omieszkalby jego autor wyrazić żalu z powodu małego zainteresowania wśród nas tym co po nas zostawili tu nasi dalecy przodkowie. Jeżewski jeździł po Anglii, specjalnie po jej południowym wschodzie i z nieograniczoną cierpliwością i zainteresowaniem chodził po starych kościelnych cmentarzach szukając polskich nazwisk. I co ciekawe, to to, że je ciągle gdzieś znajdował. Przeważnie w najmniej spodziewanych miejscach. Większość tych co znalazł to uchodźcy popowstaniowi z obu powstań. Dalszym etapem tych poszukiwań było dochodzenie jak każdy tu pochowany znalazł się w Anglii, jak tu żył, co robił i jak zapisał się wśród angielskiego społeczeństwa. Jaka została po nim pamięć? Szukał też ich nazwisk w aktach parafialnych małych i często już dobrze zniszczonych kościółkach w Kencie, Surrey, Sussex i Essex. Do pasji tej dołączył on także poszukiwania zbroi, obrazów i innych przedmiotów albo polskiego pochodzenia albo polskiej treści. Niestety z jego śmiercią niedokończono zostało piękne wydawnictwo „Polonica w Wielkiej Brytanii”. Może sceptyk powiedzieć, że to nieważne. Może pesymista powiedzieć no i co z tego. Ale przyjdzie historyk z prawdziwego zdarzenia i powie: „tak daleko sięgała moja ojczyzna”!

Pasja historyczna i kronikarska Jeżewskiego przypominała mi się kiedy pewnego wiosennego wieczoru zatelefonował do mnie niezmiernie na czasie, zaniepokojony przyszłością naszego emigracyjnego posiadania, Tadeusz Zabłocki-Gwasz, senior emigracji, senior dziennikarstwa polskiego i senior trwogi o to co tu po nas zostanie. Tak właśnie Jeżewski martwił się o zabezpieczenie nie tylko swojego archiwum ale archiwum całej emigracji i o udostępnienie go przyszłym historykom, ale też o to czy znajdzie się ktoś kto po nim obejmie rolę poszukiwacza śladów tak niedawnych jak dawniejszych.

Zabłocki był do tego stopnia zaniepokojony stanem rzeczy, że od razu z miejsca proponował komitet by ratować nasze historyczne mienie na emigracji, by je przekazać w godne ręce, by je zabezpieczyć, a nade wszystko, by pozostał po nas znak istnienia. Po krótko szukał młodej pasji do poszukiwań. Należy się to nam i naszym gospodarzom by ślad został bo był to wkład nielada. Rozumiejąc, że tego rodzaju inicjatywa nie może pozostać bez echa, opublikował on też w „Dzien-

niku”, w swojej „Drugiej stronie medalu” felieton wzywający do akcji. Jego apel był słuszny. A echo?...

Nie chodzi już tutaj o tzw. polskie „lobby” w środowisku brytyjskim. Z tym mieliśmy doświadczenia co najmniej mieszane od roku 1944. W sumie, o tzw. polskim lobby w Westminsterze i wśród sfer rządzących mówiono już od 1944 roku. Rząd brytyjski zdawał sobie świetnie sprawę z naszych postulatów, nawet konkretnych żądań, ale poza współczuciem pewnych nielicznych zresztą kół i indywidualną sympatią prywatną paru członków obu izb parlamentarnych, nie miało to żadnego efektu praktycznego na politykę brytyjską. A kiedy skończyła się zimna wojna, każdy dla nas pozytywny gest skromnej polskiej mniejszości narodowej w pragmatycznie nastrojonej Anglii, uważany był za równiej wagi negatywną przestrożę nie na miejscu. Pojedynczy przyjaciele zostali ale ich głos nie docierał tam gdzie mógłby mieć odzew. Z wielu przyczyn, tzw. polskie lobby na właściwym poziomie nigdy nie wystartowało. Niezupełnie z naszej winy. (Powstaje pytanie czy można sztucznie stworzyć lobby? Wydaje się, że albo wynika ono samoistnie albo nie). Regulaminowo Brytyjczycy uznali po wojnie rząd polski w Warszawie i postępowali zgodnie z tym uznaniem. Z drugiej strony nie tylko ze strachu przed sowietami, uważali, że długoterminowa polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii wymagała angielskiego „wait and see” („poczekajmy, zobaczymy”), raczej niż gwałtownej czy dramatycznej akcji wspomagającej ofiary sowieckiego alianta, który w końcu był bardzo pomocny w zakończeniu drugiej wojny światowej. Pragmatyzm brytyjski zwykle wygrywa tam gdzie też zwykle przegrywa najsilniejsza nawet i najsprawiedliwsza emocja.

Przyszła era 1989/1990. Polska stała się wolna i suwerenna z własnym rządem nie narzuconym przez Rosję. Z satelity stała się samorządną republiką. W tych warunkach, polskie lobby w kuluarach Westminsteru nie miałyby racji bytu. Polacy w Wielkiej Brytanii, obywatele brytyjscy i inni, mieli wszystkie te same prawa i przywileje co Brytyjczycy. Z drugiej strony, polityczny rząd polski i jej przedstawicielstwa dyplomatyczne i konsularne od tego czasu reprezentowały interesy i kraju i swoich obywateli na wyspach brytyjskich. A więc żadne polskie emigracyjne lobby nie było potrzebne. Polski rząd w Warszawie i jego ambasador w Londynie to już było więcej niż lobby. Chodzi więc o inne lobby. O polskie lobby wśród nas samych.

Trwoga i obawy Tadeusza Zabłockiego, które powinniśmy

wszyscy równo dzielić pomiędzy nami, dotyczą zabezpieczenia tego czego dorobiliśmy się tutaj w formie naszego udziału w dziejach tego kraju i naszych, począwszy od 1939 roku, a skończywszy na ostatnim etapie. To nie tylko groby naszych rodaków i cmentarze, to nie tylko Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, nie tylko kościoły, biblioteki, szkoły sobotnie, kluby, stowarzyszenia, związki i inne ośrodki w Londynie i na prowincji, ale wszystko to co da się zachować i zadokumentować - by historia naszego ponad półwiecznego pobytu w tym kraju nie zanikła kiedy zabraknie jej czynnych uczestników. Felieton ten o polskim lobby był pomyślany jako echo telefonu Tadeusza Zabłockiego. A jako odzew, skłonny jestem wywołać sugestię aby znany już dzisiaj w Londynie „Klub czwartkowy” (Thursday Luncheon Club), którego Zabłocki jest członkiem-senior, a niżej podpisany chyba najstarszym członkiem po nim, składający się głównie z młodych, tu urodzonych Polaków pracujących w różnych dziedzinach brytyjskiego handlu, przemysłu i finansów, przejęli na siebie obowiązki kustosa polskiego mienia historycznego w Anglii. Jako polskie lobby w polskim i brytyjskim społeczeństwie. Są przecież rzeczywistymi członkami i jednego i drugiego, bez żadnych różnic. Takie polskie lobby będzie miało w rękach praktyczne doświadczenie w zdobywaniu niezbędnych środków finansowych i innych i niczym nie utrudniony dostęp do właściwych instytucji brytyjskich i polskich. A co też ważne, takie lobby będzie miało tę wielką zaletę, że nie będą się go trzymać tradycyjne kontrowersje polityczne, bo w sumie każde polskie mienie, gdziekolwiek posiane, będzie zawsze częścią jednej Polski.

„Tydzień Polski”, Londyn, 8 lipca, 1995.

ŚNIADANIE ZE STEFANEM BADENIM

Wizyty autorów były w redakcji londyńskich „Wiadomości” więcej niż rzadkością. System pracy redakcji był taki, że redaktora Mieczysława Grydzewskiego nie można było w niej zastać w ciągu dnia, bo zajmował regularnie, codziennie swoje uprzywilejowane miejsce w czytelni Biblioteki British Museum. Sekretarz redakcji, przez pierwsze 6 lat odrodzonych po wojnie „Wiadomości”, niżej

podpisany, wprawdzie był na posterunku od rana do wieczora, ale żaden z autorów nie uważał go w najmniejszym stopniu jako zastępcy redaktora. Administracja w postaci Antoniego Bormana, pieczołowicie pilnującego prenumeratorów i dystrybucji pisma, urzędowała w godzinach „cywilizowanych”. Wcześniejsze godziny poranne były więc też niewłaściwe do odwiedzin. Ale elementem najważniejszym było to, że pisarze i autorzy - jeśli tak można powiedzieć - profesjonalni, znali reguły redaktora i wiedzieli, że przyjść do redakcji nieproszonym wymagało nie tylko olbrzymiej odwagi z ich strony, ale też mogło skończyć się porażką dla autora. Inaczej było z nielicznymi autorami z bożej łaski, posiadaczami specjalnego talentu, tymi, którzy w głębokiej skromności i pokorze ducha, przeszli wojenne ciężki i czuwaliby się do historycznego obowiązku by przekazać czytelnikom i swoim dzieciom i wnukom swoje wspomnienia. Ci nie byli ani wtajemniczeni, ani już niczego się nie bali. To były wyjątki. Takim wyjątkiem był Stefan Badeni. Jego talent pisarski i wycucie historyczne narodziły się w wojennych ciężkach i znalazły ujście w potrzebie podzielenia się tym co stało się dokumentem naszych czasów. Stefan Badeni był człowiekiem starszej tradycyjnej daty i w wyobraźni nosił obraz zorganizowanego biura, gdzie przyjmowano interesantów i gości i gdzie nawet - tak jak w dawnych redakcjach lwowskich (Badeniowie to rodzina lwowska), za czasów austriackich i polskich - można też było przyjść na kawę i na pogawędkę. Redakcja pisma była przecież źródłem najnowszych informacji.

Nie małe więc musiało być zdziwienie Stefana Badeniego, kiedy zastukał do drzwi redakcji na parterze domu nr 27 przy Rosary Gardens, na londyńskim Kensingtonie, by korzystając z krótkiej wizyty z Dublina, gdzie wówczas mieszkał w ambasadzie belgijskiej, złożyć wizytę redaktorowi, i zastał na progu mnie nieśmiało przeproszącego za jego nieobecność. Z wielkim spokojem i godnością Badeni zaczął ze swej strony przeproszać za brak uprzedzenia. Stałiśmy naprzeciwko siebie obaj zażenowani. Zażenowanie było z mojej strony podwójne bo nie tylko górował on nade mną wzrostem, ale miałem przed sobą człowieka, który stał się w bardzo krótkim czasie ulubionym autorem redaktora, i którego rękopisy miałem w oczach. Robiłem ich korekty i często starałem się zaglądać do własnoręcznego rękopisu autora raczej niż do przepisane go na maszynie tekstu do druku. Grydzewski twierdził, że we wzorowych rękopisach Badeniego nic nie trzeba było zmieniać ani poprawiać.

Czytając jego ręką pisany tekst miałem uczucie większej intymności z treścią. Nie jestem w stanie dziś odtworzyć dokładnie daty tego spotkania, rok był pewnie 1948, ale zostało mi ono w pamięci też dlatego, że stał przede mną ojciec Jasia Badeniego, kolegi i przyjaciela z niedawnych lat wojennych, kiedy razem wstępowaliśmy jako ochotnicy z armii do lotnictwa. (I który później stał się powiernikiem i hojnym protektorem „Wiadomości”.)

Stefan Badeni nie potrzebował wyjaśnień bo jako człowiek o głębokich doświadczeniach życiowych, po paru słowach od razu wyczuł atmosferę tej wyjątkowej redakcji. Początkowe jego zdziwienie trwało więc krótko, ale z pewnym wahaniem przyjął moje zapewnienie, że cała redakcja i administracja pisma składa się z trzech osób, z których tylko dwie znały się na prowadzeniu pisma, a trzeci był aspirantem, który dopiero co zdjął mundur. Przez chwilę strzeliła mi przez głowę błyskawiczna myśl, że może zaniepokoi go amatorski stan pisma i zdecyduje, że trzeba znaleźć poważniejsze wydawnictwo bardziej przystosowane do drukowania jego wspomnień.

Moje obawy rozwiały się bardzo szybko. Badeni zapytał mnie czy znam jakąś niezłą restaurację w pobliżu redakcji. Był to okres pięcioszylingowych (sic!) śniadań i obiadów (Do wyboru buleczka z margaryną lub deser). Znałem niedawno otwarty hotel „Adria” przy Cromwell Road, ale nie gwarantowałem dobrej kuchni. Wspomniałem tylko, że wielu znajomych Polaków jest jego akcjonariuszami (choć to inna sprawa, ale równie wielu straciło później tamże swoje wkłady). Badeni z piękną staromodną kurtuazją zaprosił mnie tam na śniadanie, prosząc żeby go tam zaprowadzić i mając nadzieję, że redakcja może pozostać bez opieki na godzinę czy dwie.

Lunch trwał dłużej. Pierwszym tematem zainteresowania Badeniego było połączenie w osobie Grydzewskiego przedwojennej ziemiańsko-endeckiej opinii o nim jako rzekomego lewicowego publicysty i równie rzekomej „metamorfozy” jako pilsudczyka i nieugiętego działacza niepodległościowego i antysowieckiego. Był już o niej poinformowany przez innych ale fascynowała go osoba. Mówił o tym jak łatwo fałszywe i powierzchowne opinie czy nawet złośliwe pogłoski mogą ludzi krzywdzić. Przypominał sobie, niemal półgłosem, różne zdarzenia z obozu gestapowskiego w Mauthausen, te które wskazywały na niesprawiedliwość w stosunkach między ludźmi. O sobie nie mówił. Opowiadał też o swojej potrzebie spisania tego co uważał za doświadczenie pokolenia, któremu się wydawało w roku

1918, że nigdy już na to nie będzie narażone. Jako komentarz przestrogi do historii Polski. Mówił, ze wzruszeniem jak Grydzewski reagował na jego rękopisy i jak doceniał argument, że najmocniej przemawiają w druku fakty. Tu leżało sedno długoletniego porozumienia pomiędzy nimi. Słuchając Stefana Badeniego miałem wrażenie, że mówił nie tylko półgłosem ale szeptem. Szept ten mógł nadawać temu co mówił bliskości by głos nie sięgał poza nasz stół. Ale mógł też być - jestem dziś pewien, że był - szeptem pokory i wdzięczności za to, że spisanie i wydanie drukiem swoich wspomnień pomogło mu przynajmniej częściowo zrzucić z serca ciężar wojennych przeżyć. I w ten sposób pokazać jak głęboko ten ciężar dzielił z tymi, których los był podobny. Stefan Badeni zmarł w 1961 roku.

„Dziennik Polski” („Środa Literacka”), Londyn, 19 lipca, 1995.

SKORO MINEŁO 50 LAT

W roku 1946 Instytut Literacki, wówczas w Rzymie, wydał „Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego” Adama Mickiewicza ze wstępem niegdyś redaktora „Orla Białego”, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Wyszły one w druku po raz pierwszy w Paryżu w grudniu 1832 roku, bezimiennie. Mickiewicz napisał je w Dreźnie pod świeżym wrażeniem klęski Powstania Listopadowego. Tak pisze w swoim wstępie Herling-Grudziński: [...] *zjednoczenie Europy może się dokonać jedynie na dwóch podstawach: antyhumanistycznego totalizmu politycznego, albo humanistycznej demokracji ludów, które na naszych oczach stają się narodami, nauczoneymi nareszcie przez wszystkie imperializmy świata solidarności europejskiej [...]*. Stąd nieprzedawniony jeszcze nakaz polityczny „Książ Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego” brzmi tak: „Gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią tam jest walka o Ojczyznę i za tę walkę bić się wszyscy powinni”. To rzymskie wydanie było wtedy na czasie. Czy jest na czasie i dzisiaj? Wydaje się, że tak, rozszerzając zagadnienie bezpieczeństwa Polski na całą Europę. W 1946 roku wznowienie to było z jednej strony wyrazem bólu tak równego polistopadowym, a także wezwaniem do dalszej walki z najeźdźcą,

niby to już w pokoju, ale niemniej wrogiem. I było też katechizmem wskazującym na narodowe słabości, po to żeby ich unikać. Ale nade wszystko było wyrazem nadziei.

Skoro minęło 50 lat od zakończenia totalitarnej wojny światowej, może warto podsumować to co po niej zostało. Kiedy się zakończyła mówiliśmy o niej, choć bez wielkiego przekonania, jako o ostatniej. Nie mieliśmy ani wtedy ani nie mamy dzisiaj żadnych dowodów, że już nam taka wojna nie grozi. Istnienie pocisków nuklearnych, ponieważ są one też w rękach tych którzy mogą nam grozić agresją, nie musi być żadną gwarancją. Jak się okazuje nie są też gwarancją zobowiązania polityczne tak długo jak istnieją jeszcze systemy totalitarne, choćby w Chinach, w Burmie, w Korei Północnej i w innych mniejszych krajach, nie mówiąc o zaborczych sporach mniejszości narodowych w Jugosławii i w innych częściach świata czy o znaku zapytania ciągle jeszcze wiszącym nad Rosją. Na zobowiązania moralne też nie ma co liczyć jak nauczyła nas historia współczesna. Wprawdzie istnieje Organizacja Narodów Zjednoczonych i chociaż istnieje podpisana przez niemal wszystkie zebrane w niej narody Karta Praw Człowieka, słabości i instynktu międzynarodowego targowiska nie da się zmienić tak długo dopóki walka o te prawa pozostanie na papierze. Z drugiej strony działania orężne nie są jak się okazuje lekarstwem, ani odtrutką, jeśli to międzynarodowe targowisko nie może się powstrzymać od dostarczenia broni swoim najlepszym klientom. Ci, otoczeni mgłą tajemnicy, zasłonięci siecią pośredników, kpią w żywe oczy z niekończących się ministerialnych szczytów. W gruncie rzeczy więc tak jak w roku 1945 Winston Churchill w liście do prezydenta Franklina D. Roosevelta użył już wtedy powszechnego wyrażenia „the Iron Curtain”, zwracając uwagę, że ma co do tej sytuacji poważne „misgivings” (złe przeczucie), możemy dziś to powtórzyć. Europa, a może z nią cały świat, jest pomimo wielkich zmian i na Zachodzie i na Wschodzie, w dalszym ciągu podzielona na dwa obozy: na Zachód i na Wschód - od Polski. A więc, gdzie jest Polska?

Patrząc historii prosto w oczy, Polska jest tak jak zawsze bardzo sama. Choć już niemal 6 lat wolna i suwerenna, ale poza układami strategicznymi. Po 50 latach od zakończenia drugiej wojny światowej, oddaliśmy uroczyste należny hołd poległym na polach jej walk, pomordowanym w haniebny sposób jej ofiarom i wszystkim tym którzy z jej powodu zginęli. Do żadnych innych uroczystości nie ma

powodów. Historia nie składa się z sentymentów ale z dobrej, mniej dobrej lub złej rzeczywistości. W naszym przypadku rzeczywistość nie jest ani dobra ani zła, ale jest zawikłana. Wewnętrznie, naród polski nie przyjął jak dotąd wyraźnej decyzji jaką drogę wybrać do demokracji. Mimo to, i to trzeba uznać za pewnego rodzaju paradoks, gospodarczo i ekonomicznie wykazuje żywą inicjatywę i poważny postęp, co jest wielkim osiągnięciem przy braku zasadniczych form prawnych, takich jak np reprivatyzacja.

Zewnętrznie, wydaje się, że ambicje nie dorównują faktom. Mówimy o tej ambicji głównej: członkostwo Unii Europejskiej. Patrząc na te fakty z Zachodu, nie tylko z Londynu, musimy umówić się przede wszystkim, że wbrew poczytności skrótu myślowego „Unia Europejska”, prawdziwa unia nie jest jeszcze faktem dokonany. Jest od tego jeszcze dość daleka. Niemcy dominują wspólny europejski rynek przy pomocy o wiele bardziej amatorskich działań Francuzów. Belgia, Holandia i Luxemburg spokojnie kibicują wiedząc dobrze, że w żadnym wypadku nie mogą na tym stracić. Włochy, niesforne jak zawsze, pomimo kompletnego bankructwa ekonomicznego od 1945 roku, kwitną nie traktując poważnie swoich obowiązków europejskich. Hiszpania, traktuje wprowadzenie swoje europejskie obowiązki poważnie, ale poszarpana jest polityką wewnętrzną i ma duże problemy z mniejszością narodową na północy kraju. Portugalia, tradycyjnie jako najstarszy aliant Wielkiej Brytanii, i mocno związany z nią ekonomicznie, pozostanie jej posłuszna. Grupa ta dziś przeżywa głębokie starcia praktyczne by stworzyć warunki do uwzględnienia wszystkich dezyderatów każdego państwa z osobna. Rzecz prosta są targi i następują różne kompromisy. Ale dla Polski jedynym ważnym elementem jest to do jakiego stopnia w rezultacie tych targów i kompromisów, urzeczywistnionej w ten sposób unii będzie zależało na wciągnięciu do niej tzw. małych państw Europy Środkowej, czyli między innymi Polski. A zależec jej tylko może na zasadzie względów ściśle praktycznych. Względy praktyczne to Wschód, ale nie tylko Wschód.

Mało i rzadko mówi się w środowisku polskim w kraju i za granicą o innej koncepcji rozegrania sytuacji strategicznej Polski. Nie jest to koncepcja nowa. Inicjatorem jej w Anglii w czasie wojny był ambasador Edward Raczyński, który we wczesnych latach 40-tych brał udział w rozmowach w Londynie z prezydentem Czechosłowacji Edwardem Beneszem i jego ówczesnym ministrem spraw zagranic

cznych Janem Masarykiem, zmierzających do jakiegoś rodzaju federacji środkowo-europejskiej. Rozmowy te ustały kiedy zaraz po wojnie Benesz zdecydował się na powrót do Pragi. Nielatwo było znaleźć innych równie poważnych rozmówców. Patrząc dziś na nieustanny spór o zasadnicze warunki członkostwa Unii Europejskiej wśród jej członków, trudno powstrzymać się od wniosku, że kalendarz ich zajęć na najbliższe lata nie zawiera daty decydujących rozmów z Polską. Niemniej, intensywna inicjatywa Polaków praktycznych rozmów z naszymi sąsiadami w Europie Środkowej, zmusiłaby Unię do uznania inicjatywy w pierwszym rzędzie, a następnie do stworzenia warunków współpracy. To byłyby pozytywne względy praktyczne. Tradycyjne europejskie układy oświeconej demokracji mają za sobą doświadczenia wynikające z ich położenia i kręgu bezpośrednich wpływów. Ma je też z dawien dawna Polska.

„Orzeł Biały”, Londyn, lipiec/sierpień, 1995.

NA PEKSOWYM BRZYŻKU

Wystarczy zerknąć na Tatry raz za młodu by zostać przykutym do nich oczami i sercem na całe życie. Za młodu zetknąć się z majestatem Tatr jest darem niezapomnianym. W latach dojrzewania i częstych już wizyt okazuje się, że tajemnica tego majestatu jest ukryta głęboko. W wieku dojrzałym tajemnica staje się coraz bardziej wymagająca choć w dalszym ciągu nieznana: żąda usług w formie pnięcia się coraz wyżej a kiedy jest przykryta śniegiem, nie pozwala zapomnieć, że jest kapryśna. Potem długie lata przymusowej rozłąki w krajach gdzie nie pachną świerki, dają niekiedy rozkosz wspomnień, jak pamięć, która jest jak Droga do Białego w nieprzespaną noc. Cała oświetlona przycmionym księżycem. A na jej tle ciemne ale przyjacielskie jak zawsze Regle. Jak miłość to miłość. Jest bez plam i wszystko jest w niej piękne. Nawet kiedy się wie, że lipiec to najmniej właściwy miesiąc w roku, żeby Tatrom składać wizytę. Są wakacje więc Zakopane pełne jest turystów. Ale ponieważ gromadzą się oni głównie na Krupówkach, przy Morskim Oku, w Dolinie Kościeliskiej, w Chochołowie, w Kuźnicach i przy Krokwi, więc mieszkając tym razem na stokach Gubałówki łatwo ich ominąć.

Schodząc z Gubałówki do głównej szosy w kierunku miasta i biorąc stromy skrót prosto na Ulicę Kościeliską, i skręcając w nią na lewo, tam gdzie jest serce Zakopanego, jest mały, cichutki stary cmentarz, zwany też Cmentarzem Zasłużonych. Większość tam pochowanych to ci, których urzekła tajemnica majestatu Tatr i tych, którzy znaleźli szczęście i radość życia u ich podnóży. A wielu z nich tę tatrzańską radość życia tworzyli. Tam kryje się źródło i historia wielkiego polskiego romansu z Tatrami.

W roku 1327 utworzono parafię Nowy Targ. Do niej należał wtedy teren Zakopanego. Z początkiem XVII wieku, w roku 1602, po powstaniu parafii w Czarnym Dunajcu przyłączono do niej część terenów obecnego Zakopanego aż po Biały Potok. W latach 1784-1845 zachodnia część Zakopanego należała do nowo utworzonej parafii w Chocholowie, część wschodnia w latach 1834-1845 należała do parafii Poronin. Zakopane nie miało wtedy swego cmentarza. Zmarłych chowano w Chocholowie. W roku 1845 powstała parafia Zakopane na skutek starań ówczesnych właścicieli dóbr zakopiańskich Klementyny i Edwarda Homolaczów. Proboszczem nowej parafii został ks. Józef Stolarczyk. To on właśnie założył pierwszy zakopiański cmentarz w roku 1848, na wysokim brzegu nad Cichą Wodą, tuż koło miejsca gdzie zbiega się ona z Białym Potokiem. Teren cmentarza był podarowany parafii przez Jana Pęksę. Poprzednio grunt cmentarza należał do słynnej rodziny Gąsieniców, którzy przy samym zbiegu potoków mieli młyn. W roku 1729 Gąsienicowie sprzedali młyn z częścią gruntu Szymonowi Pęksie. Od nazwiska fundatora cmentarz nazwano Pęksowym Brzykiem. W gwarze góralskiej „brzyzek” oznacza stromo poderwany teren nad potokiem. Pierwsze msze św. odprawiano w Zakopanem przed małą kamienną kaplicą pod wezwaniem św. Andrzeja i św. Benedykta, wystawioną w latach pomiędzy 1806 i 1820 przez Pawła Gąsienicę. Obok cmentarza stoi stary, niewielki drewniany kościół wybudowany w roku 1847 i rozbudowany przez ks. Stalarczyka w latach 1850-1851. W roku 1908 Pęksowy Brzyzek przestał być jedynym cmentarzem zakopiańskim. Założono nowy cmentarz parafialny. Odtąd Pęksowy Brzyzek przybrał miano Cmentarza Starego, żeby wkrótce z tytułu ograniczonego na nim terenu, specyficznej historii i potrzeby oddania hołdu wybitnym piewcom i miłośnikom Tatr, stać się Cmentarzem Zasłużonych. W roku 1931 cmentarz został wpisany w Krakowie do rejestru zabytków. I takim jest do dziś dnia. Wielu starych grobów nie

można się już dziś doszukać. A wielu zasłużonych „zakopiańczyków” sprowadzono w ciągu lat z innych cmentarzy.

Zakopane i Tatry reprezentują m.in.: Tytus Chałubiński, Andrzej Chramiec (jeden z pierwszych synów góralskich z wyższym wykształceniem), Bronisław Czech (grób symboliczny), Gąsienicowie: Barcyn Stanisław, z Lasa Stanisław, Szymon Krzyś, Krzeptowscy: Maria, Jan (legendarny Sabala), Józef, Marusarzowie: Andrzej, Helena, Jędrzej Jarząbek, Pęksowie: Agnieszka, Jan, Józef, Jędrzej Wala (starszy), ks. Józef Stalarczyk, Henryk Walczak. A Zakopane, Tatry i literaturę i sztukę m.in.: Jan Kasprowicz, w roku 1933 przeniesiony na Harendę w Poroninie, Kornel Makuszyński, Władysław Orkan, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Jan Gwalbert Pawlikowski, Jan Gwalbert Henryk Pawlikowski, Michał Pawlikowski, Karol Stryjeński, Witkiewiczowie: Maria, Stanisław, Stanisław Ignacy (Witkacy, wymieniony na nagrobku matki, pochowany we wsi Jezioro na Polesiu). Tak czy inaczej życie ich wszystkich związane było z Tatrami i z Zakopanem.

Piszę dziś o tym z dwóch przyczyn. Po pierwsze bo jestem do Zakopanego bardzo przywiązany i długie lata rozłąki bez szumiących świerków (1938-1993) przyswoiły moje wspomnienia do różnych obrazów, które pozostały w pamięci. A że niezupełnie platoniczna to jest miłość, więc trzeba je było sprawdzić. Podczas trzeciej wizyty 1993, 1994 i 1995 (pierwsze dwie były pomiędzy Zakopanem a Polaną Zgorzelisko), uderzyło mnie to, że w gruncie rzeczy, nawet przy zmianie różnych budynków przy dolnych Krupówkach i ulicy Kościuszki, i przy braku obu słynnych restauracji Karpowicza (choć budynek stoi) i Trzaski, fizycznych zmian jest mało. Ale uderzyło mnie też co innego. W Zakopanem widać mniej śladów długiej izolacji politycznej niż gdzie indziej. Trudno to określić bardziej szczegółowo. A jeszcze trudniej sprecyzować. Chyba, że jeśli się wróci do cmentarza na Pęksowym Brzyzku i pomyśli co łączyło tych którzy są tam pochowani. Łączyła ich potęga Tatr jako najpewniejsza twierdza obronna i dzięki niej spokojnie rozwijające się ich talenty. W tym to poczuciu wolności tworzenia, czerpali z Tatr inspirację. Dotyczy to artystów-górali i artystów „ceprów” z nizin w tym samym stopniu. Górale tatrzańscy to mistrze śpiewu, poezji, tańca, legendy, zdobywania skalnych wierchów i przełęczy, a nade wszystko instynktu prostoty i respektu dla natury. Artyści z nizin dążąc do mistrzostwa swojej sztuki szukali bezpieczeństwa wypróbowanych góralskich

ciupag tak skutecznie broniących wolności indywidualnej. A tatrzańska twierdza dodawała jednym i drugim odwagi. Wszyscy czuli się i czują się dzisiaj bezpieczni, kiedy najpierw Giewont wysuwa się zza chmur, a po nim kolejno Suchy Wierch Kondracki, Świnica, Wrota Chałubińskiego, aż wreszcie wysokie Rysy. Wtedy dopiero widoczna jest pełna tęcza nad Tatrami, a potęga ich rośnie w oczach.

„Tydzień Polski”, Londyn, 25 października, 1995.

MINISTER BARTOSZEWSKI W CHATHAM HOUSE

19 października 1995 roku polski minister spraw zagranicznych był gościem Royal Institute of International Affairs (Chatham House) w Londynie. Tytuł jego prelekcji był „Poland in the region, in Europe and in the world” („Polska w rejonie, w Europie i w świecie”). Minister-historyk ma siłą rzeczy, wykształcenia i doświadczenia, inne i może głębsze spojrzenie na taki szeroki temat, niż miałby je minister-polityk. Bartoszewski skrupulatnie waży nie tylko to czego Polska spodziewa się od swojego rejonu, od Europy i od świata, ale też to co Polska może dać swemu rejonowi (Środkowej Europy), Europie (zachodniej) i ogólnie światu. Minister-humanista nie boi się błędów ani historycznych ani współczesnych. Wie przecież świetnie, że błędy popełniają wszystkie żywe i suwerenne narody i rozumie trudności z jakimi borykają się one by tych błędów nie powtarzać. Jako minister-pisarz, Bartoszewski docenia wartość i znaczenie natury ludzkiej. Jako minister-publicysta, wie jak otworzyć dyskusję (żeby nie powiedzieć polemikę) z takim politykiem, który nie wierzy, że każdy kompromis ma dwie ceny: negatywną i pozytywną. Jako minister-dyplomata wie też, że potrzebna jest do tego duża doza cierpliwości. Władysław Bartoszewski jest w Anglii znany a specjaliści w Chatham House mają wiele uznania dla jego znajomości i pozycji w Niemczech, dziś jednego z kluczowych elementów Unii Europejskiej. Jest to ważne bo ma on opinię ministra-specjalisty od zagadnień środkowo-europejskich, raczej niż partyjnego polityka. Jego wystąpienie w Londynie w przeddzień wyborów prezydenckich w Polsce jest tym cenniejsze. Dlatego jego opinie są ważne dla Polaków i dla współpracujących z Polską cudzoziemców a zwłaszcza Brytyjczyków.

Prelekcja min. Bartoszewskiego miała w sobie wszystkie źródła szerokiego rzutu oka na przypomnienie (bardzo na czasie) słuchaczom specyficznej pozycji Polski w rejonie. Zwracając uwagę na duży potencjał polityczny i ekonomiczny Ukrainy (i w mniejszym stopniu Białorusi), minister podkreślił znaczenie jakie Polska przywiązuje do dobrych stosunków z sąsiadami na Wschód. Nie zapominając o krajach bałtyckich przypomniał o sukcesie konferencji i bliskiej współpracy państw bałtyckich. Co do Rosji, uznał wielką niewiadomą jaką obecnie przedstawia ten kolos o wielkich bogactwach naturalnych a jednocześnie o olbrzymich zasobach broni nuklearnych. Polska w rejonie dała ministrowi wspaniałą odskocznnię do rozważań o tym jak ważny jest ten rejon Europy i do jakiego stopnia Polska może odegrać rolę nie tylko rejonową ale europejską w najszerszym tego pojęcia znaczeniu. Historyczne związki Polski z Zachodem nie ulegają wątpliwości, ale od roku 1989/90 jej rola bloku granicznego pomiędzy Wschodem a Zachodem, przekształciła się w kluczowego członka bloku zwiększonego przez kraje uwolnione od sowieckiej dominacji na wschód, północ, południe i zachód od niej. A więc w sumie blok godny uwagi możliwych państw zachodnich zarówno z punktu widzenia obronnego jak i ekonomicznego. Bartoszewski powiedział więcej: nie tylko godny uwagi ale wzajemnie konieczny.

Element europejski był w dalszym ciągu doskonałą odskocznnię do refleksji na temat Polski w świecie. Doświadczenia „zimnej wojny” stworzyły filozofię strachu. Co do wyciągnięcia z niej właściwych wniosków, należy się umówić że pomimo wszystkich głębokich zmian w układzie Rosji jako wielkiego mocarstwa, nie należy lekceważyć nieznanego podłoża tych zmian i do czego mogą one jeszcze doprowadzić nim nastąpi - i czy w ogóle nastąpi - jakaś stabilizacja, która pozwoli reszcie świata na praktyczne planowanie dalszego postępowania. Stany Zjednoczone, to dziś jedyne wielkie ustabilizowane mocarstwo, nie powinno być uważane za jedyne źródło środków obronnych i gospodarczych by w razie czego ratować resztę cywilizowanego świata. Tak więc jak element europejski prelekcji był odskocznnię do rzutu oka na świat, tak ten właśnie rzut oka był znowu odskocznnię do refleksji, że Europa może stać się kluczem stabilizacji na skalę światową. Ale tylko w drodze dużego zwiększenia jej geopolitycznego obszaru. Polska w świecie więc, to jej misja dyplomatyczna pokazująca światu jej tak ważne dla Zachodu i dla Stanów Zjednoczonych zbliżenie z Ukrainą i Białorusią i krajami

bałtyckimi. Misja spotęgowana uczestnictwem w NATO i Unii Europejskiej by koordynacja tych powiązań mogła stworzyć z całej Europy wolne mocarstwo. Bartoszewski wierzy w praktyczną logikę takiego rozumowania jako Polak i jako Europejczyk.

„Dziennik Polski”, Londyn, 26 października, 1995.

DRUGA KADENCJA

W demokracji krótka pamięć może mieć groźne następstwa. Długa pamięć, ale tylko taka sięgająca do zamierzchłych czasów, może być pomocna pod warunkiem umiejętnego jej użycia. Potrzebna jest więc w demokracji pamięć w sam raz. I tu jest kłopot. Jak ją wymierzyć? Jak obliczyć dystans pomiędzy sierpniem 1989 roku i listopadem 1995 roku? Czy tylko kalendarzowo, czy też może wyznaczyć słupki miary na długiej i pełnej zakrętów drodze od bram Stoczni Gdańskiej do gmachu Sejmu na ulicy Wiejskiej w Warszawie? Tego w którym zebrał się pierwszy wolny sejm ustawodawczy wybrany w pięcioprzymiotnikowym głosowaniu powszechnym.

Na pierwszym odcinku tej drogi nie było zakrętów. Brama Stoczni Gdańskiej, kiedy wreszcie można ją było na oścież otworzyć, ujawniła jedność rzadko spotykaną w naszych stosunkach. Z dnia na dzień dotknięto gołymi rękami dotąd zdawało się nieuchwytny wizji zbawienia. O trudnościach nikt nie myślał. Więcej, nikt nie ważył się myśleć. Ale, tak jak zwykle w życiu, trudności zaczęły wyrastać niemal samoistnie. Piętrzyły się pytania na które nie było na pozór odpowiedzi. Kiedy po pierwszej euforii nowej rzeczywistości nastaly dni rozważań okazało się, że chętnych do znalezienia odpowiedzi było wielu. Więcej, było też wielu którzy mieli odpowiedzi gotowe od dawna. Wszystkie miały być dla dobra narodu i państwa. Ale jednocześnie, paradoksalnie, jakby nie wiedząc co czynią, sprzeciwiały się one tezie dobra narodu i państwa stawiając interesy swoich różnych ugrupowań na pierwszym planie. I tak jest do dziś, kiedy naród przystępuje do nowej prezydenckiej kadencji. Jak wynika z ogłoszonych w prasie przedbiegów, konkurentów jest wielu. Ale ilu rzeczywistych kandydatów? Ilu takich, którzy przeszli wszystkie zakręty długiej drogi i wynieśli z tej wędrówki dość doświadczenia by wznieść

drugą kadencję na wysokość ponad partyjną dla dobra narodu i państwa? Jaką nową bramę należy dziś otworzyć na oścież?

Zakres doczesnych pamięci otwiera „okrągły stół”, który dość szybko zamienił się w stół „kwadratowy”. Zasadą pierwszego było równo uprawnienie do głosu przez wszystkich uczestników. Był to drugi etap urzeczywistnienia dopiero co wprowadzonej w życie wizji. Tu odeszła obca ideologia, pozostawiając jej polski już odpowiednik. Podstawą drugiego były już strony zasiadające na wyraźnie zarysowanych liniach. Stół „kwadratowy”, razem z resztą ówczesnego umeblowania znikł w labiryncie niekończących się dyskusji jaka ma być Polska. To był okres dojrzewania. Zdawało się, że jego punktem kulminacyjnym będą powszechne wybory prezydenta. Na stanowisko to naród wybrał Lecha Wałęsę. Nie trzeba tu wyliczać danych z jego biografii ani zalet, walorów i wad jakie miał przynieść ze sobą na to stanowisko. Człowiek się nie zmienił. Był taki sam wtedy kiedy wytykał komunistom z sowieckim zapleczem jakie popełniają błędy w Polsce. I taki sam kiedy na barykadzie Stoczni Gdańskiej wypowiedział wojnę komunistom. Jako prezydent postępował tak samo jak elektromonter w stoczni. Jako przedstawiciel Polski za granicą uzyskiwał podziw i szacunek z jednej strony jako ten, który pierwszy postawił się komunistom i wobec tego współautor zaważenia się systemu sowieckiego, a z drugiej jako potencjalny piwot polityczny w przyszłym układzie Zachód-Wschód. Do dziś dnia jest Wałęsa na Zachodzie uważany za męża stanu, którego doświadczenie i pragmatyczny instynkt polityczny, połączony z odwagą osobistą może mieć wpływ na stosunki w Europie centralnej w przyszłości.

Wszyscy wiemy, i Zachód też ma swoje informacje na ten temat, że Wałęsa jest człowiekiem porywczym, że żyje i pracuje w ciągłej kontrowersji, że jest on w stanie zmieniać zdanie w sprawach zasadniczych parę razy dziennie, że ustawicznie stawia swoich współpracowników w trudnych sytuacjach, że lubi dyktować warunki... Że jest podejrzliwy w stosunku do politycznych karierowiczów i nie tylko karierowiczów, że wygłasza sprzeczne teorie w tym samym przemówieniu, wreszcie że ma tendencje dyktatorskie. Wszystko to może być prawdą. Wszystko to może mieć miejsce w jego charakterze. Ale wszystko to wskazuje na to, że kontrowersje w jego działaniu, uważane przez niektórych za błędne, są jedynie dowodem, że intencją jego jest wysupłać się z partyjnych walk, którymi otoczony jest od roku 1989 i być takim prezydentem jakim być powinien: absolutnie ponad

partyjnym. Jak dotąd mu się to nie udało. Jego pierwsza kadencja była częścią okresu dojrzewiania. Tłukł się w sieci swarów i targów o władzę, o pozycje, o posady. Nowa kadencja pozwoli mu postawić urząd prezydenta na wysokości najwyższego autorytetu w państwie. Miara potrzebnego dystansu to dwie kadencje. Po okresie dojrzewiania należy się Polsce okres męstwa.

„Orzeł Biały”, Londyn, listopad, 1995.

JAN BADENI 1921-1995

25 października zmarł, powalony niubląganą chorobą, człowiek o rzadkim talencie instynktownego wycucia tego co w życiu jest ważne a co mniej ważne. Używał tego instynktu w swym życiu prywatnym, swojej rodzinie i w tych dziedzinach polskiego i brytyjskiego życia publicznego, które były mu bliskie. Ważna była dla niego głęboka wiara, praktykowana i kultywowana, ważne były wszystkie sprawy dotyczące Polski, ważna była pomoc upośledzonym i ważne poczucie obowiązku. Niemniej ważna była troska o krzewienie kultury polskiej, o literaturę polską i wreszcie o oświatę polską. Do mniej ważnych zaliczał tak zwane życie towarzyskie, każdą nieowocującą aktywność, swary polityczne i wszystko to co było w jego mniemaniu szkodliwe moralnie i fizycznie. Dał tym zasadom dowód całym swoim postępowaniem.

Istotnym motorem jego działania było przekonanie o praktycznej wadze tradycji polskich i rodzinnych, z domieszką właściwej tym tradycjom dyskrecji. Dyskrecja ta polegała na uznaniu pozycji swojej i swoich przodków w istniejącej hierarchii. Była ona u niego równa rozpoznaniu obowiązków jakie ta pozycja narzucała. Przyjęcie ich było, rzecz prosta, automatyczne. Rozumiał, że im głębsze tradycje, tym więcej przywilejów i równocześnie więcej odpowiedzialności. Pisząc w 1981 roku o sobie w „Debrett's Handbook of Distinguished People in British Life”, z pewną dozą dumy rodzinnej wspominał o tym, że gdyby dziś istniała monarchia austro-węgierska, miałby on prawo, jako głowa rodu Badenich, do odziedziczonego pośrednio po wybitnym przodku Kazimierzu Badenim (1846-1909), fotela w wyższej izbie parlamentu tego kraju. Nie była to z jego strony facecja ale

raczej podkreślenie, że gdyby taka sytuacja istniała, przyjąłby na siebie ochoczo wszystkie wynikające z niej obowiązki.

Jan Badeni, syn Stefana, urodził się we Lwowie 15 lutego 1921 roku. Kształcił się w domu. We wrześniu 1939 roku, by uniknąć Niemców i Rosjan, wyjechał z rodziną na Węgry. Stamtąd, z fałszywymi papierami przedostał się do Palestyny, która wówczas była mandatem brytyjskim. Na granicy ani jego nazwisko (pochodzenia włoskiego) ani fałszywe papiery niewiele pomogły. Brytyjczycy byli dość uczuleni na filtrujących się przez granice niemieckich szpiegów. Na wszelki wypadek Badeni został aresztowany i spędził parę miesięcy w twierdzy w Acre. Pomogły różne interwencje polskie i inne, i wkrótce Badeni znalazł się w szeregach pułku ułanów Karpackich, w Brygadzie Strzelców Karpackich, pod dowództwem gen. Stanisława Kopańskiego. W 1941 roku brał udział w walkach w obronie twierdzy w Tobruku. Odznaczony tam został Krzyżem Walecznych. Wkrótce potem dołączył do niewielkiej grupy ochotników do lotnictwa. W tej właśnie grupie spotkaliśmy się w Kairze, gdzie podchorąży Badeni był czasowo przydzielony do kancelarii żandarmerii w dowództwie Armii Polskiej. Wyruszyliśmy do Wielkiej Brytanii z portu w Suezie na przeladowanym wojskiem francuskim transatlantyku „Ile de France”. W czasie parotygodniowej podróży, unikając zygzakami niemieckich łodzi podwodnych (nawet zahaczając o Rio de Janeiro), paru z nas pełniło funkcje tłumaczy. Badeni, który mówił po angielsku najlepiej w tej naszej grupie, dał się poznać jako bardziej od reszty czuły na słabości ludzkie, głównie fizyczne i związane z nimi problemy. Wśród chorych w pokładowym szpitalu wykazywał wielką cierpliwość i życzliwość, unikając powszechnej wojskowej szorstkości. Po wylądowaniu w Szkocji, rozpoczęliśmy szkolenie do personelu latającego. Badeni został pilotem w końcu roku 1943. Po dalszym przeszkoleniu latał w Coastal Command po czym wstąpił zawodowo do RAF. Służył w dywizjonie helikopterów i brał udział w tak zwanej „Malayan Emergency”. Po tej akcji został odznaczony „Queen's Commendation for Valuable Service in the Air”. Służył dalej w Air Rescue Service RAF (helikoptery) w Anglii aż do przejścia na emeryturę w stopniu Squadron Leader, w roku 1962. W roku 1956 ożenił się z panną June Wilson, córką majora Noela Wilsona, obywatela ziemskiego w hrabstwie Wiltshire. Mieli syna Michała i córkę Marię.

Przejście Badeniego do życia cywilnego to początek równie aktywnego ale zupełnie innego rozdziału jego życia. Zmienił on

przede wszystkim zawód lotnika na profesję maklera giełdowego. Zdejmując mundur wojskowy przybrał strój działacza społecznego. Łączył jedno i drugie tak harmonijnie, że uzyskał poważne sukcesy na obu polach działania. Sukcesy na polu finansowym były dla niego ważne bo zapewniały życie na pewnym poziomie i przyszłość żony i dzieci, ale - może to co dla niego było co najmniej równie ważne - pozwoliły na bardzo szczerą i konieczną w jego pojęciu akcję charytatywną i społeczną. I tu był sukces na drugim polu. Oba były równie polskie jak brytyjskie. W bliskim mu Wiltshire został w roku 1978 mianowany przez królową Elżbietę na stanowisko High Sheriff of the County of Wiltshire, a w latach już ostatnich był przewodniczącym komitetu partii konserwatywnej miejscowego okręgu wyborczego. Emigracyjna Polska w Wielkiej Brytanii, w tych latach organizująca i umacniająca w dalszym ciągu swoją pozycję na nieznaną przyszłość, w obliczu nie obiecującej żadnych zmian sytuacji Kraju, miała niekończące się potrzeby. Badeni był jednym z hojnych fundatorów POSK, Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Biblioteki Polskiej i wielu innych organizacji i instytucji. Miał jednak w tej dziedzinie trzy może najbliższe jego sercu. Każda z nich inna, każda o innych zadaniach, aspiracjach i ambicjach i każda wymagająca czasu, i każda rozumiana przez niego jako jeden z jego ważnych obowiązków. Stawiał je na równi. Jedną to Fundacja Lanckorońskich z Brzezia, powstała w roku 1967 w Szwajcarii z oddziałem w Londynie, druga to londyńskie „Wiadomości”, w których między innymi, jego ojciec Stefan był wysoko cenionym i wybitnym współpracownikiem, a trzecia to Związek Polskich Kawalerów Maltańskich. W Fundacji Lanckorońskich z Brzezia był najbliższym współpracownikiem prof. Karoliny Lanckorońskiej i powiernikiem Fundacji jak i jej finansowym doradcą. W „Wiadomościach”, poza zainteresowaniem i przyjaźnią, był wspaniałomyślnym fundatorem licznych nagród literackich i wydawnictw, i hojnie zapewnił pismu pamięć po wieczne czasy, umożliwiając ulokowanie całego archiwum wydawnictwa w bezpiecznych murach Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Był czynnym członkiem Związku Polskich Kawalerów Maltańskich od roku 1975, skarbnikiem w latach 1976-1983 i prezydentem w latach 1990-1992. Odznaczony Komandorią Orderu Pro Merito Militensi (1987) i Wielkim Krzyżem Honoru i Dewocji (1992). Zostawił po sobie w Polsce wielu wdzięcznych małoświadomych podopiecznych, którzy mu zawdzięczają bratnią dłoń, wiele uczucia i praktyczną

pomoc. Do licznych już obowiązków dodał też instytucję czwartą - zbliżoną do trzech poprzednich - będąc w dwóch etapach członkiem trust'u Polskiej Fundacji Kulturalnej do roku 1985, a potem w latach 1991-1994, gdzie jego głos był pomocny w rozwiązywaniu niełatwych problemów tej wyjątkowej i potrzebnej instytucji.

Badeni czerpał głęboko z doświadczeń historycznych obu rodzin, polskiej i brytyjskiej, i z przywilejów jakie w życiu były jego udziałem. Miał naturalne powołanie ku temu, żeby tak samo szczerze dzielić się nimi z innymi. Miał praktyczny respekt dla tego co składa się na niezależność człowieka i równie sprawiedliwy szacunek dla tych którzy o tę niezależność walczą i o nią dbają. Tym, którzy jej nie mają - niósł pomoc. Tak samo jak nie bał się życia, nie bał się śmierci. O tym jak nie bał się życia świadczy entuzjazm i precyzja z jaką zabierał się do każdego nowego przedsięwzięcia. O tym jak nie bał się śmierci świadczy skrupulatność i ta sama precyzja, z którą zabrał się do porządkowania swoich ziemskich spraw. To też uważał za jeden ze swoich ważnych obowiązków.

„Tydzień Polski”, Londyn, 11 listopada, 1995.

SYMBOL TO TEŻ AUTORYTET

W roku 1989 mówiliśmy o drugim „cudzie nad Wisłą”. W grudniu 1990 roku naród wybrał przewodniczącego „Solidarności” prezydentem Rzeczypospolitej. „Cud” tym razem polegał między innymi na tym, że naród zrzucił obcą przemoc bez rozlewu krwi. Wałęsa stał się symbolem nowo zdobytej suwerenności i autorytetem, z którym zaczął się liczyć niemal cały cywilizowany świat. Niepotrzebne są dziś lekcje historii gwoli szukania analogii. Bo analogii nie ma. Może by się jakieś pół-analogie znalazły, ale tylko takie, które uzyskano na zasadzie kompromisu. „Solidarność” poszła na całego. Dlatego właśnie nazywamy to co się stało „cudem”. Bo wygrała na całego.

Dziś w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie zasiądzie nowy autorytet. Nowy sternik, którego doświadczenie jako nawigatora osądzi naród w swoim czasie. Przepowiednie meteorologiczne, tak ważne w nawigacji na wzburzonych falach, mają tę właściwość, że na krótką metę należy przyjąć ciągle poprawki na niespodziewane waria-

cje lokalne, a na długą metę nie należy w ogóle na nich polegać. Nawigację ułatwia szybkie odszukanie gwiazdy przewodniej (polarnej), która ponad chmurami wprawdzie ale widoczna od czasu do czasu, przybliży nawigatora do obranego kursu wskazując mu miejsce, w którym się znajduje. A ponieważ jest prawie niezmienna w swojej pozycji, pozwala na odchylenie tylko wtedy kiedy schowa się znowu za chmury.

Gwiazda przewodnia to nie to samo co symbol. Gwiazda przewodnia uchwytna jest tylko przy pomocy sekstansu. Symbol jest żywy i widoczny dla wszystkich, którzy chcą go widzieć. Tu krótka lekcja historii może się częściowo przydać, bo biorąc choćby pod uwagę tylko ostatnie 200 lat, Polska żyła właśnie symbolami. Każdy bohater narodowy, każdy działacz na rzecz niepodległości, każdy walczący szablą, w kraju czy za granicą, był symbolem wolności i niepodległości. Polacy nosili i noszą te symbole w akcji zbrojnej i w akcji pokojowej. Wspominając historię najnowszą, symbolami byli Piłsudski, Dmowski, Paderewski, Sikorski, Bór-Komorowski, Raczyński, Anders. Przypominając ostatnie 50 lat, symbolem był i jest Wałęsa. Jest i zostanie symbolem słusznej walki. Jeśli przyjmiemy zasadę, że symbol to nie jest coś co można stworzyć sztucznie na zamówienie, musimy też przyjąć, że jeśli ktoś jest uznany za symbol pewnej rzeczywistości, musi on żyć wśród nas, właśnie jako symbol, bez względu na jego dzisiejszą pozycję. W Polsce nastąpiła zmiana sternika na zasadzie powszechnego wyboru. Ale nie znaczy to, że znikł symbol tego co umożliwiło taki powszechny wybór.

Tak się złożyło, że w zimie 1992 roku spotkał mnie zaszczyt prywatnej rozmowy z Prezydentem Lechem Wałęsą w Belwederze. Był to okres dla niego bardzo trudny. Było wtedy głośno w całej Polsce na temat sprawy tzw. „teczek”. Wałęsę atakowano ze wszystkich stron. Chodziły szeroko rozdmuchiwane pogłoski o „teczce” samego prezydenta. Była tego pełna prasa. Prezydent mówił o tym jak nauczył się poznawać swoje błędy nie z reakcji prasy, ale z reakcji coraz mniej już wtedy licznych mężów zaufania. Nie wiedział dokładnie co może być w tzw. „teczce”, ale zdawał sobie sprawę z tego, że idąc po wyboistej drodze, którą wybrał razem z oryginalną „Solidarnością”, musiał wyboje na niej albo wymijać, albo stawiać im czoła. „...„Jak zwykle w życiu” - mówił - „czasem się wygrywa, a czasem przegrywa”... Można dodać: gdzie są te grzechy, których nikt nie popełnia?

Po powrocie do Londynu zdałem sprawozdanie z tej rozmowy

Prezydentowi Edwardowi Raczyńskiemu, który jak powszechnie wiadomo, popierał aktywnie Wałęsę od samego początku. Prezydent Raczyński, może lepiej niż ktokolwiek, i to na odległość, rozumiał nie tylko istotę ataków na Wałęsę, ale wyczuwał też trudności tego pierwszego po wojnie polskiego prezydenta, uważając że Wałęsa ma siłę wynikającą z instynktu raczej niż z doświadczenia. A tą siłą był język i odruchy nie polityka a wewnętrznego przekonania i potrzeby. Pytaniem, które Edward Raczyński często powtarzał było „...Czy tej siły mu starczy żeby odparować wrogów... tych, których liczba będzie rosła z roku na rok”... Raczyński przewidywał zmagania polityczno-partyjne w Polsce, znał i rozumiał ich genezę. Widział też piętrzące się problemy na których rozwiązanie Polska będzie musiała długo czekać. Jak wskazują wypadki Raczyński miał na pewno rację. Dziś po zmianie sternika może trzeba się zapytać czy Polska rozróżni symbol od codzienności?

„Tydzień Polski”, Londyn, 9 grudnia, 1995.

UMIARKOWANIE

W encyklopedycznej i często wzruszającej opowieści Lidii Ciolkoszowej („Spojrzenie wstecz”, przygotowanej do druku z taśmy rozmów z Andrzejem Friszke, w kolekcji „Świadkowie XX wieku”, Éditions du Dialogue, Paryż 1995), omówionej w „T.P.” 15.07.1995, znaleźć można wiele wypowiedzi świetnie odpowiadających naszym aktualiom dzisiejszym. Są to wypowiedzi dyktowane głębokim doświadczeniem całego życia, szlachetną miłością ojczyzny, rozumnym do niej przywiązaniem i nade wszystko poczuciem odpowiedzialności. Odpowiedzialności za słowo, według którego, jeśli dobrze pójdzie, działać mogą w niedalekiej przyszłości nowe pokolenia młodych polityków i działaczy społecznych. Nie wiemy dzisiaj czy w Polsce zajdą jakieś głębokie zmiany ustrojowe, ale wiemy, że zmieni się pokolenie, które będzie Polską rządzić. Bo dziś w Polsce rządzi młodzi przez duże „M”.

Andrzej Friszke: *Niektórzy dziś twierdzą, że na lewicę w postkomunistycznej Polsce w ogóle nie ma miejsca, że trzeba wykorzenić lewicowe myślenie.*

Lidia Ciolkoszowa: *Jeśli tak mówią, to nie są demokratami, ale totalistami.*

Andrzej Friszke: *Słyszysz się, że trzeba dążyć do pełnej prywatyzacji wszystkich dziedzin życia gospodarczego.*

Lidia Ciolkoszowa: *Uważam, że skrajna prywatyzacja jest tak samo szkodliwa jak skrajna etatyzacja. Jesteśmy zwolennikami własności prywatnej, samorządnej, spółdzielczej, ale uważamy także utrzymanie interwencji państwa w niektórych dziedzinach za potrzebne... Dawny kanon socjalizmu - pełne upaństwowienie, czy potem pełne uspołecznienie - okazał się niesłuszny. Ale niesłuszny jest też dogmat, że wszystko należy sprywatyzować. Powinniśmy zmierzać do gospodarki mieszanej. Na pytanie co jest ważniejsze, kryterium racjonalności gospodarczej czy sprawiedliwości społecznej, daje ona odpowiedź: Racjonalna gospodarka musi się liczyć ze względami sprawiedliwości społecznej, inaczej kraj i życie gospodarcze narażone jest na rewolucyjne wstrząsy.*

Znamy dobrze argument wstrząsów, ale mamy jak dotąd niewiele doświadczeń w umiarkowaniu. Umiarkowanie zapewnić może albo zrozumienie równowagi pomiędzy prawem a naturą ludzką, albo zdecydowane dążenie do stabilizacji, która będzie w stanie wyeliminować nie poparte większością walki partyjne. Jesteśmy za Zachodem, więc trzymajmy się ile się da, zachodniego systemu parlamentarnej demokracji, ale dajmy poprawkę na specyficzne warunki naszego położenia. Jedną z ważniejszych poprawek wydaje się liczba partii politycznych. Inną jest zrozumienie podziału politycznego na prawicę i lewicę. Trudnością na drodze do zrozumienia tego podziału jest to, że zarówno prawica jak lewica mają w sobie dalsze partie polityczne, a nawet załączki pomniejszych grup i grupki. Każda z programem ale z małą poczytnością. Mają one pomiędzy sobą przeważnie niewielkie odchylenia ideologiczne, ale zamiast nich wielkie różnice personalne. Tu poprawka będzie o tyle trudniejsza, że mamy do czynienia z ambicjami indywidualnymi.

Wracając do Zachodu, na którym tak bardzo chcemy wzorować naszą przyszłość polityczną i z którym tak bardzo chcemy się związać po wszystkie czasy, warto się przyjrzeć podziałowi na prawicę i lewicę na przykład we Francji, czy w Wielkiej Brytanii, czy w innych krajach Wspólnoty Europejskiej. We Francji podział jest jeszcze stosunkowo ostry, ale można śmiało powiedzieć, że podkładem konfliktu nie jest ani polityka zagraniczna, ani w gruncie rzeczy ekonomia, ale polityka

socjalna. Podział jest w tej chwili ostrzejszy ze względu na dość radykalną zmianę prezydenta i rządu. Niemniej Francja zawsze miała tendencję do cichych kompromisów zakulisowych, w rezultacie których intelektualiści z obu wojujących obozów w końcu załatwiają sprawę pragmatycznie: nikt nie zyska ani nikt nie traci całości zajmowanej pozycji. Za każdym razem, za każdym konfliktem, na polu bitwy zostaje pewna część różnicy pomiędzy prawicą i lewicą. Pragmatyzm, potrzeba chwili decyduje, bo jak przyjdzie co do czego, różnice pomiędzy nimi są właściwie minimalne. W Wielkiej Brytanii różnica pomiędzy konserwatyzmem a partią pracy zmniejsza się z dnia na dzień, bo po stracie imperium i po stracie, lada chwila, Hong Kong'u, przedmiotem najistotniejszych różnic jest stabilizacja ekonomiczna, która z roku na rok wymaga coraz więcej rozwiązań bliskich obu ideologiom. Problemy są ciągle te same i tak samo palące. Jest więc coraz mniej miejsca i czasu na doktrynalne rozbieżności - pod warunkiem, że cel jest jeden i ten sam. Zasady zmienić nie można. Pragmatyzm i tu rządzi niepodzielnie. A zasadą jest - tak jak zawsze - połączenie racjonalnej gospodarki ze sprawiedliwością społeczną. Nasza cywilizacja żąda suwerenności narodów, a po jej uzyskaniu, umiarkowania w regulacji ich trybu życia.

„Tydzień Polski”, Londyn, 30 grudnia, 1995.

BIOGRAFICZNE DYGRESJE

Przeżycie choćby paru chwil w bliskości z osobą bardzo specjalną pamięta się całe życie. Jeśli się to zdarzy, co samo w sobie jest zaszczytem, człowiek tak obdarzony zwykle ocenia znaczenie tego faktu dużo później. Może dopiero po odejściu tej osoby. Osobą specjalną w tym wypadku jest Edward Raczyński. Żył on polską rzeczywistością, był nią przejęty bez reszty, a była to rzeczywistość przeżyta w każdym jej codziennym objawie. Czasem dobra, czasem mniej dobra, ale zawsze ważna. Często widział tę rzeczywistość jakby „na wyrost”, obrazując wprzód, nie w daleką przyszłość, ale w tą za najbliższym zakrętem historii. To co wydawało mu się, że może nastąpić na zakrętach dalszych wydarzeń, nazywał planowaniem. Co do historii przeszłej, miał dla niej respekt taki jaki może mieć czło-

wiek, który uczestniczył w jej kontynuacji. W formalnych biografiiach piętrzą się fakty, uformowane w chronologicznych kolumnach, w których gubią się drobne na pozór dygresje. A to właśnie te dygresje, szczegóły i skojarzenia, fragmenty rozmów i spotkań, dodają smaku biografii. Przybliżają człowieka w bardziej naturalny sposób ujawniając jego nieformalną stronę. Ukazują poczucie humoru i reakcje na codzienne zdarzenia. Tak skromny człowiek jak Edward Raczyński kiedy mówił o sobie, nie lubił tracić czasu na sprawy, które uważał za błahe. W czasie rozmów z nim byłem słuchaczem jego wspomnień do przygotowywanej książki o nim. Lubił przerywać to co można nazwać oficjalnym tekstem by od czasu do czasu wtrącić dygresje związane z tematem, o którym właśnie mówił albo od niego oderwane. Jednym zdaniem załatwiał meritum sprawy, a jeśli dodawał szczegóły nie do druku, zwykł mawiać „to na marginesie!” Dygresje czasem dotyczyły osób, czasem zdarzeń czy spotkań, czasem własnych myśli o sobie czy o przeczytanych i przez lata zapamiętanych książkach. Często cytował fragmenty ulubionej poezji polskiej, francuskiej czy niemieckiej. Od czasu do czasu doszła jakaś anegdota, jeśli o znanych osobach z lat dawnych, mogła być pikantna choć nigdy ryzykowna, jeśli o osobach żyjących, tylko taka, która by nie mogła tej osobie wyrządzić najmniejszej krzywdy. Dygresji razem zebranych starczyłoby na parę tomów.

Raczyński rozpoczął służbę dyplomatyczną jako jeden z dwóch urzędników poselstwa w Kopenhadze, w październiku 1919 r. Była to dobra placówka do obserwacji działalności sowieckiej, bo Kopenhaga była wówczas miejscem spotkań międzynarodowych. Po przypadkowym zwiedzeniu przez Raczyńskiego nowoutworzonej stacji „telegrafu bez drutu”, urzędnik duński, który go oprowadzał, zgłosił się po paru dniach do niego z „rewizytą” w poselstwie polskim, ofiarowując gotowość dostarczenia wszystkich tekstów telegramów szyfrowanych wysyłanych przez placówkę sowiecką. Ocena rzetelności tej oferty była dość delikatna. Z drugiej strony informacje te musieli też mieć Duńczycy i pewnie inne placówki dyplomatyczne. W dwa lata po rewolucji rosyjskiej wszystkie informacje, nawet wątpliwe, mogły się przydać. Była tylko kwestia właściwego ich odczytania. W ten sposób trzyosobowe poselstwo (poseł Aleksander Dzieduszycki) i dwóch urzędników, urosło do rangi ważnego podsłuchu dyplomatyczno-wojskowego. Warszawa z początku sceptycznie przyjmowała informacje ale kiedy podsłuch poinformował centralę o kontaktach Maxima

Litwinowa z dyplomacją brytyjską, w czasie wizyty sowieckiego ministra spraw zagranicznych w Danii, centrala zmieniła zdanie. Litwinow między innymi starał się wydostać od Anglików przyrzeczenie, że nie będą reagować na sowieckie plany w „unormowaniu” ich wschodnich granic. Budżet państwa polskiego był wtedy (i długo potem) w permanentnym kryzysie. Niektóre placówki dyplomatyczne były zagrożone. Centrala miała do wyboru zamknąć albo placówkę w Kopenhadze albo w Sztokholmie. Kopenhaga była bardziej zagrożona bo centrala uważała Szwecję za kraj ważniejszy. Obie one rywalizowały ze sobą i każda chciała udowodnić, że jest potrzebniejsza. Sztokholm miał przewagę też dlatego, że kraj bogaty i Szwecja zaopatrywała w broń i amunicję tak wtedy potrzebną niemal wszystkim zainteresowanym. Dzięki podsłuchowi zorganizowanemu przez najmłodszego członka placówki, Raczyńskiego, ostała się Kopenhaga i... ostał się Sztokholm.

Z czasem, już po zakończeniu „oficjalnej” części biografii, słuchałem dalej chcąc się jak najwięcej nauczyć. Słuchając, nauczyłem się tego co znaczy biograficzna dyskrecja, czasem równa skromności. Jest ona jednym z zasadniczych talentów potrzebnych w sprawowaniu funkcji dyplomatycznych, jest też ważnym elementem milczenia, bo jak wiadomo, nie mówić nic niekiedy znaczy bardzo wiele. W biografii Raczyńskiego dyskrecja grała dużą rolę. Nie tylko w stosunkach z cudzoziemcami. W maju 1922 r. Raczyński znalazł się w Londynie jako urzędnik polskiego poselstwa. Szefem jego, posłem R. P. był Konstanty Skirmunt, doświadczony i tradycyjny dyplomata starej daty (późniejszy pierwszy ambasador R. P. w Londynie), który pisywał kwieciste i sumiennie dokładne raporty do Warszawy. Z drugiej strony, w życiu prywatnym był samotnikiem, nie był żonaty, unikał życia towarzyskiego i miał niewielu bliskich sobie ludzi, poza jednym najbliższym przyjacielem. Wykazywał jednak świetne zrozumienie swojej misji i był dobrym instruktorem mimo że rozmowa z nim była trudna. Uczyć się trzeba było obserwując go i czytając jego długie memoriały. Pewnego dnia szef wyjechał. W czasie jego nieobecności okazało się, że gen. Władysław Sikorski, ówczesny minister spraw wojskowych, znajduje się w drodze do Londynu. Raczyński, w braku starszych kolegów, którzy też się ulotnili, pełnił funkcje chargé d'affaires ale nie wiedział czy wyjazd szefa był „dyplomatyczny”, zdrowotny czy służbowy. Wiedział natomiast, że generał będzie spodziewał się odpowiedniego protokołu i należytego przyjęcia.

Pomimo odpowiednich przeprosin z tytułu licznych nieobecności „służbowych”, nielaskawym okiem patrzył generał na młodego adepta sztuki dyplomatycznej i brak spodziewanego „czerwonego dywanu”. Dał niedwuznacznie wyraz swemu niezadowoleniu. Raczyński wstrzymał oddech i słuchał w milczeniu i zakłopotaniu. Generał nie wiedział wtedy, że w niecałe 18 lat później tenże młody adept przedstawiać go będzie Królowi Jerzemu VI, premierowi Churchillowi i innym brytyjskim dygnitarzom jako ambasador R. P. w Londynie. Obaj przy wielu okazjach stali wtedy na czerwonym dywanie. Pamiętniki milczą o szczegółach tej pierwszej historycznej wizyty generała w Londynie tak jak milczą archiwa ambasady. Generał wyjechał, szef wrócił, adept został. W poselstwie polskim w Londynie poza Skirmuntem byli sami młodzi urzędnicy. Dali oni temu ochoczy wyraz kiedy brytyjska mennica państwowa dostarczyła do poselstwa zamówione przez Bank Polski w Warszawie sztaby złota. Było tego parę ciężkich paczek. Franciszek Bauer-Czarnomski, radca prasowy, i Raczyński żartując na temat wagi tego złota postanowili zbadać swoje siły. Czarnomski rzucił wyzwanie, że zanieś całe złoto na plecach z Londynu do Brighton i z powrotem. Raczyński nie odrzucił wyzwania ale zmienił je na „inner circle” w Regent's Parku. Nastąpił zakład do którego się dołączył szofer Anglik i jeden z urzędników kancelarii. Raczyński znalazł gdzieś na bliskiej budowie szaflik murarski, na którym położył paczki, po czym założył sobie szaflik na plecy i zgięty w pół ruszył przed siebie. Jak wspomniał, dopóki było w dół, wszystko szło dobrze, ale pod górę było gorzej. Ku ucieście Czarnomskiego i innych świadków, zakład przegrał. Czarnomski, w dalszym ciągu radca prasowy, który witał go jako ambasadora w roku 1934, o zakładzie nie zapomniał. Bezpośrednim następcą Skirmunta w listopadzie 1934 był Edward Raczyński.

Genewa, 1934. Ostatni rok Edwarda Raczyńskiego na stanowisku stałego delegata Polski do Ligi Narodów (1932-1934). W programie obrad były różne ważne sprawy, między innymi członkostwo Rady Ligi, traktat o mniejszościach narodowych i wreszcie sprawa bezpieczeństwa narodów: chodziło o prawne określenie napastnika w sporach międzynarodowych. Raczyński przysyłał do centrali w Warszawie różne projekty i raporty. Ówczesny minister spraw zagranicznych Józef Beck przyjmował je do wiadomości, ale nie reagował. Delegat Polski odnosił wrażenie, że centrala nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do prac Ligi. Dopiero w roku 1934, kiedy Japonia i hitlerowskie Niemcy

zrezygnowały z członkostwa Ligi, minister Beck przyjechał do Genewy na zgromadzenie Rady. Zaprosił wtedy Raczyńskiego na przejażdżkę po jeziorze genewskim. Rezultatem tej przejażdżki była nominacja do Londynu. Raczyński uważał ją jako boczny tor i zasugerował Beckowi połączenie funkcji ambasadora w Londynie z przedstawicielstwem w Lidze Narodów. Uważał wtedy prace Ligi za istotne dla interesów Polski. Beck odmówił, ale była to rozmowa ściśle prywatna, zanotowana tylko na marginesie w dzienniku Raczyńskiego.

Druga rozmowa ściśle prywatna z Beckiem, połączona z listem do ministra, miała miejsce w Cannes w styczniu 1938 r. Beck w sposób raczej prowizoryczny, jakby spekulując na przyszłość, zdecydował że chciałby mieć poza Janem Szembekiem drugiego viceministra spraw zagranicznych: Raczyńskiego. Jak się potem okazało Beck miał nadzieję objęcia stanowiska premiera, ale chciał zatrzymać tekę ministra spraw zagranicznych. Raczyński w liście do Becka odpowiedział, że oczekiwalby w takim wypadku, że będzie podlegał bezpośrednio ministrowi i nie będzie podporządkowany nikomu innemu. Dyskrecji stało się zadość. Sytuacja pozostała bez zmian aż do wojny. Ani Beck nie został premierem, ani Raczyński nie wyjechał z Londynu. Jakaś opatrność gdzieś tym ostatnim przeznaczeniem kierowała. Nawiasem mówiąc, Raczyński już wtedy wiedział, że w związku ze zbliżającym się końcem kadencji prezydentury Ignacego Mościckiego (1940), w Warszawie mówiono wiele o następcach. Józef Beck liczył na poważne poparcie jego kandydatury w środowisku rządzącym. Potwierdziła ten stan rzeczy wiele lat później w Londynie wdowa po ministrze, Jadwiga Beckowa, w rozmowie prywatnej ze mną. Dodała nawet, że kandydatura Becka była już postanowiona. Można się było więc spodziewać, że zostanie prezydentem.

Wkrótce po śmierci Prezydenta Edwarda Raczyńskiego, miałem okazję dłuższej rozmowy z długoletnim szefem Kancelarii Cywilnej na londyńskim „Zamku”, ministrem Bogdanem Wendorffem. W roku 1986 kończyła się kadencja Raczyńskiego, który w roku 1979 mianował swoim następcą premiera Kazimierza Sabbata. Wendorff zwrócił uwagę na to, że Prezydent Raczyński prowadził długie wieczorne rozmowy przy drzwiach szczelnie zamkniętych ze swoim przyszłym następcą. Był tym zaintrygowany bo żaden poprzedni prezydent nie miał tego zwyczaju. Któregoś dnia jego litewska ciekawość wzięła górę. Zapytał Raczyńskiego wprost „O czym panowie tak długo wieczorami rozmawiają?”. Prezydent, ze zwykłą sobie kurtuazją

odpowiedział: „Ten urząd, do którego przygotowuje się pan Sabbat, łączy w sobie wiele różnych nici. Tymi niemi trzeba kierować. On będzie trzymał w ręku ich kłębek, który mu niedługo przekaże. Chcę mu ułatwić to zadanie i także przekazać mu to czego sam się nauczyłem”... Taki to był człowiek.

„Dziennik Polski”, („Środa Literacka”) Londyn, 21 lutego, 1996.

KOMENTARZ NA WYROST

Choć sprawa powinna była być jasna od początku i można się było spodziewać natychmiastowej dymisji premiera, Józef Oleksy odegrał niemal dramatycznie zejście ze sceny. Wydawać by się mogło, że poszlaki typu tych jakie zarzucano premierowi wymagają natychmiastowego zawieszenia w funkcjach aż do wyjaśnienia sprawy przez odpowiednie instancje. Rzecz prosta, nie przesądzając rezultatu procesu dochodzeń. Dramat zejścia ze sceny był też pewnie dramatem osobistym premiera, ale nie o to chodzi. Premier reprezentuje państwo zarówno w kraju jak i za granicą. Reprezentuje zaufanie pewnej liczby współobywateli i jest odpowiedzialny za wszystko co się w państwie dzieje. Każda godzina opóźnienia jego rezygnacji podważała reprezentację i podważała zaufanie. A co może jeszcze ważniejsze, poddawała w wątpliwość bezpieczeństwo państwa. Dochodzenia mogą utknąć na braku dowodów. Jeśli dowody będą, wyrok sądu może orzec o niewinności. Ale może też skazać. Bez względu na wynik dochodzeń czy procesu sądowego, Polska w swoim rozwoju jako suwerennego państwa, cofnęła się o duży krok do tyłu. Oczywiście można nie przywiązywać wielkiej wagi do tego epizodu. Ale nie należy go ignorować.

Mamy ten smutny epizod za sobą. Ale co jest przed nami. Polska ma nowego premiera w osobie Włodzimierza Cimoszewicza. Jest on reprezentantem najliczniejszej grupy politycznej w postaci koalicji PSL i SLD i SdRP. W momencie kiedy kandydatura jego wysunięta została przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, nowo desygnowany premier zapewnił, że rząd który będzie się starał stworzyć będzie, tak jak poprzedni, rządem koalicyjnym kontynuującym politykę poprzedniej administracji. Zapytano go wtedy czy przewiduje

włączyć do swego rządu przedstawicieli opozycji. Odpowiedział, że „jest to mu bliski sposób myślenia”. Cimoszewicz ma 45 lat, miał więc lat 39 kiedy „Solidarność” stworzyła Polsce nową przyszłość. W czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim wstąpił do PZPR. Był też stypendystą Fullbrighta na Uniwersytecie Columbia w Nowym Yorku. Wszedł w życie zawodowe jako rolnik i wrócił do polityki w roku 1989 kiedy stanął do wyborów do Sejmu. Posłował z ramienia rządzącej wówczas koalicji. Stał na czele Poselskiego Klubu Lewicy Demokratycznej. Był kandydatem na prezydenta w roku 1990 i zdobył 9 głosów. W roku 1993 został przewodniczącym Klubu Parlamentarnego SLD. W rządzie premiera Waldemara Pawłaka był wicepremierem i ministrem sprawiedliwości. Nie był członkiem rządu premiera Oleksego. Co ciekawe, jako jedyny aktywny członek SLD przestrzegał przed wyborem Kwaśniewskiego, uważając że jego wybór przyczyni się do powstania radykalnych podziałów w społeczeństwie. Gdy SLD podjęło inną decyzję, wszedł do jego sztabu wyborczego.

Na zasadach czysto demokratycznych, prezydent i rządząca koalicja parlamentarna wybrani zostali większością głosów osób uprawnionych do głosowania, a więc wybór ten należy przyjąć, ufając że te same zasady demokratyczne będą brane poważnie zarówno przez obóz rządzący jak i przez opozycję. Znaczy to, ni mniej ni więcej, tylko że głos opozycji nigdzie ani na żadnym kroku nie będzie zagłuszany. Na zasadzie tych samych pryncypiów demokracji, opozycja wymaga od rządu prawa głosu w zamian za co winna jest rządowi posłuch tam gdzie w grę wchodzi nadrzędne interesy państwa. Partii rządzącej jak i opozycji należy się respekt bo te same zasady demokratyczne i konstytucja mówią, że chodzi o wspólne dobro wszystkich obywateli. A ponieważ cały świat przechodzi coraz bardziej dramatyczne zmiany ustrojowe i zacieśniające się koalicje i układy państw (często przeciwko innym podobnym zgrupowaniom i równie często na zasadach ekonomicznych raczej niż politycznych), nigdy nie wiadomo czy i kiedy dzisiejsza partia rządząca czy dzisiejsza opozycja nie znajdzie w sobie łączącej ich wzajemnie solidarności wobec ogromu koniecznych do powzięcia decyzji. To skłaniać nas powinno, w kraju i na emigracji, do przyłożenia mikroskopu do istniejących w Polsce partii politycznych. Nie należy już dziś żartować na temat ich ciągle zwiększającej się liczby. Sprawa jest poważna. Po niemal sześciu latach suwerenności, mikroskop musi chyba dostrzec łączące niektóre z nich naczynia krwionośne, a rachunek sumienia wskaże

gdzie ambicje osobiste powinny zniknąć wobec braku właściwych rozwiązań w niezwykle dzisiaj powikłanych problemach. Podejrzewam, że dobrze by zrobiła wszystkim identyfikacja trzech głównych członków administracji państwowej i ich wzajemnych stosunków: obu izb parlamentu, rządu i stałej służby urzędników państwowych („civil service”), aparatu nie związanego z żadną partią polityczną. A co za tym idzie wyraźna identyfikacja praw i obowiązków biura prezydenta, czyli do jakiego stopnia w teorii i praktyce biuro to ma wpływ na rząd, którego najwyższą instancją musi pozostać parlament. Autorytet prezydenta musi ucierpieć kiedy dystans między nim a rządem nie jest widoczny jak na dłoni.

Idąc po tej linii, przed Polską stoją dalsze nierozwiązane zagadnienia krajowe i zagraniczne. Do krajowych zaliczyć należy prawodawstwo dotyczące uznania własności prywatnej i zwrotu lub odszkodowań za własność prywatną nielegalnie upaństwowioną przez poprzednie rządy w Polsce po wojnie, jak także prywatyzację ogólną, ustawę rolną, reformę świadczeń socjalnych, obniżkę bezrobocia... Nie pomijając tzw. „teczek”, archiwalnych i innych i akt dawnych... Do zagranicznych zaliczyć można konkordat, wszelkie układy militarne (obronne i zaczepne), traktaty handlowe, celne i inwestycyjne. Polacy, mieszkańcy krajów zagranicznych mają tendencję patrzeć na sprawy krajowe okiem zagranicy. Jest to zrozumiałe ale wymaga też pozostawienia rozwiązań krajowych administracji polskiej. Patrząc na panoramę polską z Londynu, czujemy często na własnej skórze albo niesprawiedliwe albo przeciwnie, pozytywne oceny zachodnich polityków i dziennikarzy. Co nas interesuje i na co jesteśmy specjalnie wrażliwi to jak często i jak wiele pisze o nas zachodnia prasa. Najbardziej rzetelnym korespondentem z Polski jest Krzysztof Bobiński z londyńskiego „Financial Times”, który praktycznie i dokładnie ocenia gospodarkę polską. Jego artykuły pojawiają się względnie często. Londyńskie „The Times”, „The Daily Telegraph” i „The Independent” budzą się ze snu mniej często, bardziej sensacyjnie, czasem z pewną dozą ironii (jak w czasie ostatnich wyborów prezydenckich). Głównym motywem wzmianek są wypowiedzi polskich premierów czy ministrów, przeważnie wygłaszanych w czasie wizyt zagranicznych, dotyczących członkostwa Polski w NATO i w Unii Europejskiej. Wypowiedzi te jak dotąd dochodzą do słuchaczy zachodnich w formie dążeń, aspiracji a może nawet głębokich pragnień. Są one dobrze ugruntowane w polskiej racji stanu i w pol-

skiej polityce zagranicznej, ale czy słuchacze ich, a przede wszystkim, ich prezydium, odbierają je w ten sposób? Czytam w tygodniku „Wprost” (28 stycznia), że jeden z aktywnych polityków polskiej opozycji, Leszek Balcerowicz (Unia Wolności), powiedział: *Nie chodzi nam o obalenie rządu Józefa Oleksego dla samej tylko zmiany premiera, lecz o stworzenie rządu, który potrafiłby sprostać wyzwaniom powstałej sytuacji. Chodzi więc o stworzenie takiego układu rządzącego, który zdoła odbudować autorytet Polski za granicą - w tym roku zapadną rozstrzygnięcia w sprawie rozszerzenia NATO. Musi też dojść do podjęcia próby uzdrowienia polskiej polityki, o której społeczeństwo ma coraz gorszą opinię. Dlatego opowiadamy się m.in. za przyjęciem pakietu ustaw antykorupcyjnych i wprowadzeniem mechanizmu lustracji.* Balcerowicz powinien wiedzieć, że jego druga teza powinna o milę wyprzedzać pierwszą.

Myślę, że trzeba sobie wyraźnie powiedzieć - bez względu na wszelkie spekulacje i nadzieje - że Zachód, cały Zachód, żyje pod grozą Rosji. Nie tyle Jelcyna i rządu w Moskwie (dzięki dobrej sieci informacyjnej, jeśli jej można wierzyć) - ile właśnie całej Rosji jako nieokiełznanego gigantycznego monolitu, którego historię znamy aż za dobrze, ale przewidzieć jego stanu dziś czy wywróżyć jego przyszłości, nie możemy. A więc polskie dążenia czy aspiracje to nie tylko przynależność do zachodniego bloku, ale też - co o wiele ważniejsze - obronność Polski. Czy NATO jest rzeczywiście rozwiązaniem jedynym? Istnieje wśród Polaków, choć w ogromnej mniejszości, w kraju i za granicą, tymczasowa idea czegoś w rodzaju Środkowo-Europejskiej Federacji w ewentualnym oparciu o zachodnie układy polityczne i militarne. Wydaje się, że nie powinno się o takiej alternatywie na najbliższą przyszłość zapominać. Taki układ mógłby zaważyć na decyzjach NATO. Były próby koalicji polsko-czeskiej w czasie drugiej wojny światowej. Miały one być początkiem rozmów z innymi państwami geograficznie zblizonymi. Rozmowy polsko-czeskie prowadzili Edward Raczyński, wówczas ambasador R. P. w Londynie i czasowo kierownik polskiego ministerstwa spraw zagranicznych, i Edward Benesz, prezydent Czechosłowacji na obczyźnie. Skończyły się w roku 1945 kiedy Benesz powrócił do sowieckiej już Czechosłowacji. Co do Unii Europejskiej, nic nie wskazuje na to, żeby piętzące się przeszkody przestały się piętzyć. Niemniej, względy czysto gospodarcze, przemysłowe i inwestycyjne, przemawiają za zdobyciem jakiegokolwiek w niej statusu by brać udział w jej korzystnej dla nas

działalności na jej terenie i naszym.

Tak się składa, że prasa polska w kraju i za granicą poświęca więcej miejsca krajowym sprawom politycznym niż innym. Jest to zrozumiałe bo bez podstaw pozycji prawnie ustabilizowanej życie codzienne nabiera cech chaosu, a więc niepokoju. Mogą to być pozory ale może też taka być rzeczywistość. Łatwo wtedy zapomnieć o innych aspektach życia a zwłaszcza twórczości artystycznej. Polska mogłaby stać się łatwo poważnym ponad-politycznym (a nawet antypolitycznym), europejskim arsenałem sztuki i kulturalnego turystyki. Ma już poczytne miejsce w bogactwie zbiorów światowej kinematografii, w teatrze, muzyce, tańcu, malarstwie i może bardzo specjalnym talencie muzeologii i archiwaliów. W literaturze, obfitość nowych wydań w Polsce jest zadziwiająca, choć słychać o wydawcach mocujących się z brakiem finansów. Dotyczy to też muzeów i galerii sztuki, archiwów i bibliotek, a także fundacji składających się z wieloletnich kolekcji, często zbieranych z wielkim wysiłkiem przez polskich emigrantów wojennych za granicą. Urzędy państwowe wysokiego szczebla oznaczające się mianem ministerstw kultury są narzędziem w rękach zmieniających się polityków a nie osób dla których kultura jest chlebem powszednim. Może nowy rząd przyczyni się do powstania Polskiego Funduszu Kultury i Sztuki (apolitycznego), a do współpracy z nim bramy muzeów, bibliotek, galerii i archiwów Unii Europejskiej i poza nią będą otwarte na oścież. Może to mimo wszystko krótsza droga.

„Orzeł Biały”, Londyn, marzec, 1996.

ZIMNY POKÓJ

30 grudnia, w satyrycznym programie telewizyjnym ITV Rory Bremnera, pokazano skecz, w którym rosyjski generał odpowiadał na pytania brytyjskiego dziennikarza. Docelową treścią skeczu był okrzyk generała, że za czasów zimnej wojny obie strony żyły w pełnej świadomości, że sytuacja jest jasna. Każda strona wiedziała co jej grozi. Jedyną niewiadomą było kiedy. Dziś, kiedy zimna wojna się rzekomo skończyła, nikt nie wie co nas czeka. Sytuacja jest nie tyle skomplikowana ile zupełnie nie do przewidzenia, głównie dzięki temu

co wykazały wyniki wyborów w Rosji. Nie należy jeszcze może szukać analogii. Jest za wcześnie by wyciągać definitywne wnioski i na pewno za wcześnie by snuć horoskopy. Niemniej, trudno się opędzić wizji zimnego pokoju. Co jest groźniejsze?

Jak dotąd temperatura utrzymuje się w tych samych granicach co poprzednio. Informacje z Rosji w prasie brytyjskiej cechują typowe ironiczne uwagi na temat zarówno komunistów jak i narodowców. Nie ma się wrażenia żeby komentatorzy polityczni zwrócili uwagę, albo zbyt się przejęli popularnością jaką wyborcy obdarzyli jednych i drugich, nie przywiązując wielkiej wagi ani do jednych ani do drugich. Wydaje się, że nawet uważnie słuchając informacji przyjmują za dobrą monetę zapewnienia, że to już „inny komunizm” i to że nawet jego poważna grupa wyborców uważa Żyrynowskiego za błazna. Rzecz w tym, że informacje pochodzą głównie z radiowych i telewizyjnych ad hoc reportaży ulicznych zachodnich dziennikarzy. Relacje czy wywiady rosyjskich działaczy i polityków, po wieloletnich doświadczeniach powinny nam Polakom mówić inaczej: najgroźniejsze są w Rosji gwałtowne zmiany.

Na szachownicy zachodniej też dzieją się poważne choć nie gwałtowne zmiany. Chodzi o „zimny pokój” w dawnej federacji Jugosławii. Zjednoczone oddziały wojsk NATO starają się zabezpieczyć taki właśnie pokój w Bośni. Tym samym oddziały te weszły do Europy centralnej na zasadzie porozumienia pomiędzy władzami podzielonej dawnej federacji i państw zgrupowanych w NATO. W tymże porozumieniu brali też udział przedstawiciele wszystkich państw zjednoczonych w Unii Europejskiej. Wydaje się, że rola NATO w Bośni nie ogranicza się do roli policjanta pilnującego porządku w rozbrojeniu walczących frakcji. Rola NATO jest też polityczna, bo siłą rzeczy stwarza na miejscu polityczną rację swego bytu. Tak czy inaczej, walczące frakcje wyraziły (niektóre pod przymusem) zgodę na ten stan rzeczy. Można więc też uznać, że pośrednio rola NATO w tej części Europy jest obronna. Tu debata na temat polskiego członkostwa NATO nabiera specjalnego znaczenia. Jak wiadomo w dniu 10 grudnia 1995 r. odbyło się w POSK'u, zorganizowane przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, spotkanie dyskusyjne na temat „Czy Polska powinna wstąpić do NATO?” Prelegentami byli Radek Sikorski, były viceminister obrony narodowej w rządzie J. Olszewskiego oraz pisarz Romuald Wernik. Obaj prelegenci słusznie uważali, że najidealniejszym rozwiązaniem dla Polski byłoby członkostwo NATO.

Wernik uważał, że to dla Polski jedyne wyjście. Chyba po raz pierwszy polski publicysta młodego pokolenia, Radek Sikorski, żyjący częściowo w Polsce i częściowo na Zachodzie, wyraził poważną wątpliwość czy państwom zachodnim zjednoczonym w NATO rzeczywiście zależy na przyłączeniu Polski i innych państw byłego bloku sowieckiego do tej tak wybitnie militarnej, choć głównie obronnej organizacji (Był już na tym miejscu bardzo zbliżony głos, ale pochodził od członka wojennej emigracji politycznej). Nie ma żadnych śladów tego by realnie i konkretnie którekolwiek z państw zrzeszonych w NATO proponowało Polsce zbliżenie militarne. Jak dotąd było na ten temat wiele wypowiedzianych słów i wiele napisanych artykułów, ale nic więcej. Wątpliwości są więc uzasadnione. Sikorski słusznie uważa, że Polska musi szukać - i znaleźć - inne rozwiązania bezpieczeństwa. Nie wchodząc tu w jego sugestie co do obronnego przygotowania czy do braku w polskich siłach zbrojnych, bo jest to pochodna rozwiązań politycznych, wewnętrznych i zewnętrznych, narzuca się - też na tym miejscu parokrotnie wspomniana - sugestia obozu środkowo-europejskiego: Czechy, Słowacja, Węgry, Rumunia i Polska. (Czechosłowacja, patrz: Edward Raczyński: „W sojusznicy Londynie. Dziennik Ambasadora 1939-1945”; s. 427 etc.). Jest to jedno z możliwych rozwiązań.

Musimy przyjąć, że Zachód nie chce wojny, ale dąży do tego żeby być w stanie odeprzeć każdy zbrojny atak. Co do Rosji, wiemy niewiele i musimy przyjąć, że trudno jest przewidzieć w jakim kierunku pójdzie nowy komunizm jeśli dojdzie do władzy. Rosyjska katastrofa ekonomiczna też nie jest żadnym wskaźnikiem. Głodne Sowiety odbiły pancerny atak Niemców. Czy nie należy więc przyjąć, że zimny pokój będzie z nami jeszcze jakiś czas i dzięki temu na szachownicy Europy pozycje wobec niepewnej przyszłości zostaną bez zmian. Więcej: zostaną umocnione. W takiej sytuacji wątpliwe jest czy NATO w swoim konserwatywnym mundurze zdecyduje się na nowych rekrutów. A zimny pokój może okazać się bezpieczniejszy niż zimna wojna.

„Orzeł Biały”, Londyn, kwiecień, 1996.

LIST DO JANKA KOTTA

Drogi starszy kolego z mickiewiczowskiej „budy”*, kiedy 17 stycznia w tym nowym roku 1996 ukazała się „Środa Literacka” z Twoim ślicznym felietonem, a raczej poemacikiem od serca, w którym oddajesz swoje uczucia przywiązania do Twoich wnuczek, („Lidia i Julia”), wzruszyłem się prawie do łez. Napisałeś to z prostotą i z głębokim uczuciem łączącym w jeden łańcuch trzy pokolenia z tego samego ziarna. No i że narodziny i śmierć spotykają się w nas samych, w postaci naszych dzieci i wnuków. Bo my przecież też kiedyś byliśmy wnukami nieżyjących już naszych dziadków. A zbiegiem czasu spotykają się znowu trzy pokolenia wśród nowych dzieci i wnuków, więc śmierci nie ma się co tak bać. Ziarna zostają. Zauważyłem, że pisałeś to w Santa Monica 14 października 1995 roku. Nie wierzę w telepatię, ale chyba niemal w tych samych dniach czy tygodniach zacząłem pisać rzecz o moich własnych wnukach. Myśleliśmy pewnie o tym samym w tym samym czasie. Ale moje wzruszenie było podwójne. Z dawnych lat miałem Ciebie w pamięci jako intelektualnego cynika (choć o niepokromionej energii) z „Lasu Młodych”. Pewnie nie pamiętasz, ale wrażenie to wznowiło się kiedy na krótko spotkałiśmy się w redakcji „Wiadomości” na Rosary Gardens w Londynie w roku 1946 albo 1947. „Lidia i Julia” wskazuje na to, że może wcale nie byłeś cynikiem, a byłeś „otwarty na świat” w poszukiwaniu nowych wrażeń i emocji. Pamiętam też, z czasów dawniejszych, szkolnych, jak nasz dyrektor, poeta legionowy i świetny polonista, dr Michał Dadlez, wyrokował Ci wielką literacką przyszłość i stawiał nam, młodszym, Ciebie jako wzór wszystkiego tego czego poeta i polonista spodziewać się powinien po swoim najlepszym uczniu, który niemalże mógł być jego wnukiem.

Wnuk czy wnuczka to takie stworzenie, które dla babci i dla dziadka zawsze będzie dzieckiem. Syn czy córka są dziećmi krótko, wcześniej dojrzewają i kiedy już dorosną i nawet wyjdą z domu, proces ten nie zmienia ich pozycji dzieci w oczach rodziców. Rosną niemal razem. Dorosłość i samodzielność stawia ich na równi z współczesnością rodziców. Z wnukami jest inaczej. Dorastają przeważnie nie na oczach dziadków i babek ale osobno. Zwykle nie dorastają pod tym samym dachem. Ich bezpośrednim autorytetem są ich rodzice. Dystans

* Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

pokolenia sprawia, że pamięć rodziców o dorosłych dzieciach przenosi się na terażniejszość wnuków. A kiedy dorosną, ich współczesność oddali się o podwójną liczbę minionych lat. Pewnie dlatego w swoim felietonie napisałeś: [...] *Weszła w nasze życie (...wnuczka...)*. *Obie weszły: Lidia i Julia, Lidusia i Julcia. Obie będą żyły, kiedy umrę. I to jest wiara w życie poza grobem niewierzących.*

Pozwolisz, że zrobię małą dygresję żeby Ci wyjaśnić drugi powód tego listu. Jest nim zwykła obawa ludzi mieszkających z takich czy innych powodów większość swego życia zagranicą, jak to będzie z polskością naszych dzieci i wnuków. Trapi mnie ten problem od dawna. Napisałem w swoim czasie list do moich synów (drukowany w „Środzie Literackiej” z 20 lipca 1994), w którym starałem się pocieszyć siebie i innych, że w końcu wszystko będzie dobrze: że tak czy inaczej wrócą do tego ziarna, bo takie jest dane nam wszystkim przeznaczenie. Pisząc to wtedy miałem jednak poważne wątpliwości bo nie widziałem w tym rozumowaniu - dość luźnym w każdym razie - żadnej praktycznej idei, może kotwicy. Żadnego konkretnego argumentu. Ani żadnego przekonywującego powiązania. Szukałem tego argumentu i tej wiążącej na dobre kotwicy długo. Aż do momentu kiedy ukazał się Twój felieton. Po przeczytaniu go złapałem się za głowę: był w nim rzeczowy i prawdziwy argument jak na dłoni. Nie zdola go odeprzeć żadna ani polityczna, ani literacka polemika. Przypuszczam, że obie Twoje wnuczki (a może będą też wnuki?) i może ich polskie rówieśniczki czy ich rówieśnicy, i wnuczki następne, uczyć się będą czytać i „rozbierać” Szekspira. Będą też może przybierać różne role jego dramatów w przedstawieniach szkolnych, a może potem teatralnych. Wystarczy, że kiedy po raz pierwszy zetkną się z jego imieniem i nazwiskiem pisany William Shakespeare, poznają w nim Szekspira takiego jak o nim pisał ich dziadek, co się nazywał Jan Kott, uznany w całym świecie anglosaskim i poza nim, jako doskonały znawca dramatów i poezji tego angielskiego geniusza. Oto kotwica dla Twoich wnuków. Mogę z radością dodać, że nie tylko dla Twoich wnuków, ale i dla wszystkich innych polskich wnuków na całym świecie.

„Dziennik Polski” („Środa Literacka”), Londyn, 19 czerwca, 1996.

NOTATKI LONDYŃSKIE

Neutralność

Lech Wałęsa był w maju gościem Cambridge Union. We wszelkiego rodzaju ad hoc debatach ma on dar szybkiego znalezienia odpowiednio lapidarnego, czasem dosadnego, słowa czy zwrotu, które jak strzała trafia prosto do żadnej sensacji reporterskiej taśmy. Słowo takie czy zwrot, im bardziej niespodziewane i kontrowersyjne, tym bardziej przyciąga uwagę słuchaczy. W tym wypadku mniej ważny był temat debaty, czy raczej jego przemówienia, a o wiele bardziej parę słów, które użył w odpowiedzi dziennikarzowi, który go zapytał jakie ma zamiary na przyszłość. „Chciałbym być prezydentem zjednoczonej Europy”, odpowiedział Wałęsa bez zająknięcia. Ci członkowie małej grupy prasowej, którzy odpowiedź słyszeli pozostawili ją, o ile wiadomo, bez komentarza poza kronikarzem londyńskiego „Times'a”. Zastanawiałem się dlaczego. Czy dlatego, że uznali to za nie bardzo śmieszny dowcip, czy dlatego, że przyzwyczajeni są do niespodziewanych i często pozbawionych realności wypowiedzi byłego polskiego prezydenta... Czy może zaskoczenie jakiego doznali przecięło granicę rzekomej nierealności i utkwilo gdzieś w „no mans' land”. A jednocześnie zaskoczyła mnie niesforna myśl, że może właśnie dlatego zamilkły komentarze, że wystrzelona intuicyjnie - jak zawsze u Wałęsy - wypowiedź byłego prezydenta zasiała ziarno w głowie - jeśli nie w duszy - jednego brytyjskiego dziennikarza? I może nie jest wcale taka nierealna? Bo gdzie właściwie kończy się realność a zaczyna bezkres tego co wydaje się nam nierealne, a jest w gruncie rzeczy jedną z bardziej oczywistych, nowych i intrygujących możliwości? Ale chyba tylko wtedy gdyby Polska była neutralna i uznana za taką przez resztę świata. Cóż za nieograniczone możliwości?...

Wprawdzie trudno przyjąć doświadczenia Lecha Wałęsy jako świadczące o jego talencie do zjednoczenia, ale wszystkie dociekania dotyczące przyszłości Europy też wskazują na to, że daleka jest ona jeszcze od zjednoczenia. Termin „unia” ulega różnym interpretacjom wśród różnych członków. I jak dotąd warunki tego zjednoczenia są ciągle jeszcze w strefie pertraktacji. Nie mówiąc o tym, że wzrastająca opozycja do unii w parlamencie brytyjskim (obie główne partie), nie wynika z przyczyn praktycznych czy handlowych, a ze strachu przed utratą suwerenności parlamentu i oddaniem jej w ręce najmocniejsze-

go europejskiego partnera. Z drugiej strony osoba Wałęsy w Europie (i poza nią) jest symbolem niezależnej walki i zwycięstwa nad totalitarną dyktaturą. Jak wiemy, sprawa niezdrowej wołowiny może szybko zatruć najbardziej zjednoczone umysły. A cóż dopiero różnice w interpretacji zasadniczych praw czy zjednoczeniowej konstytucji... (Zjednoczona waluta?...). Nie zapominajmy o możliwych walkach i przetargach kandydatów na fotel prezydenta zjednoczonej Europy. Gdyby skończyło się na ogłoszeniu konkursu, Wałęsa miałby duże szanse. Po pierwsze jako człowiek nie zjednoczony, po drugie jako nie zawodowy polityk, nie zawodowy partyjnik, a w końcu jako człowiek, który poradził sobie nie tylko z komunizmem, ale z systemem ekonomicznym i politycznym, który dusił naród. Gdyby jeszcze miał za sobą neutralność swego kraju, byłby kandydatem idealnym bo neutralnym.

Ad hoc rzucona w przestrzeń uwaga Wałęsy, przy pewnej dozie zdrowej wyobraźni, i wiedząc że nie było to pewnie jego zamiarem, zwraca uwagę na zapomniane jak się wydaje zalety neutralności mniejszych państw. Specjalnie takich, które historycznie i geograficznie boleśnie odczuwają sąsiedztwo wielkich mocarstw. I są w dużej mierze w położeniu głębokiej od nich zależności. Jedną z zalet najistotniejszych jest to, że nie są nigdzie ani z nikim zjednoczone. Dzięki temu mają obowiązki tylko wobec siebie a wobec innych tylko z własnego wyboru. Mają też zupełną swobodę w wyborze partnerów (i rynków?...) we wszelkich dziedzinach państwowej i indywidualnej działalności. Czasem słowa rzucone w pośpiesznej replice mają w sobie więcej instynktownego sensu niż zamierzał ten co je rzucił. Neutralność Polski i ewentualna kandydatura Wałęsy to też niezła droga do nieznannej, a niemniej tajemniczej przyszłości.

„Orzeł Biały”, Londyn, lipiec/sierpień, 1996.

HISTORYCZNY BAGAŻ

Emigracja polska na świecie z bagażem historycznym podróżuje od wielu lat. Czasem do niego zagląda. Czasem też znajduje w nim natchnienie pisarskie, niekiedy z pomocą tego bagażu pomaga pamięci nie zasnąć. Część jego, świeże świadectwa teraźniejszości, to też żywy bagaż historii, choć podręczny. Jeszcze niezupełnie przetrawiony, nie

opracowany, ale łatwo dostępny i łatwy do sprawdzenia, bo jest jeszcze w rękach świadków i uczestników wydarzeń. Lata dawniejsze to багаż cięższy, już popakowany, choć zwykle jeszcze bez katalogu, bez chronologicznej numeracji i nie zawsze zabezpieczony przed kurzem i wilgocią. Ale często tak obwarowany tajemnicą nietykalności, że wymaga zwinnego poszukiwacza i szperacza, by używając czasem perswazji, a często niemal podstępnie, odsłonić choćby rąbek opakowania. I nie tylko opakowania, ale też splątanych sentymentów. Cóż się dziwić? Ręce prywatne z dumą zbierały nie tylko poloniki w sztuce, literaturze i dokumentacji społecznej i politycznej, ale pieczołowicie przez lata kolekcjonowały wszystko, co dotyczyło ich samych, ich rodzin, ulubionych generałów, bohaterów narodowych, poetów i pisarzy. Znam takiego weterana różnych wojen XX wieku, który ma kolekcję wycinków ze wszystkich wydawnictw polskich na Zachodzie poczynawszy od roku 1939 z Paryża. Kolekcja, gdyby ją rozłożył na wszystkich podłogach przeciętnego domu angielskiego, wyglądałaby jak pole bitwy. Każdy wycinek to pozycja wyjściowa do natarcia. Tymczasem siedzi zgnieciona w wielu pudłach, bez powietrza, nikomu niepotrzebna, usychająca z nudów i powoli zamienia się w pył. Wśród kolekcji prywatnych doliczyć się można zbiorów prezydentów, ministrów, generałów, dyplomatów, działaczy społecznych i politycznych, pisarzy i dziennikarzy. Wojna przyniosła swój posiew w postaci wielu notatników, pamiętników i wspomnień, które tak jak te wycinki, pojedynczo znaczą niewiele, jako suma mają dla historyka wartość dokumentu. A kto wie ile w nich ukrywa się nieznanymi faktów, a może niewyjaśnionych tajemnic? We wszystkich mogą znajdować się fragmenty czy szczegóły nie zapamiętane w innych materiałach albo potwierdzające inne źródła. Instytucje społeczne, które stały się tymczasowym miejscem postoju większości zbiorów i kolekcji, przeważnie w formie depozytów, z biegiem lat muszą zastanowić się co dalej? Zbiory nigdzie nie zdeponowane, są w podobnej sytuacji, choć decyzja o nich zwykle zapada w sercu jednej osoby. Podkreślić trzeba, że mowa tu o zbiorach dokumentarnych i archiwach, a nie o bibliotekach jako takich, ani muzeach. Tylko o materiałach, które mogą być podstawą prac historyków, a nade wszystko wymagają profesjonalnej konserwacji. A obejmuje to większość tego emigracyjnego багаżu.

Nie chodzi tu o podjęcie dziś generalnej decyzji, ale można chyba poddać pod generalną rozwałę elementy mogące być w podejmowaniu decyzji pomocne. Elementem takim jest waga багаżu. Jedną to jego

wyjątkowa i niepowtarzalna zawartość, a druga - niesłabnący apetyt na nią w pracowniach polskich historyków i pisarzy, polskich uniwersytetów i różnych polskich zakładów naukowych. Elementem pomocnym musi być bieg czasu, który stopniowo kruszy zastępy emigracyjnych kolekcjonerów i tych, którzy starają się dać tym zbiorom schronienie. Dzięki nim i tylko dzięki nim polski bagaż historyczny na emigracji, ten łatwo dostępny i ten mniej dostępny przedstawia taką wartość naukową. Ale głównie dla kogo? Przede wszystkim dla fachowców i pracowników naukowych. Mimo trudności finansowych i innych, przyjeżdża ich z Polski wielu. Czy dla emigracyjnych badaczy?... Bo dla młodych polskich adeptów emigracyjnych, wśród dzieci i wnuków weteranów chyba jeszcze mniej. Drobną część tego bagażu podróżuje pomiędzy Londynem, Paryżem, Waszyngtonem, Nowym Jorkiem a Polską w formie notatek, fotokopii i nagrań magnetofonowych. Ich oryginalna forma kruszeje spokojnie dalej w dziewiczej całości, w tych i innych skupiskach polskich rozsianych po świecie.

Trzeba zadać sobie pytanie, do jakiego stopnia stać emigrację na pełne zabezpieczenie i utrzymanie zbiorów. I gdzie są na emigracji odpowiednio przygotowani fachowcy? Nauka archiwalna, muzealna i biblioteczna zrobiła w Polsce olbrzymie postępy wzorując się na najnowszych badaniach zachodnich. Całe zastępy wykształconych kustoszów i doświadczonych konserwatorów są dobrze przygotowane do opieki nad bagażem historycznej emigracji. Jest więc rzeczą jasną, że w tak wyekwipowanej Polsce są warunki, by pogłębić badania nad rozprzestrzenionym po świecie materiałem. A poza tym, co równie ważne, tam istnieją dziś warunki, by wyniki tych badań i poszukiwań publikować.

Dr Anna Supruniuk, heraldyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i współzałożyciel Archiwum Emigracji w tym samym uniwersytecie, pisze o tym w II tomie pracy historycznej „Wiadomości» i okolice” (Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1996): *Nie ma wątpliwości, że warunkiem prowadzenia badań nad dziejami emigracji polskiej po 1939 roku jest ratowanie, gromadzenie i przede wszystkim opracowywanie archiwaliów przez nią wytworzonych. Istnieje, rzecz prosta, silna już dzisiaj i coraz silniejsza współpraca historyków i polonistów krajowych z instytucjami emigracyjnymi. Ale nie załatwia to sprawy przyszłości. Niektóre zbiory są już w Polsce w całości lub częściowo. Są to głównie zbiory osób żyjących, które same zdecydowały o ich losie i przeznaczeniu.*

Znany jest nam wszystkim argument, że gdyby cały bagaż historyczny odfrunął z Londynu i innych ośrodków do kraju, co by zostało po nas w krajach polskiej emigracji po II wojnie?... Argument, a raczej pytanie, słuszne i nie do odparowania. Zostaną nowe pokolenia, a z nimi kościoły, parafie i... cmentarze. Bo wprawdzie w archiwach i bibliotekach brytyjskich, francuskich czy amerykańskich (w samym Londynie: British Library, Chatham House, London Library) znajduje się wiele materiałów dotyczących spraw polskich, ale jest to dokumentacja głównie wojenna, wojskowa i polityczna. Ukazało się wprawdzie trochę wydawnictw po angielsku i po francusku, przeważnie wspomnień, ale o ograniczonym zasięgu zainteresowanych. Wszystko to kropla w morzu. O dorobku społecznym i kulturalnym po angielsku glucho. Czy nie czas na dwujęzyczną historiografię polskiego blisko sześćdziesięciolecia poza Polską? Kiedy po roku 1945 staliśmy się emigracją polityczną, sprawy polskie rozeszły się w dwóch kierunkach. Administracyjnie staliśmy się mieszkańcami, czasem obywatelami, krajów osiedlenia. Natomiast nasz prywatny, polski dorobek polityczny, społeczny i kulturalny był całkowicie w naszych rękach. I jest w tych samych rękach nadal. Istnieją dwa wyjścia: albo przekazać archiwa specjalistom, albo przydzielić specjalistów archiwom. Trzecie wyjście jest nie do pomyślenia. Wędrowni Polaków po świecie od 1939 roku i wojna w Kraju już kosztowały dosyć utraconych dowodów rzeczowych. Ze względów zrozumiałych, Londyn i Wyspy Brytyjskie są centrum polskich depozytów emigracyjnych. Tu konieczna jest pierwsza inicjatywa.

„Tydzień Polski”, Londyn, 28 września, 1996.

CZEKAJĄC NA POCIĄG...

Byłem zafascynowany koleją żelazną od wczesnych lat. Fascynacja ta dotyczyła specjalnie wyjazdów i przyjazdów, a ściślej, lokomotyw. Były w moich oczach tym, co wyrażało ogrom, niemalże wielkość nie do objęcia naraz wzrokiem. Do tego buchala z nich ze świstem para tak silnie, że zagłuszała wszystkie inne dźwięki i jednocześnie zasłaniała wszystko co działo się dookoła. Jak gęsta chwilowa mgła. A jeśli przy tym jej przenikliwy gwizd przy odjeździe czy przyjeździe

mrozi krew w żyłach, fascynacja sięgała zenitu rozkoszy. Zaczęły się te przeżycia głównie na Dworcu Głównym w Warszawie, w trójkącie pomiędzy ulicą Marszałkowską a Alejami Jerozolimskimi. Choć mój pierwszy samodzielny wyjazd, pierwsza kolejowa sensacja i pierwsze kolejowe wzruszenie, miało miejsce na kolejce Wilanowskiej w drodze do Rejówki w Klarysewie (byłem wówczas na krótko uczniem gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie). Pamiętam, że miałem na drogę prowiant w postaci marmoladek owocowych. Pamiętam też nerwowe podniecenie ciągłego sprawdzania czy nie zginął bilet i czy wszystko to co miałem w kieszeniach było na miejscu. Wtedy to, chociaż nie wiedziałem o tym jeszcze, rozpoczął się rytuał, który pozostał we mnie na zawsze: przychodzić na dworzec dużo za wcześniej. Lubilem czekać aż podstawią pociąg. To był dla mnie właściwy początek podróży. Jeśli pociąg już stał na peronie, wydawało mi się, że straciłem ważną część pełnej przyjemności. Działo się to we wczesnych latach 30-tych. Później, z Dworca Głównego zaczęły się prawdziwe podróże koleją. Były wtedy zwykle wyjazdy na wakacje letnie z rodzicami i z siostrą, ale trochę później były wyjazdy już mniej zwykle, bez rodziców i siostry, na obozy harcerskie czy przysposobienia wojskowego, hulańcze nocne wyprawy (zaraz po wigilii) do Zakopanego na narty, czy w roku 1936 na Olimpiadę do Berlina z grupą starszych studentów zrzeszonych w „Lidze”. Potem, rok przed maturą, letni wyjazd do Paryża i na południe Francji też z grupą „Ligi”, i wreszcie po maturze, wyjazd do Belgii i Francji na studia. Dziś widzę te wyjazdy jako cały cykl czekania na właściwy pociąg... w nieznanym, fascynacja koleją żelazną nigdy nie osłabła. Dziś czekam na każdy pociąg z takim samym uczuciem, że na końcu podróży czeka mnie wolność, nowe przeżycia, nowe doświadczenie.

Przyszedł rok 1939. Przydzielony w pośpiechu do Batalionu Ochrony Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie (niemal naprzeciwko Dworca Głównego w Alejach Jerozolimskich), wymarsz na Dworzec Wschodni nastąpił 3 września nad ranem. Tam po raz pierwszy czekałem na pociąg w mundurze. Tam też staliśmy na peronie czekając na jego podstawienie. Zaczęli podstawiać pociąg, ale nie widziałem lokomotywy, bo pchała wagony towarowe od tyłu. Dopiero przy lokomotywie był jeden wagon osobowy. Pomiędzy wagonami sunęły bardzo powoli otwarte platformy. Na nich było ubezpieczenie w postaci karabinów maszynowych i ich obsługi. Ładowaliśmy się wśród niemieckich nalotów. Nie trwało to długo. Ale

też niedługo trwała podróż. Pociąg zaczął się kruszyć pomiędzy Puławami a Dęblinem pod dotkliwym bombardowaniem lotniczym, któremu pomagał niski ogień karabinów maszynowych. batalion leżał pokotem w okolicznych laskach, gdzie w cudownej wrześnieowej pogodzie i przy pięknym jasnym słońcu, lotnicy niemieccy nie mieli wiele kłopotu z celowaniem. Zostało parę wagonów i jedna platforma, na której dzielna obsługa zdecydowała wystrzelać ile się dało pozostałej amunicji. Wrzeczeli przy tym na Niemców, aż im puchły gardła. W rezultacie dalszych nalotów została tylko lokomotywa. W pewnym momencie nastąpiła cisza. Batalion, już przetrzebiony i w częściowej rozsypcie, zebrał się przy torze kolejowym. To było pierwsze wojenne czekanie na pociąg.

Batalionu jako takiego już nie było. Ale były jeszcze członki Wojskowego Instytutu Geograficznego, który mieliśmy ochraniać. Wojsko łączyło się w grupy, powstała z tego kompania, i rozkaz był żeby maszerować dalej w kierunku na Lublin. I tak się stało. Mniejsze grupy napotkane po drodze łączyły się w większe grupy. Naloty były w dalszym ciągu dotkliwe. Trwał ten marsz długo, choć przerywany był od czasu do czasu jazdą jakimś mniej lub więcej zabłąkanym pociągiem czy samochodem osobowym lub towarowym. W końcu duża grupa naszego oryginalnego Batalionu miała jeszcze szczęście znaleźć czynną wojnę na przedpolach Lwowa. I tam 17 września oddaliśmy przedostatni strzał. Jak się jednak okazało, już po 10 dniach, przyszło nam znowu czekać na pociąg. Wrócił optymizm. Poczta w hotelu George'a doniosła, że Litwini mają wejść lada dzień do Wilna. Było nas czterech wojaków zdolnych do noszenia broni, jak mówiła nasza wówczas ukrywająca nas w swoim mieszkaniu na ul. Mochnackiego 8, opiekunka Teodozja Lisiewicz. Dołączyła do nas w czekaniu na pociąg Hela Mieczysławska, malarka, wdowa po malarzu Krzysztofie Mieczysławskim, poległym na początku wojny, podporuczniku 7 Pułku Ułanów Mazowieckich. Czekaliśmy więc razem choć nie mieliśmy żadnych danych na to, że może się to udać. Drogi pełne były czerwonej armii i wyraźnie nieprzyjaznych Ukraińców. Na pociąg, choć w stronę odwrotną, bo do... Bukaresztu, czekał też konsul rumuński we Lwowie, który wynajmował pokój sublokatorski u naszej opiekunki „Dozi”. Koczując u niej bez wiedzy rumuńskiego konsula było coraz bardziej ryzykowne. Odwaga, kobiecy wdzięk, ale nade wszystko, patriotyzm „Dozi”, zrobił to, że zdołała ona wytłumaczyć rumuńskiemu konsulowi, że wobec zmienionej sytuacji politycznej,

i on i my jesteśmy po tej samej stronie. Rumun przyznał rację wypiwszy pół butelki świetnego francuskiego koniaku (zostawionego w mieszkaniu przez przyjaciela „Dozi” Karola Gołuchowskiego), i od tego momentu nas czterech, Hela i jej przyjaciel warszawski dziennikarz Andrzej Kopczyński, i rumuński konsul, razem czekaliśmy na pociąg. Wprawdzie Rumun na południe, a my.... wszędzie byle na północ.

Po paru dniach tej euforii (koniak już był wypity, ostała się tylko resztką jarzębiaku), jeden z nas czterech, podchorąży Andrzej Wahren (syn a może wnuk znanej warszawskiej firmy rowerów), uznał, że należy na wszelki wypadek zdobyć jakieś rowery. Miał widocznie przeczucie, że z tym pociągiem nie będzie dobrze, bo akurat (pamiętam!) w niedzielę, o 4-tej nad ranem, przysłała milicja i „dyplomatycznie” wyprowadziła konsula „z wieszczami” do czekającego auta. Pewnie jego dyplomatyczny pociąg podstawili w sam czas. Z rowerami było tak samo jak z masłem. Nie było. Nasza cywilna grupka z węzłkami ruszyła w okolicy lwowskiego węzła kolejowego. Siedzimy przy torach i czekamy na pociąg w kierunku Lublina. Papiery mamy jako takie, źle podrobione, ale liczymy na jeszcze nie zaznany ale domniemany sowiecki balagan. Dworzec w oplakany staniu. O pociągach ani słycho. Idziemy wzdłuż torów. Nadjechał polski kolejarz na rowerze. Podobno w odległości 20 kilometrów na jakiejś małej stacyjce jest pociąg, który ma pójść wieczorem do Lublina. Oddał rower Heli i dołączył do nas. Znaleźliśmy stację i stojący na niej pociąg-widmo. Wlazimy do wagonu osobowego i czekamy. Jest przecież już podstawiony. Robi się zimno. Kolejarz dzieli się z nami słoniną i chlebem razowym. Pociąg-widmo stoi jak zaczarowany. Śpimy. Gdzieś w środku nocy budzi nas zapach dymu i pary. Pociąg rusza powoli i wiezie nas w ciemną noc.

Podróżowaliśmy dalej, koleją, czekając na jej niespodziewane nadejście w paru miejscach po drodze, furmanką, wozem drabiniastym i na własnych nogach, dobrnęliśmy wreszcie do Wilna. W sam czas, bo w niespełna tydzień, wkroczyła do Wilna armia litewska, a z nią cywilna administracja. Jedyne pociąg, na który w tych czasach czekałem działał już na podstawie rozkładu jazdy, choć był on dość dowolnie interpretowany przez lokalne władze kolejowe i wojskowe. Kursował ten pociąg pomiędzy Wilnem i Kownem. Była to też atrakcja. Poznanie nowych stron, nowego nieznanego miasta, które tak jak ta dziwna staroświecka kolej, miało w sobie sekret niepewności

i gdzie każda nowa twarz była podejrzana. Pociąg ten miał to do siebie, że trzeba było mieć poza biletem pozwolenie podróżowania. Publiczność w nim składała się w dużej mierze z Polaków wydających ostatnie grosze na próby zdobycia jakichkolwiek zachodnich czy dalekowschodnich wiz, by już więcej tym pociągiem nigdzie nie jeździć. Tylko niektórym, i to tylko tym wcześniejszym, się udało. Były to ostatnie dni poselstwa polskiego w Kownie i posła Franciszka Charwata. Były jeszcze poselstwa francuskie i angielskie, oba przychylnie i pomocne. W tym ostatnim posel Thomas Preston, był oddanym łącznikiem komunikacyjnym z rządem polskim, aż do zamknięcia poselstwa.

Minął rok z okładem. Minęła ostra zima. Następne spotkanie z poważną koleją żelazną było niespodziewane. Zamiast żeby na nią czekać, czekała ona na podróżnych i to takich, którzy nie mieli wyboru. Pociąg był towarowy, można by go nazwać bydłęcym, czekał na bocznicy za Wilnem. Była wczesna wiosna. Pociąg biegł prosto na wschód, często zatrzymując się na różnych bocznicach, między innymi gdzieś koło Moskwy. Zatrzymywał się w otwartym polu, czasem na małych stacyjkach. Nie było w tej podróży żadnych atrakcji, a jednak jechać koleją w nieznane, zawsze i nawet tu dostarczało dreszczyku emocji. Pociąg w ciągu 3 tygodni zdolał przekroczyć Ural, był już w Azji, i nie spiesząc się dotarł do nowosybirskiej obłasci. Tu była jego końcowa stacja. Podróżni wysiedli i nawet niektórzy próbowali pytać jak długo trzeba będzie czekać na pociąg powrotny. Nikt nie doczekał odpowiedzi.

Minęło pół roku. Z przyjacielem i towarzyszem więziennym Tadeuszem Zajączkowskim czekaliśmy znowu na pociąg na małej stacyjce pod Nowosybirskiem. Braliśmy optymistycznie w myśli kierunek na Kujbyszew, nie zdając sobie sprawy z tego, że w Sowietach w czasie wojny pociągi chodzą samowolnie bez ładów i składów. Cóż za atrakcja w podróżowaniu bez celu, bez początku i bez końca! Cóż za wolność! Mimo wszystkich okoliczności. Pierwszy etap się udał: doczekaliśmy się, o głodzie i chłodzie, pociągu i jako żołnierze jadący do polskiego alianckiego wojska dano nam do niego wejść. Tak dotarliśmy, w smrodzie i ciasnocie, do miasta Barnaul. Tam wśród masy sowieckich poborowych, czekaliśmy na pociąg, żeby zdążyć na wojnę. Sowieccy poborowi czekali z dużo mniejszym entuzjazmem na podróż żelazną koleją (niektórzy pierwszy raz w życiu) niż my. Postanowiliśmy, że każdy pierwszy lepszy pociąg będzie dobry byle nie

na wschód, ani na północ. Bezgraniczna naiwność Europejczyka w Rosji! Pociągi kursowały wówczas w Sowietach nie informując nikogo ani skąd ani dokąd jadą. Tajemnica wojskowa. Mówili niektórzy, że zawsze tak było, wojna czy pokój. Ale tymczasem sprawa nie była istotna: pociągów nie było. Nasza pierwsza noc w Barnaule, to areszt w milicji na własne żądanie. Tadeusz wytłumaczył milicjantom, że żołnierze do alianckiego wojska polskiego muszą być wypoczęci, by lepiej walczyć z Niemcami. Dostaliśmy zupełną pierożkę nabytym kapustą i nocleg w zamkniętej celi. Na wszelki wypadek. Dalsza warta na dworcu następnego dnia udała się o tyle, że znalazł się pociąg, który nawet się zatrzymał na chwilę. Wskoczyliśmy bez namysłu, ponieważ żaden namysł i tak by nic nie pomógł. Pociąg - loteria ruszył. Wiało spirytusem. Poborowcy pili na umór, nie z entuzjazmu do walki z wrogiem ale ze strachu. Zygzakami i różnymi pociągami, trochę na zachód, trochę na południe, zmieniając stacje i pociągi, informowani czasem przez oficerów łącznikowych, których wiadomości były skąpe, ale robili co mogli w warunkach chaosu nie do opisania, podróżowaliśmy tak około 10 dni. Zwiedziliśmy Taszkient, gdzie delegatem rządu polskiego był Michał Tyszkiewicz i gdzie jego żona Hanka Ordonówna, z największym poświęceniem ratowała polskie matki z dziećmi na dworcu kolejowym, na który przyjeżdżały one z licznych posiadłości. Zwiedziliśmy Samarkandę, gdzie na rynku ukradli nam ostatnie 50 rubli, za które mieliśmy zamiar kupić jedyny prowiant jaki był: pomidory. Gdzieś w tej okolicy spotkały się dwa pociągi jadące w tym samym kierunku. Oba stały na małej stacyjce na bezludziu, jeden za drugim, bez widocznego zamiaru odejścia w jakimkolwiek kierunku. W jednym były wagony osobowe. Jakieś krzyki uświadomiły nam, że jeden gdzieś ruszy. Szybka przesiadka już w biegu. Siedzimy w przedziale nie mając pojęcia w jakim jedziemy kierunku. Po chwili otwierają się drzwi i siada koło nas w stanie podobnym do naszego Paweł Hertz. Jest spokojny, raczej zrezygnowany. Mówi, że do wojska się nie nadaje. Nie widzi siebie w wojsku. Stara się dojechać do Kujbyszewa... Straciliśmy go z oczu kiedy po zwiedzeniu jeszcze pokrótce na południu Almy Aty, musieliśmy gwałtownie zmienić kierunek jazdy na północ by przejechawszy znowu wielką połać tego olbrzyma, na skutek nieporozumienia pomiędzy informatorami, znaleźć się koło Tocka, od początku celu naszej podróży. Tu, w trzaskający mróz, byliśmy już wśród swoich, wcieleni do 17 pułku 6 Dywizji gen. Michała Karaszewicz-

Tokarzewskiego. Jednocześnie nastąpiło spotkanie, które zostanie w mojej pamięci na zawsze. Koło punktu zbornego przybywających do wojska żołnierzy, stała drewniana budka. W niej Józef Czapski spisywał imiona i nazwiska przybywających, nazwy ich dawnych oddziałów i obozów, więzień i posiołków. Marzyły mu ręce i uszy, a pamięć musiała przywołać obrazy lat dawnych, kiedy jako młody oficer szukał zaginionych w Rosji polskich żołnierzy po wojnie 1920 roku. W spisie, który teraz sporządzał szukał tych, których na nim brakowało. Te braki to była może pierwsza lista katyńska. Niedługo potem, wojsko polskie z Tocka odbyło dwie ostatnie podróże sowiecką koleją na południe, do obozów tymczasowych i wreszcie do Krasnowodska by już statkiem odpłynąć do Persji.

29 czerwca 1990 roku jechałem luksusowym pociągiem kolei szwajcarskich z Genewy do Vevey by następnego dnia uczestniczyć w otwarciu wystawy obrazów Józefa Czapskiego w Musée des Beaux Arts (Musée Jenisch). Wśród wielu wzruszających scen malarskich, uwagę moją przywozdziły specjalnie dwie z nich. Na jednym stał pociąg - widmo, w oknach pustka, jakby martwy, jadący donikąd, ale nie mniej fascynujący właśnie tą pustką. A obok na peronie, puste wózki na których nie było bagażu. Na drugim, znowu dworzec, ławka i jedna ciemno ubrana kobieta, w smutku za... odjeżdżającym pociągiem. Temat Czapskiemu bliski, bo te pociągi, te dworce, smutek rozstania i pustka po bliskich, fascynowały go zawsze. Mówił często, że życie nasze to czekanie i że wszyscy podróżujemy jak się da w nieznanie. A pociąg był symbolem i ruchu i stacji docelowej.

„Dziennik Polski” („Środa Literacka”), Londyn, 15 stycznia, 1997.

LITERACKI DYLIŻANS

Dyliżansom nie podróżowali bohaterowie wzruszającej książki Stefani Kozłowskiej, ale pamiętali na pewno drożki konne w Warszawie, Lwowie, Wilnie czy Karkowie. Książka ta to „Galeria Przedków”, (Biblioteka „Więzi”, tom 68, Warszawa 1991), a jej bohaterowie to pióstrze, historycy, wojen malars i ludzie związani z literaturą polską w XX wieku. W recenzjach wyprzedzających choć bjęry ich wszystkich współtwórcy z „Wiedomości Literackich” w ich wszystkich trzech wydaniach, z wiec warszawskim, paryskim i londyńskim. Bo tak jak „Wiedomości” byli oni częścią literatury polskiej. O każdej osobie - wiecieka naryzowana cienistkim pióstrzem, delikatnie, z uczuciem respektu dla niej, z myślą o tym, żeby o niej nie zapomniano i z przekonaniem, że pióstrze o niej dzieci z czytelnikiem swoje jej zrozumienie. Łączy tych bohaterów także to, że większość ich znana była autorom osiem z bliska, czasem z odległości czy obserwacji. Z niektórymi łączyła ja i jej męża przyjaźń, z innymi tylko znajomość, a byli i tacy których znała tylko jako redaktorka ostatniego wcielenia londyńskich „Wiedomości”. Nie sposób wyliczyć ich wszystkich od Stanisława Balińskiego do Wacława A. Żyżewskiego, poprzez Jana Polesiowicza, Antoniego Bormann, Marię Dąbrowską, Mieczysława Grydzewskiego, Mariana Kukieła, Józefa Mackiewicz, Zygmunta Nowakowskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Stanisława Stronskiego, Tymona Terleckiego, Feliksa Topolskiego, Ignacego Wierzeńskiego, Józefa Wysłina i innych. W omawia 28 sylwek. Starsi wieki dyliżans czy trochę młodsza duryła to najpóźniej poruszające się powoli ale z godnością. Umocniła, z gestem pióstrkości. Sylwetki Kozłowskiej widać tak się poruszają przez pierwsze dwadzieścia lat odrodzonej Polski i przez następne lata, nowej nie woli, aż do lat nowego odrodzenia.

Starsi wieki dyliżans odnosi się może bardziej do najbliższego poetyckiego przyjaciela Skamandrytów, Stanisława Balińskiego, najbardziej z nich wykwińskiego i towarzyskiego pustelnika (to nie aforyzmi), niż do innych pisarskich sylwek Kozłowskiej. Baliński kochał salony lecz tyi sam i nie miał intymnej przyjaźni. Ale miał

RECEIVED

LITERACKI DYLIŻANS

Dyliżansem nie podróżowali bohaterowie wzruszającej książki Stefanii Kossowskiej, ale pamiętali na pewno dorożki konne w Warszawie, Lwowie, Wilnie czy Krakowie. Książka ta to „Galeria Przedków”, (Biblioteka „Więzi”, tom 68, Warszawa 1991), a jej bohaterowie to pisarze, historycy, jeden malarz i ludzie związani z literaturą polską w XX wieku. Wybór ich jest właściwie przypadkowy choć łączy ich wszystkich współpraca z „Wiadomościami Literackimi” w ich wszystkich trzech wcieleniach, a więc warszawskim, paryskim i londyńskim. Bo tak jak „Wiadomości” byli oni częścią literatury polskiej. O każdej osobie - winiетка narysowana cieniutkim piórkim, delikatnie, z uczuciem respektu dla niej, z myślą o tym, żeby o niej nie zapomniano i z przekonaniem, że pisząc o niej dzieli z czytelnikiem swoje jej zrozumienie. Łączy tych bohaterów także to, że większość ich znana była autorce czasem z bliska, czasem z odległości czy obserwacji. Z niektórymi łączyła ją i jej męża przyjaźń, z innymi tylko znajomość, a byli i tacy których знаła tylko jako redaktorka ostatniego wcielenia londyńskich „Wiadomości”. Nie sposób wyliczyć ich wszystkich od Stanisława Balińskiego do Wacława A. Zbyszewskiego, poprzez Jana Bielatowicza, Antoniego Bormana, Marię Danilewiczową, Mieczysława Grydzewskiego, Mariana Kukiela, Józefa Mackiewicza, Zygmunta Nowakowskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Stanisława Strońskiego, Tymona Terleckiego, Feliksa Topolskiego, Ignacego Wieniewskiego, Józefa Wittlina i innych. W sumie 28 sylwetek. Staroświecki dyliżans czy trochę młodsza dorożka to pojazdy poruszające się powoli ale z godnością. Uroczyście, z gestem pańskości. Sylwetki Kossowskiej właśnie tak się poruszają przez pierwsze dwadzieścia lat odrodzonej Polski i przez następne lata nowej niewoli, aż do lat nowego odrodzenia.

Staroświecki dyliżans odnosi się może bardziej do najmłodszego poetyckiego przyjaciela Skamandrytów, Stanisława Balińskiego, najbardziej z nich wykwintnego i towarzyskiego pustelnika (to nie aforyzm!), niż do innych pisarskich sylwetek Kossowskiej. Baliński kochał salony lecz żył sam i nie znał intymnej przyjaźni. Ale miał

w sobie instynkt poetycki rzadko innym poetom równy i wycucie niemal idealnego piękna i muzyki słów. Kochał muzykę. Mało kto dziś pamięta czy wie, że Baliński uczył się przez wiele lat angielskiego u znakomitej nauczycielki (Szkotki!) i znał świetnie w teorii wszystkie niemal niuanse angielskiej wymowy. W praktyce się nimi nie posługiwał... ze wstydu, że źle coś wypowie. Niewiele osób dziś pamięta, że był on nieuleczalnym hipochondrykiem. Ale poezje jego pamiętają wszyscy ci co pamiętają ostatnie 50 lat w polskiej Anglii, a w Kraju podobno dojrzewają do niej młodzi. W późnych latach czterdziestych Baliński mieszkał w domu na 27 Rosary Gardens w Londynie, w którym też mieściła się redakcja odnowionych w roku 1946 „Wiadomości”. Leczył się na różne dolegliwości, a modne wówczas były witaminowe surówki. Ktoś ze znajomych namówił go, że codzienna szklanka soku z marchwi leczy wszystko. Baliński uległ aż do momentu kiedy redaktor „Wiadomości” spytał go czy nie zmienił jeszcze koloru skóry... Błyskawicznie odpadła kuracja marchwią, a przyjaźń na parę dni poważnie się zachwiała. Symbol dyktanda można też dodać Waclawowi Alfredowi Zbyszewskiemu, którego podniętą pisarską były czasy wielkiej rządzącej arystokracji, koligacji i sporów o wpływy. Innymi słowy, czasy dobrych manier, elegancji, w których polityka mocarstw i państw mniejszych rozgrywała się na salonach raczej niż na płachtach codziennej prasy, Zbyszewski też towarzyski, był w gruncie rzeczy pustelnikiem i tak jak Baliński, zmarł samotnie, choć nie w Londynie a w Paryżu.

Konna dorożka odnosi się bardziej do sylwetek takich jak Marian Kukiel, generał i historyk, Mieczysław Lubelski, znakomity rzeźbiarz, Antoni Borman, współwłaściciel przedwojennych „Wiadomości Literackich” i wydawca ich późniejszych wcieleń, jego żona Hapa Frankowska, redaktor Mieczysław Grydzewski, Jan Lechoń, Kornel („O dwóch takich co ukradli księżyc”) Makuszyński, Zygmunt Nowakowski, Feliks Topolski i Józef Wittlin. Wszyscy oni, podobnie jak inni wymienieni przez Kossowską podróżnicy przez kulturę polską, goście wojenni w obcym kraju, gdzie tej kulturze służyli, obdarzeni zostali przez nią wspomnieniem naocznego świadka ich pracy. Rozdział „Kolacja z panem redaktorem” czyli Mieczysławem Grydzewskim, przypomniał mi żart Antoniego Bormana. Punktualność Grydzewskiego, o której pisze autorka, nie ogranicza się do kolacji u państwa Kossowskich. Był równie punktualny jak kolację jadł sam. Miało to miejsce w redakcji o 5-tej po południu. Przeważnie z papier-

ka. Borman, patrząc na ten rytuał pośpiesznego polykania kąsków, robiąc jednocześnie korektę, mówi półgłosem: „Je na wyrost jutrzejszą kolację, żeby mieć jutro więcej czasu”.

Stefania Kossowska nagrodzona została przez paryską „Kulturę” za całokształt swojej długoletniej pracy. Z dziennikarki stała się pisarką i redaktorką. Nic co dzieje się w piśmiennictwie polskim na emigracji nie jest jej obce. Jednym z jej talentów jest umiejętność obserwacji. „Galeria przodków” jest tego talentu rezultatem, tak jak jej książki „Mieszkam w Londynie” (1964) i „Jak cię widzę, tak cię piszę” (1973). Obserwując literackie pole działania, specjalnie na emigracji, dostrzegła ona praktyczną prawdę o pisarzach. Pisarze lubią żeby o nich mówiono i pisano, lubią o sobie czytać i słuchać, ale jeszcze bardziej interesuje ich to co mówią i piszą o innych pisarzach. Specjalnie stylem Kossowskiej: nie spod marmurowego cokołu, ale oko w oko z życiem codziennym. Świetny dokument poznawczy dla młodych pisarzy polskich.

„Tydzień Polski”, Londyn, 20 marca, 1993.

PIĘCIO-PRZYMIOTNIKOWA NAGRODA

Tak jak warszawskie „Wiadomości Literackie” i parysko-londyńskie „Wiadomości Polskie” i już do końca londyńskie „Wiadomości”, nagroda imienia tych ostatnich, a nade wszystko jej kreator Mieczysław Grydzewski, należą do polskiej rodziny literatury pięcio-przymiotnikowej, emigracyjnej, wolnej i niepodległościowej. Wynika to jasno z wydanej ostatnio historii tej nagrody napisanej, sporządzonej i natchnionej poczuciem jej wagi dokumentarnej, przez Stefanię Kossowską („Od Herberta do Herberta”, Nagroda „Wiadomości” 1958-1990, opracowanie i przedmowa Stefania Kossowska, Postscriptum Tadeusz Nowakowski, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1993, str. 423). Zagadkę frapującego tytułu wyjaśnia autorka na wstępie: nieżyjący już Auberon Herbert, Anglik, polski oficer i hojny przyjaciel Polaków, był jej pierwszym fundatorem, a poeta Zbigniew Herbert jej ostatnim nagrodzonym. Geneza nagrody sięga lat trzydziestych, lat powojennego rozkwitu polskiej literatury, a źródłem jej pośrednim była... twórcza przekora. Oto kiedy w roku 1933

powstała oficjalna polska Akademia Literatury w której niezupełnie przypadkowo pominięto wielu najwybitniejszych pisarzy niezależnych, „Wiadomości Literackie” rozpiśaly ankietę wśród czytelników pytający według nich autorzy godni byli akademickiej palmy. Tak powstał koncept niezależnej i nieoficjalnej „akademii literatury «Wiadomości Literackich»”. Miała ona przyznawać doroczne nagrody za najwybitniejszą książkę roku wzorując się na nagrodach francuskich. Od roku 1935, czyli roku swego powstania, wyróżniła ona 5 takich książek.

Nie zapomniał o niej, rzecz prosta, redaktor Grydzewski, ani wielu jego przedwojennych współpracowników i czytelników. Jeden z nich, profesor Ignacy Wieniewski, wierny obrońca czystości języka polskiego i świetny znawca literatur klasycznych, zasugerował Grydzewskiemu odtworzenie podobnej instytucji w późnych latach 50-tych, kiedy „Wiadomości” już w Londynie, wkroczyły dumnie w swoje raz tylko przerwane czterdziestolecie. Tu już nie tyle przekora, ile radość z ponowionej możliwości dialogu z czytelnikami, dała upust entuzjazmowi Grydzewskiego. I zaczął z zapalem planować. Myślę, że nie zrobię mu żadnej krzywdy jeśli dodam, że miał już na pewno ułożone menu pierwszego obiadu, a może też i drugiego (wzorem obiadów literackich w Paryżu słynnych z udziału w nich Goncourtów). Regulamin miał i w pamięci i pod ręką, a był to regulamin ułożony dla „niezależnej” przez Emila Breitera, długoletniego recenzenta literackiego „Wiadomości Literackich” i jednocześnie znanego warszawskiego adwokata. Zmiany w nim były konieczne i ustaliły się w toku jej istnienia. Faktem jest, że w numerze „Wiadomości” z 17 maja 1959 roku, dokładnie w 35 rocznicę powstania pisma w Warszawie, ogłoszona została ankieta pod hasłem: „Kogo wybralibyśmy do złożonej z 15 pisarzy emigracyjnych akademii literatury polskiej, gdyby taka akademii powstała?” 11 października 1959 roku ogłoszono nazwiska pierwszych piętnastu osób. Dziś jest ich wśród nas tylko dwóch: Tadeusz Nowakowski i Tymon Terlecki*. Przyszli potem inni, starsi, młodsi i nowi pisarze, zmieniły się czasy. Od roku 1990 literatura nie musi już emigrować. Może wołać o swoje pięć przymiotników głośno wszędzie tam gdzie jest pisana i czytana.

Wzorem przyzwyczajęń ankietowych „Wiadomości” i pod wrażeniem olbrzymiej pracy włożonej przez Stefanię Kossowską, z miłością

* Także Czesław Miłosz. T. Nowakowski zmarł w 1996 roku (przyj. red.).

przedmiotu i poczuciem jego potrzeby, czy wolno zapytać „co by było gdyby nie było nagrody «Wiadomości»”? A jeszcze lepiej „co by było gdyby nie było jej fundatorów”? Pytanie te i odpowiedzi na nie są niepodzielne. Tak jak niepodzielne jest współdziałanie słowa i czynu. Byłoby na pewno słowo ale może nie byłoby czynu. Były i są na emigracji inne nagrody literackie, których znaczenia nie należy w żadnym stopniu umniejszać. Ich regulaminy, zasady i założenia są i były różne. Ale powiedzieć należy, że nagroda „Wiadomości” przyznawana była pisarzom przez pisarzy („akademików honoris causa” - „akademikom in spe”) i tylko pisarzom polskim za książkę wydaną na emigracji. Książka Kossowskiej składa się z przedmowy, chronologicznych zestawień nagród i ich fundatorów, i - rozdział najobfitszy - indywidualnych uzasadnień proponowanych przez jurorów utworów do nagrody. Nie sposób wymienić tu wszystkich fundatorów lecz tylko tych których nazwiska powtarzają się wielokrotnie: Auberon Herbert (pierwszy), Tadeusz Zabłocki, Tadeusz Walczak, Irena Wandyczowa, Jan Badeni i Feliks Laski, ani wszystkich nagrodzonych (a także nagród za utwory ogłoszone w „Wiadomościach” za lata 1965-1981), ale pierwszym był (1958) Marek Hlasko, a ostatnim wyżej już wymieniony Zbigniew Herbert. Większość książki to sprawozdania z posiedzeń jury. Te ostatnie to ogródek dojrzałych rodzynek winnych czyli opinie pisarzy-jurorów o pisarzach-podsądnych, a więc to co najbardziej właśnie tych omawianych kandydatów do wyróżnienia interesuje: co o nich myślą, co mówią, a czego nie mówią, inni pisarze - koledzy po fachu. Na ogół na zebraniach panował wersal, czasem pokrywany ironią cienkiego dowcipu, czasem wykwintny żarcik już nic nie pokrywał bo był albo bardzo cieniutki więc delikatny, albo gdzieś zblądził w gąszczu słów nie zostawiając po sobie ani żalu ani uśmiechu. Uwagi były na ogół rzeczowe, czasem powierzchowne, niekiedy porywała jurorów poetycka fantazja. Przypomniał mi się Jan Parandowski, który zwykł pytać (retorycznie?) czy pisarze powinni być recenzentami innych pisarzy... W uzasadnieniach tych znaleźć można kopalnię ludzkich słabostek, uprzedzeń, zmagających z literackim rachunkiem sumienia, z bezstronnością, całą gamę wzruszeń i emocji, gdzieś niedługo małą miarę pobłażliwości, ale i pokory w sądach, szczerego gestu, romantycznych porywów, wycucia piękna, uznania nowego talentu, słownej ekwilibrystyki od fanfary do bębenka, no i... szczypty ciekawości. Takiej czysto ludzkiej, ale bardzo pisarskiej. Naczelnym zadaniem jurorów było przecież awansowanie sobie równych do rangi

specjalnie wyróżnionych, a innych zachęcić do nowych horyzontów.

Tu słów parę o „Postscriptum” Tadeusza Nowakowskiego, który z wdziękiem i łatwo dostrzegalną leżką w oku, nie po raz pierwszy w słowie i w piśmie, potwierdza swoje osobiste i nas wszystkich przywiązanie do „Wiadomości”, do Mieczysława Grydzewskiego, do Stefanii Kossowskiej, i do Nagrody, do jej idei naczelnej czyli pochwały talentu i wizji w piśmiennictwie, i do „szambelańskiego gestu rodzimych Medyceuszów”, wszystkich wiernych tej samej idei, a wśród nich najwierniejszego Jana Badeniego. Księgę o której mowa on też ufundował.

W sumie nowy rozdział do „wie romanceé” literatury polskiej. Nowe okno na nasze własne, bardzo polskie podwórko, z którego obu rękami czerpią jak z rogu obfitości polscy pisarze. Bo jest z czego czerpać.

„Tydzień Polski”, Londyn, 24 kwietnia 1993.

PRZECIWI ZOBOJĘTNIENIU

Zmarły niedawno, niezapomniany Prezydent Edward Raczyński, zostawił nam swoje piękne credo polityczne, w którym między innymi, często przypominał jedną ze swoich ulubionych tez, a mianowicie, że jednym z większych nieszczęść jakie może spotkać społeczeństwo jest zubożenie na to co je najbardziej dotyczy. Zarówno częste, choć krótkie wizyty w Polsce, jak i ostatnie wybory potwierdzają to dość dobitnie. Udział w tych wyborach zaledwie około 51% osób uprawnionych do głosowania i rozmowy z szeregiem ludzi w kraju ukazują nie tylko zubożenie szerokich mas społeczeństwa, ale nawet niechęć, specjalnie wśród młodszych pokoleń, do bardziej aktywnego udziału w tym z czego składa się ich życie codzienne.

Potwierdza to też, przez radykalny kontrast, ostatnio wydana książka Zdzisława Najdera „Jaka Polska. Co i komu doradzałem” (Editions Spotkania, Warszawa, 1993; Druk i oprawa Caldra House Ltd., Hove, England), na którą składają się dziennik autora i notatki z lat 1990/1992. Zdzisław Najder, urodzony w roku 1930, badacz literatury, filozof, publicysta, wybitny znawca Conrada, działacz polityczny, konspiracyjny i jawny, aktywny przeciwnik zubożenia,

włożył wiele intensywnej pracy i energii by w mniemaniu swoim i swoich politycznych przyjaciół, wyrzesać nową Polskę według istniejących możliwości. W tych pierwszych latach wszystkim się wydawało, że w gruncie rzeczy, zaczynając od początku, możliwości te były nieograniczone. Okazało się, że były one ograniczone z jednej strony ambicjami indywidualnych uczestników trudnej i zagmatwanej gry politycznej, a z drugiej, właśnie zubożeniem ogółu społeczeństwa. W każdym razie autor zaliczał się do grupy aktywnych. Było tych aktywnych wielu. Ważne jest ilu z nich załatwiała sprawy przeszłości a ilu przyszłości? Książka Najdera nie daje na to odpowiedzi, ale ukazuje jak widział on teraźniejszość.

Książkę otwiera fascynujący dokument: program konspiracyjnego Polskiego POROZUMIENIA Niepodległościowego ogłoszony 3 maja 1976 roku. Dokument ten, o którym już wiele pisano na emigracji (specjalnie w paryskiej „Kulturze”), jest niemal w dalszym ciągu fascynujący dlatego że w swoim tytule i założeniu używa terminu „porozumienie”. Była to w sumie niewielka grupa ludzi, wywodząca się z różnych środowisk, ale jednolita w zamiarach i celach. Twórcą grupy był sam autor, a pomyśl... *wziął się między innymi z poczucia potrzeby wyłożenia i uporządkowania powodów, dla których odrzucamy obecny ustrój i celów, jakie sobie jako Polacy stawiamy. Szło więc przede wszystkim o ułożenie programu w postaci listy celów ostatecznych, które sobie - świadomie, podświadomie czy też nieświadomie - stawiają, czy raczej stawiali wówczas Polacy.* Tak było w konspiracji. A jak to było na jawie?

Najder wyjechał z Polski do Oxfordu w październiku 1981 roku. W roku 1984 został zaocznie skazany na karę śmierci za konspiracyjną działalność polityczną. Z Lechem Wałęsą spotkał się po raz pierwszy podczas sierpniowego strajku w stoczni gdańskiej. Spotkał się z nim znowu w Paryżu w grudniu 1988 roku, a potem w Rzymie w 1989 roku. W rozmowach swoich z różnymi osobami towarzyszącymi Wałęsie, między innymi z Bronisławem Geremkiem, Najder w dalszym ciągu podtrzymywał tezę „porozumienia”, w którą niewątpliwie wierzył jako w jedną płaszczyznę pozytywnego administrowania Polską. Spotkanie z Wałęsą w Strasburgu i Brukseli w roku 1989, uważał Najder za zaproszenie na powrót do Kraju. Rozmowy z Wałęsą kontynuował w Düsseldorfie. Te spotkania z Wałęsą są, wydaje się, ważne bo ustawiają autora w bardzo ważnej konsekwencji jego „solidarnościowej” i „posolidarnościowej” pozycji. Pozycja ta jest

lojalna w stosunku do oryginalnej postawy „Solidarności”. 17 stycznia 1990 roku ukazał się oficjalny komunikat, zredagowany przez Geremka, cofnięcia wyroku kary śmierci... „z powodu braku popełnienia przestępstwa”. Państwo Najderowie wrócili do Polski 9 lutego 1990 roku. Od tego momentu zaczynają się rozmowy. Nie kończące się rozmowy, nie kończące się debaty, nie kończące się przekomarzania. W skrócie tej notatki nielatte do nawet najbardziej powierzchownego zrelacjonowania. Książka Najdera to encyklopedia ówczesnych i głównie już wczorajszych (po wyborach) i przyszłych (miejmy nadzieję) nazwisk, ich mniej lub więcej ważnych komentarzy czy opinii. I może w tym kryje się tej pracy największa zasługa, że dokumentuje okres, w którym działo się wiele, ale to co się działo było mniej ważne niż to co się nie działo. Może Najder i jego przyjaciele dążyli do porozumienia, może dążyli do scalenia jakichś bliskich czy choćby pokrewnych poglądów - i w braku dowodów przeciwnych należy to uznać za fakt. Niemniej, w świetle przedstawionych przez niego notatek (bo przecież jest to dziennik i na gorąco notowane zdarzenia) z tych niezliczonych rozmów, nie można oprzeć się wrażeniu, że historia tych trudnych polskich lat, składała się w większości z personaliów raczej niż z principiów.

Najder niewątpliwie brał czynny udział w samym sercu tego kłębowiska politycznych idei, sugerowanych i polecanych rozwiązań, rozmów i pertraktacji, o których pisze. Nie ma też wątpliwości, że cały czas podtrzymywał walkę z zobojętnieniem na rzeczy istotne. Temu ostatniemu dał przecież też wyraz w swojej pracy w radiu „Wolna Europa”. Są więc dwa główne motywy tej pracy i dwa z nich wnioski do dalszych rozmów. Motyw pierwszy to, że źródłem zobojętnienia jest o wiele za dużo rozmów jak pracować a za mało pracy. A drugi, to że rozmowy jeśli w końcu nie prowadzą do porozumienia, to pozostaje tylko silna ręka. W sumie pouczająca książka.

„Dziennik Polski”, Londyn, 16 października, 1993.

W POSZUKIWANIU DROGI

Pisząc o dwóch nowych książkach krajowych, które są komentarzami może najbardziej intensywnego życia publicystycznego, dobrze

jest sobie uprzytomnić jak głęboko literatura i publicystyka polska zareagowała na dzieło „Solidarności” i rok 1989. Pisarze, dziennikarze, historycy i naukowcy odetchnęli z ulgą na nieograniczone cenzurą pole działania. Pierwsza z tych nowych pozycji to „Między wyzwoleniem a zniewoleniem. Polska 1944-1956” Krystyny Kersten („Aneks”, Londyn 1993): *Książka ta, pisze autorka, obejmuje studia i eseje pisane w latach 1985-1990*, ale interesuje ją głównie to jak wytłumaczyć zarówno filozoficznie jak i psychologicznie zjawisko terroru totalnej władzy któremu uległo tyle mądrych i utalentowanych indywidualności. Jak się to stało i jak się to dzieje, że pomimo wewnętrznego oporu, pomimo logicznego zrozumienia na czym ten terror moralny i fizyczny polega, człowiek jest w stanie przyjąć go jako zło konieczne? Oczywiście nie wszyscy. Odpowiedzi szuka autorka we wszystkich objawach czynnego i biernego oporu. Ale te dwa sprzeczne sobie bieguny - myślowe i praktyczne - nie mogą dać ostatecznej odpowiedzi. Jest gdzieś ukryta jakaś prawda, której żadne historyczne wydarzenia nie mogą wytłumaczyć do końca. Jest ich po prostu za wiele. Ale jak powiedział kiedyś Bertrand Russell: *nie ma powodu, żeby przypuszczać, że prawda, jeśli ją znajdziemy, będzie interesująca*. Co jest interesujące to spojrzenie na to co wydaje mu się prawdą historyka, który potrafi umieścić fakty w perspektywie czasu.

Krystyna Kersten skończyła historię na uniwersytecie warszawskim w okresie komunistycznego terroru, w roku 1954. Zajmuje się najnowszą historią Polski. Pisząc z opóźnieniem o okresie dużo wcześniejszym, opiera się na swoich własnych przeżyciach i odczuciach. Swoje rozważania historyczno-moralne zaczyna od pytania często stawianego starym przez młodych: dlaczego nie walczyli bardziej czynnie ze zniewoleniem przyniesionym przez dyktat komunistyczny? Idąc śladami tego wątku, stara się dociec do warunków społecznych w jakich formowała się władza komunistyczna. Analizuje wypadki i reakcje, może chwilami nie doceniając w pełni kompletnego wyniszczenia kraju, gehenny przejść indywidualnych i zbiorowych w latach wojny. Ale analizuje szczegółowo, ze świadomością tego że odpowiedzialności za to co się stało nie można położyć na niczyich barkach, ale może jedynie na szali wydarzeń zupełnie od Polski niezależnych. Ponieważ na książkę Krystyny Kersten składają się felietony i eseje, stanowiące fragmenty jej zainteresowań historycznych, wymienionych powyżej, trudno jest skreślić ich treść czy też syntezę, poza tym że są to dokumenty spojrzenia na jeszcze jeden, nowy aspekt olbrzymiego

zagadnienia czy istnieje idealny porządek społeczny? Jak wydaje się, z dociekań autorki wynika niezbicie, że losy Polski, tak jak innych krajów w podobnej sytuacji, zależne są w dużej mierze od tego co się dzieje poza ich granicami.

Druga pozycja to Jerzego Jedlickiego „Źle urodzeni, czyli o doświadczeniu historycznym. Scripta i postscripta” („Aneks”, Londyn-Warszawa, 1993). Jako kierownik pracowni dziejów inteligencji w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk i wykładowca w warszawskiej Szkole Nauk Społecznych, szkice i artykuły tego autora wydają się bliższe doświadczeń literackich niż dociekań ściśle historycznych. Autor stwierdza na początku, że *jest to w końcu książka o osobistym naszym przeżywaniu dziejącej się historii*. Okres o którym tu mowa to lata 1976-1988. 12 lat w którym wydarzeniem najważniejszym było powstanie „Solidarności”, było odrodzenie walki, a co jeszcze ważniejsze, był człowiek, którego instynkt był wówczas nieomylny. I taki chyba pozostał.

Co do dziejów inteligencji, ilekroć spotykam ten termin albo w ujęciu naukowym, albo społecznym, czy czysto publicystycznym, jestem w kłopotcie. Czy mówimy o ludziach po maturze, czy o grupie społecznej, która umie czytać i pisać, czy też o osobach, które potrafią same myśleć i dochodzić do wniosków, a nade wszystko pojmować to co się do nich mówi. Bo jak zabrać się do dziejów inteligencji bez wyjaśnienia o jaką inteligencję chodzi. Przyjmijmy jednak, że chodzi o inteligencję pojmowania. Jeśli jesteśmy na właściwym tropie, autor pisał te szkice z myślą o szczeblach drabiny, która pomaga by się wspiąć na szczyty zrozumienia własnej pozycji, kiedy jest ona przyniesiona warstwami hamującymi jego wolność. W historii każdego narodu ścierają się pokolenia. W latach, w których dzieje się akcja szkiców Jedlickiego ścierały się nie tylko pokolenia, ale ścierały się idee równolatków. Więc, raz jeszcze, tak jak w książce Krystyny Kersten, znajdujemy dokumenty czasu, dokumenty w tym wypadku, o wiele bardziej osobiste, niemniej świadectwa zmagani człowieka myślącego z rzeczywistością, a jednocześnie z tym jak postępować? Uwagę moją zwrócił esej pt. „Honor i polityka”, ale bez „postscriptum”. Wyczułem w nim obawę o przyszłość i sporą dozę pesymizmu. W „postscriptum” autor potwierdził swój pesymizm, choć przyznał, że „Historia zaś sama przez się, jak wiadomo, niczego nie uczy. Uczy myślenia o historii i spierania się o nią”. Miałbym ochotę pospierać się z autorem nie o to, że historia się powtarza, ale o to, że

niczego nie uczy.

„Tydzień Polski”, Londyn, 4 grudnia, 1993.

KONIUNKTURY - DLA KOGO?

Świetna książka-dokument Timothy Garton Ash'a, dobrze nam znanego i wypróbowanego przyjaciela i obrońcy spraw Polski i Polaków, „In Europe's Name” (Jonathan Cape, London, 1993), stara się odpowiedzieć na dwa pytania: czy zjednoczone Niemcy stanowią pivot równowagi, i jeśli tak, czy stało się to dzięki ich „Ostpolitik”, niemalże od wojny aż po dzień dzisiejszy, czy też zupełnie niezależnie od polityki wschodniej? Że była to polityka czysto koniunkturalna, co do tego nie ma wątpliwości. Tak jak nie ulega wątpliwości, że politykom niemieckim chodziło w pierwszym rządzie o zjednoczenie Niemiec przez pokonanie przeszkód narzuconych przez podział Europy na Wschód i Zachód. Też książki jest, że dopiero wtedy kiedy stracili już nadzieję na urzeczywistnienie swoich dążeń, niespodziewanie dążenia te okazały się możliwe. Momentem krytycznym, w którym możliwości te po raz pierwszy zaistniały, jak się okazało później, była rewolta polskich stoczniovców w Gdańsku w sierpniu 1980 roku i dalszy rozwój wypadków w Polsce, aż do roku 1989, kiedy Polska stała się znowu niepodległym państwem europejskim. Ale w roku 1980 pewnie nikomu w Niemczech nie przyszło do głowy, że wypadki gdańskie mogą w rezultacie być punktem zwrotnym ich jak dotąd nieskutecznej od wojny „Ostpolitik”.

Jak pisze drugi, równie dobrze znany i wypróbowany przyjaciel Polski i Polaków, Neal Ascherson, w swojej recenzji z książki Garton Ash'a w „Independent on Sunday” 5 grudnia 1993, polskie wypadki w Gdańsku oburzyły wielu Niemców. „Solidarność” kwestionowała ich program popierający „zmianę od góry” i grożący zachwianiem „Ostpolitik”, prowokując sowiecką interwencję i umocnienie regime'u komunistycznego. Kiedy Jaruzelski ogłosił stan wojenny 13 grudnia 1981 roku, niektórzy Niemcy odetchnęli z ulgą. Niektórzy nawet gratulowali Jaruzelskiemu.

Książka Garton Ash'a wzniciła oburzenie w Niemczech. Niektórzy Niemcy uważali, że „Ostpolitik” uśpiła czujność Honeckera tak

dalece, że nie potrafił on ani przewidzieć, ani przeciwdziałać kryzysowi 1989 roku i dlatego unifikacja w roku 1990 się udała. Neal Ascherson nie zgadza się z autorem twierdząc, że jest to prawda, ale niezupełnie skrupulatna: „Ostpolitik” miała właśnie na celu uniknięcie kryzysu. Inni, a specjalnie socjaldemokratyczna opozycja niemiecka uważała, że uznając nowy stan rzeczy i opierając się przeciwko nuklearnemu dozbrojeniu Europy w latach osiemdziesiątych, dali Gorbaczowowi podstawy do przynajmniej częściowego rozbrojenia. Tak to widzi Neal Ascherson. Garton Ash przyjmuje, że amerykańskie pociski nuklearne Cruise and Pershing zmusiły Gorbaczowa do zredukowania uzbrojenia sowieców.

Peter Bender, jeden z najwybitniejszych intelektualistów „Ostpolitik”, jest dość przekonujący kiedy twierdzi, że kryzys 1989 roku był tylko możliwy dlatego, że „Europa”, a w gruncie rzeczy Polska jako pierwsza, zdołała zapobiec pełnej konfrontacji amerykańsko-brytyjskiej ze Związkiem Sowieckim, co było całkiem możliwe jako ewentualny rezultat ostrej polityki antykomunistycznej prezydenta Reagana i Małgorzaty Thatcher. Bender jest jednak w błędzie, jak mówi Neal Ascherson, uważając, że głębokie uczucia sympatii do Polski Garton Ash'a mają wpływ na to jak ocenia on Niemców. Ocena ta jest wynikiem realnego spojrzenia na to co Niemcy uważają za dobrą dla siebie koniunkturę polityczną. Przyznaje Niemcom zapobiegliwość polityczną i gospodarczą, ale co do równowagi europejskiej ma on pewne wątpliwości, które dostrzega mając dostęp do materiałów wskazujących na manipulacje pomiędzy Niemcami Zachodnimi i Wschodnimi w różnych okresach. Wydaje się, że jeśli mowa o równowadze europejskiej, musi ona być mocno podtrzymywana przez tych członków Unii Europejskiej, którzy mają dłuższe tradycje demokracji parlamentarnej. Główną tezę Garton Ash'a jest, że zwykli śmiertelnicy mają prawo buntu - nie dla wygody i nawet niebezpiecznie - przeciwko niesprawiedliwości i że ci którzy budują przeszkody na ich drodze w imieniu „europejskiego porządku pokoju” („European Peace Order”) mają ucho nieczule na pojęcie wolności.

Czy Garton Ash znalazł celną odpowiedź na pytanie czy dzisiejsze połączone Niemcy są osią Europy? Odpowiedź na to pytanie jest „tak”, ale z koniecznym komentarzem, że jeśli chodzi o Zachód, można to przyjąć chociażby ze względu na ich praktyczną organizację gospodarczą i na teoretyczną umiejętność ekonomiczną. Jeśli chodzi o Wschód, nie tylko historia stwarza trudności ze ścisłą odpowiedzią.

Równorzędną trudnością jest wielka wschodnia niewiadoma. Bo tak jak w latach osiemdziesiątych „Ostpolitik” była - jak się okazało - tak blisko związana z sytuacją Polski, dziś ta niewiadoma rozciąga się i na Rosję i jako na jej konsekwencje, na Polskę. W sumie więc, niemiecka „Ostpolitik”, dawna, mniej dawna i obecna jest nie tylko zależna od tego co niemieccy politycy wymarzą, ale jest bardziej dziś niż kiedykolwiek, zależna od wypadków na Wschodzie. A tu działać muszą szersze wpływy i z Zachodu i, kto wie?, może ze Wschodu. Książka Garton Ash'a jest głębokim i źródłowym studium (połowa jej to źródła i bibliografia zarówno jak notatki i komentarze do źródeł), pozycji Niemiec w Europie, jest historią kraju, który parokrotnie w historii Europy dominował nad nią, nie zawsze z pożytkiem dla niej, i narodu którego niektóre cechy charakteru stawiają go w pewnej izolacji zaufania w stosunku do narodów sąsiednich.

W świetle ostatnich wypadków i amerykańskiej „inicjatywy pokoju w Europie”, brzmiącej glucho w uszach wszystkich wschodnich sąsiadów Niemiec, pozostawiając jednocześnie Niemcom pełne zabezpieczenie zachodnie i członkostwo wszystkich najważniejszych zachodnich klubów, cywilnych i wojskowych i po zapoznaniu się z książką Ash'a Polak musi postawić pytanie „Zachód, Wschód, czy neutralność bez gwarancji?” W książce tej nie znajdzie odpowiedzi, ale znajdzie cały katalog nowych pytań.

„Tydzień Polski”, Londyn, 19 lutego, 1994.

PANI STEFANIA

Przyszły historyk emigracyjnej literatury i publicystyki polskiej dojrzy przy bliższym poznaniu ich dwa różne aspekty. Pierwszy, to piśmiennictwo pamiątnikarskie, wojenne i powojenne, zrozumiałe w danym okolicznościach, często powtarzające się w podobnych lub nawet identycznych szczegółach, wynikające z potrzeby dzielenia się przeżyciami, które dla każdego z autorów były wyjątkowe, pisane w pierwszej osobie, osobiste i w dużym stopniu dokumentarne. Taka była i jest większość tej literatury. Drugi aspekt to odwrotność pierwszego. Autorzy, pisarze, kronikarze, publicyści i dziennikarze i redaktorzy, których oczy i uszy zwrócone są do świata, który ich

otacza. Może to być świat polskości na obcej ziemi, może to być świat nie polski, ale ten, w którym żyją i pracują Polacy, a może też to być sama Polska. Tam przecież oddźwięk każdej emigracyjnej działalności literackiej był dla nich najważniejszy. Lata piśmiennictwa polskiego na obczyźnie to dorobek czekający polskiej gleby. Oba te aspekty łączy w swojej działalności - bez uszczerbku dla żadnego - dziennikarka z prawdziwego (przedwojennego zdarzenia), pisarka i redaktorka Stefania Kossowska.

Jej „Galeria przodków” (Tom 68 Biblioteki „Więzi”, Warszawa, 1991), którą mi przysłała z piękną dedykacją, była instynktownym powodem napisania paru słów o autorce choć zostały one dotąd w szufladzie. Zbiór ten wywołał z pamięci osoby, niektóre znane osobistości, inne nie, i przypomniał, że tylko pamięć o nich jest w stanie zaprzeczyć uczuciu samotności, które z biegiem lat wszystkich nas nawiedza. W tej „galerii” wzruszający jest ton i styl: ton bliskiej przyjaźni dla jednych, serdecznego zainteresowania nimi u innych, i styl winyty literackiej, która nie omija żadnych cech charakterystycznych osoby, a swoją formą intymności i darem obserwacji staje się przyczyną zainteresowania czytelnika. Jedną z ważniejszych cech pisarstwa Kossowskiej jest właśnie celność w informacji i poczucie jej potrzeby. Ona to wskazuje na rzetelny nerw dziennikarski - jej wybrany oryginalny zawód. Kossowska nazywa ten tomik zbiorem impresji drukowanych, między innymi, w londyńskich „Wiadomościach” i paryskiej „Kulturze”. Część ich znalazła się w dwóch wydaniach książkowych artykułów „Mieszkam w Londynie” (1964) i „Jak cię widzę tak cię piszę” (1973). Ta jej działalność, żywo obserwująca nasze emigracyjne otoczenie wskazuje na aspekt drugi emigracyjnej literatury.

Pani Stefania związana była niemal w ciągu całej swojej literackiej i dziennikarskiej pracy na obczyźnie z londyńskimi „Wiadomościami”. Zarówno przez współpracę jak i przez przyjaźń jej i jej męża Adama, znanego malarza, z Mieczysławem Grydzewskim, ich twórcą i redaktorem, i kiedy po jego śmierci, i późniejszej śmierci redaktora Michała Chmielowca, sama objęła ich redakcję. Prezydent Edward Raczyński, który uważał ją za wzór rzetelnej i szukającej prawdy dziennikarki, tak pisał w ostatnim, pożegnalnym numerze „Wiadomości” za marzec/kwiecień 1981 roku: *Ale szczególne miejsce w gronie zasłużonych należy się Stefanii Kossowskiej, która przez ostatnie lata była jednoosobową redakcją, administracją i orędowniczką*

„Wiadomości” [...] Do roku 1990 prowadziła też Nagrodę „Wiadomości” (1958-1990), najbardziej prestige'ową nagrodę literacką emigracji. Jej też zasługą i niezawodnego, długoletniego przyjaciela „Wiadomości” Jana Badeniego, jest wydana książka o nagrodzie „Od Herberta do Herberta” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1993). Ale nie na tym kończy się jej „orędownictwo”. Nie ma wątpliwości, że to dzięki jej niezachwianej wierze w istotę zjawiska „Wiadomości”, potrafiła ona wzbudzić zainteresowanie nimi wśród młodych historyków i polonistów w Kraju. Od momentu kiedy stało się możliwe, a nawet i wcześniej, w domu jej w Londynie zaczęli się zjawiać, przeważnie na jej zaproszenie, młodzi magistrzy i doktoranci łaknący informacji o „Wiadomościach” i o emigracyjnej literaturze. Jednym z rezultatów tych londyńskich wizyt jest książka Rafała Habielskiego pt. „Niezlomni, nieprzejednani: emigracyjne «Wiadomości» i ich krąg 1940-1981” (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1991). Tak pisze autor w przedmowie: [...] *Osobne podziękowanie winien jestem Pani Stefanii Kossowskiej, której życzliwości, wyjaśnieniom i wskazówkom książka zawdzięcza bardzo wiele.*

Pani Stefania jest też członkiem jury nagrody im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego za najlepszą książkę historyczną roku w języku polskim, obejmującą zarówno kraj jak i emigrację, i ufundowaną przez Polską Fundację Kulturalną. Jako redaktorka miesięcznej „Środy Literackiej” w „Dzienniku Polskim”, podtrzymuje kontakt z pisarzami żyjącymi i przypomina już dziś nieżyjących przez przedruki fragmentów ich cenniejszych dzieł, między innymi, słynnych komentarzy Mieczysława Grydzewskiego „Silva Rerum”, drukowanych w „Wiadomościach”. Warsztat literacki Stefanii Kossowskiej, wydaje się być zavalony jak zawsze rękopisami, korespondencją, a przede wszystkim pomysłami nowych inicjatyw, a wszystkie związane ze słowem polskim.

Krótki ten i niepełny szkic powstał oryginalnie ze wzruszeń po przeczytaniu „Galerii przodków”, więc wracam do tej książki, bo może nie jest ona zbyt szeroko znana na emigracji. Jest w niej synteza poszukiwania ludzkiej prawdy i w niej - delikatnie nakreskowana - tęsknota do młodości w Polsce, dawnych czasów i przeżyć, domu rodzinnego i bliskich. Ale nie jako sentymentalna podróż po własnym życiu, ale wspomnienie tego co życie to zyskało przez osoby, o których w niej mowa. To jest jej wyrazem i obliczem literackim. Razem z pięknym i prostym językiem daje odczuć bliższą znajomość ludzi

i tego co z siebie dali i dają. Rozdział o znakomitym choć kontrowersyjnym pisarzu Józefie Mackiewiczu zaczyna się tymi słowami: *Józef Mackiewicz, najbardziej kontrowersyjny pisarz we współczesnej literaturze polskiej, był obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nie jest to informacja z rubryki paszportowej, lecz może główny klucz do jego życia i twórczości.* A kończy się: [...] *Mackiewicz pisał po polsku, ale przedstawiając się na konferencjach międzynarodowych - jak pisze Barbara Toporska (jego żona) we wstępie do zbioru „Fakty, przyroda i ludzie” - narodowość swą określał: „antykomunista”.* Esej ten napisany był w roku 1985. Wolny pisarz, zwłaszcza na emigracji i w czasach złych, musiał podjąć pewne obowiązki by za takiego zostać uznanym. Stefania Kossowska przyjęła te obowiązki w pełni.

„Tydzień Polski”, Londyn, 23 kwietnia, 1994.

POLSCY HISTORYCY W HOŁDZIE EDWARDOWI RACZYŃSKIEMU

Rzadko się zdarza, żeby w pośmiertnym hołdzie osobie wybitnej i głęboko zasłużonej znalazły się wszystkie elementy tego co Mu było najdroższe i co Go najbardziej w czasie długiego życia interesowało. Edwardowi Raczyńskiemu najdroższa była Polska a interesowały Go najbardziej jej dzieje, specjalnie w dziedzinie polityki i dyplomacji. Historycy polscy, przy wsparciu Polonia Aid Foundation Trust w Londynie, taki Mu właśnie hołd oddali w zbiorowej pracy naukowej „Z dziejów polityki i dyplomacji polskiej. Studia poświęcone pamięci Edwarda hr. Raczyńskiego Prezydenta Rzeczypospolitej na wychodźstwie” (Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa, 1994 r.

Waga naukowa tej pracy, jej cel i myśl przewodnia wymagają wymienienia wszystkich 28 autorów poszczególnych esejów (w porządku, w którym występują w książce): Aleksander Gieysztor, Anna Sucheni-Grabowska, Zbigniew Wójcik, Józef Andrzej Gierowski, Jerzy Michalski, Andrzej Zahorski, Stefan Kieniewicz, Jerzy Skowronek, Stanisław Bóbr-Tylingo, Adam Galos, Włodzimierz Suleja, Władysław Stępnia, Piotr Łossowski, Janusz Cisek, Piotr Wandycz, Maria Nowik-Kielbikowa, Henryk Byłhak, Janusz Pajewski, Michał Jerzy

Zacharias, Stanisław Biegański, Marek Baumgart, Wojciech Rojek, Stanisław Gregorewicz, Józef Łaptos, Anna Cienciała, Marian Zgórnjak, Mieczysław Nurek i Jerzy Kłoczowski. Eseje ułożone są chronologicznie poczynając od średniowiecza, a kończąc na czasach najnowszych i są rezultatem aktualnych badań historycznych, i wynikających z nich konkluzji. Każdy esej opatrzony jest wyczerpującymi notatkami bibliograficznymi. Wstęp, podpisany przez Komitet Redakcyjny, zawiera krótką biografię Edwarda Raczyńskiego i poprzedza faksimile listu Dyrektora Instytutu PAN Prof. Dr. Stanisława Byliny z podpisami Komitetu Redakcyjnego do Edwarda Raczyńskiego z 19 grudnia 1991 roku (w stulecie urodzin E. R.), zawiadamiającego o przygotowaniu Księgi Jubileuszowej, i faksimile odpowiedzi Edwarda Raczyńskiego z podziękowaniem za życzenia i zapowiedziane wydawnictwo. Otwierają książkę „Uwagi o sukcesji historycznej w Europie Środkowo-Wschodniej i Wschodniej” Aleksandra Gieysztorra, może wybór niezupełnie przypadkowy bo przecież Edward Raczyński wiele lat dyplomatycznej działalności poświęcił sprawie stosunków polsko-czeskich i roli Polski w Europie Środkowo-Wschodniej, zarówno w czasie kiedy był delegatem Polski przy Lidze Narodów i potem, już w Londynie, jako ambasador R. P., minister spraw zagranicznych i Prezydent R. P. na obczyźnie. Książkę zamyka praca Jerzego Kłoczowskiego „Oskar Halecki i jego walka o miejsce Polski w Europie”, znowu podobny temat ale ujęty na szerokiej międzynarodowej i między-mocarstwowej płaszczyźnie. Pomiedzy tymi dwoma esejami książka ma w sobie wielkie bogactwo materiału, nowych koncepcji i nieograniczone pole do dalszych, pewniejszych kroków nowej polskiej dyplomacji i polityki zagranicznej, opartych na doświadczeniach dawniejszej i nowszej przeszłości.

Z tego bogactwa wybieram temat specjalnie bliski Edwardowi Raczyńskiemu. Wybieram go w tym krótkim omówieniu ze względu na jego niczym dzisiaj nie zmniejszoną aktualność. Piotr Wandycz pisze w książce esej „Trzy próby poprawy stosunków polsko-czechosłowackich 1921-1926-1933”. Jak się okazuje były trzy odrębne inicjatywy nawiązania przyjaznych stosunków pomiędzy Polską a Czechosłowacją. Pierwsza, w roku 1921, inicjatywa Konstantego Skirmunta (późniejszego posła R. P. w Londynie i przelożonego Edwarda Raczyńskiego w okresie jego pierwszego służbowego pobytu w Londynie), którą zakończył układ podpisany 6 listopada 1921 roku. Głębsze porozumienie polsko-czechosłowackie nie zostało jednak

osiągnięte. Druga inicjatywa to oficjalna podróż do Pragi ministra spraw zagranicznych R. P. Aleksandra Skrzyńskiego 13 kwietnia 1926 roku. Wynikiem tej inicjatywy była umowa handlowa, choć jej osiągnięcie nie było łatwe. *Inicjatywa trzecia* - pisze Wandycz - *jeśli słowo inicjatywa jest właściwym określeniem* - różniła się zasadniczo od poprzednich. W okresie 1926-1933 stosunki nasze z Czechosłowacją pogorszyły się. Wynikły w siatce stosunków międzynarodowych posunięcia nieprzychylnie do bliższych kontaktów, ale głównie każda nowa inicjatywa grzęzła w rezultacie w obopólnej niechęci. Byłoby interesujące nowe szczegółowe opracowanie przez Piotra Wandycza czwartej inicjatywy powziętej z wielkim zapalem i z nadzieją owocowania przez Edwarda Raczyńskiego w Londynie w latach wojennych 1939-45 i bezpośrednio powojennych, kiedy miał on ścisłe kontakty z Prezydentem Edwardem Beneszem (do momentu kiedy przyjął on zaproszenie do prezydentury „nowej” Czechosłowacji) i jego wiernym ministrem spraw Zagranicznych Janem Masarykiem. (19 stycznia 1986 roku w Londynie, jako końcowy akt czwartej inicjatywy, Prezydent R. P. Edward Raczyński podpisał w imieniu Polski deklarację polsko-czechosłowacką, która zmierzała do zacieśnienia wzajemnych stosunków jako pierwszego niezbędnego kroku na drodze do zjednoczonej Europy Środkowej. Ze strony czeskiej deklarację podpisał prof. Mojmir Povolny, przewodniczący Rady Wolnej Czechosłowacji). Były obietnice, były plany, były nawet dobre chęci. Co było przyczyną, że nigdy nie doszło do rzetelnej współpracy, mimo tak na nią logicznych i praktycznych warunków, żeby nie powiedzieć konieczności?... Czy była to może, w dalszym ciągu oparta na niechęci, czy może politycznej naiwności, podskórna konkurencja o bliższe stosunki z mocarstwami zachodnimi?

Wydaje się niesprawiedliwe omawianie prac zbiorowych kiedy z konieczności nie można omówić - tak jak by należało - wszystkich zawartych w nich materiałów. Jak tu wybrać? W tym wypadku myślę, że choć wszystkie opracowania można uznać za związane ściśle z zainteresowaniami Edwarda Raczyńskiego, są niektóre związane bliżej z Jego osobą. Do takich też należy praca Adama Galosa „Z dziejów myśli konserwatywnej w Wielkopolsce (z korespondencji Stanisława Turny)”. Edward Raczyński często w rozmowach i wywiadach lubił wracać myślą do wielkopolskiego konserwyzmu, z którego wyszedł, i z którego go „wyleczył” Kraków. Do podobnego rodzaju należą też prace Stefana Kieniewicza „Dwa memoriały

Atanazego Raczyńskiego z lat 1819 i 1827”, stryjecznego dziada Edwarda i Michała Jerzego Zachariasa „Polityka zagraniczna Polski wobec zagrożenia ze strony Niemiec i Związku Sowieckiego w okresie międzywojennym”, w którym autor uważa za moment przełomowy pakt o nieagresji z Niemcami Józefa Piłsudskiego z 25 lipca 1932 roku i pisze: *Pozornie mogło się wydawać, że oba te układy (25 lipca 1932 roku i deklaracji o niestosowaniu przemocy z Niemcami 26 stycznia 1934 roku) staną się trwałym czynnikiem stabilizacji stosunków Polski z sąsiadami i ogólnej sytuacji politycznej w Europie Wschodniej... Fakty wskazują, że Piłsudski nie podzielał tych nadziei. Godność tej książki, a nade wszystko piękny ukłon i gest polskich historyków i tych którzy tę wspomniała inicjatywę poparli (Polonia Aid Foundation Trust w Londynie), oddających hold człowiekowi, który do tworzenia współczesnej historii tak głęboko się przyczynił, ukazuje jak należy dbać o narodowe skarby i tradycje. Edward Raczyński świetnie znał swój naród, oceniał właściwie wszystkie narodowe zalety i wady a swój własny romantyzm łączył z praktycznym poczuciem rzeczywistości. Uważał też studia historyczne za najlepszą szkołę sztuki dyplomatycznej i politycznej. To zrozumieli, czy może wyczuli, autorzy książki, dziękując za Jego owocne życie praktycznym przypomnieniem historii. Historia to konfrontacja przeszłości z terażniejszością. Nie należy w niej szukać łatwych czy natychmiastowych rozwiązań. Ale pomaga w wyciągnięciu właściwych wniosków przez analogie.*

„Tydzień Polski”, Londyn, 14 maja, 1994.

TRZECI FRONT LORDA BETHELL

Nicholas, Lord Bethell, urodził się w lutym 1938 roku, czyli niecałe 2 lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jego wydane właśnie wspomnienia („Spies and Other Secrets. Memoirs From the Second Cold War”, Viking, London, 1994), obejmują całą gamę katastrofalnych skutków jej przedwczesnego zakończenia. Jest to rzecz o Rosji sowieckiej Stalina i jego następców, o Polsce pod stalinowskim jarzmem i pod gomułkowskim parasolem po roku 1956, o tych co z Rosji uciekali i o tych którzy zostali z niej wydalenii, o tych których

oskarżano o szpiegostwo i o tych którzy rzeczywiście nimi byli, ale nade wszystko o terrorze totalitarnym władzy. I o tym jak ta władza zniewala... ale nie wszystkich. Bo oto z wiary - w co Bethell nigdy nie wątpił - i z samozaparcia, powstała wolność. Ta też miała początki trudne, ale Bethell i jemu podobni na Zachodzie, oddani bez reszty sprawie samostanowienia narodów, pomogli w miarę swoich możliwości. Bethell kreśli drogę od terroru do wolności Europy Centralnej i Wschodniej na podstawie swoich przeżyć i swojej pracy. A także do trwającego jeszcze procesu wolnościowego w Rosji. Torował tę drogę przez uświadamianie Zachodu, przez publicystykę, przez kontakty z osobami oficjalnymi i nieoficjalnymi mającymi wpływ na bieżącą politykę rządu brytyjskiego, a także sprawując funkcję posła do parlamentu europejskiego z ramienia partii konserwatywnej w Izbie Lordów, gdzie starał się zaszczerpieć podobne idee wśród rządów zrzeszonych tam państw europejskich.

Nicholas Bethell ma w życiu trzy pasje. Intelktualną jego pasją jest Rosja, a specjalnie jej historia, język i literatura, a w gruncie rzeczy fascynuje go rosyjska osobowość (rosyjska dusza?). Pasja ta pochłonęła go już w szkole średniej (Harrow), a jej rozkwit nastąpił w Pembroke College w Cambridge. Drugą jego pasją jest bezwzględna walka z tyranią dyktatury. Jako młody student był pierwszy raz w Rosji w roku 1959. Stalina już nie było, ale to co widział i to z czym się zetknął odebrał jako wezwanie do akcji przeciwko terrorowi i tyranii. Trzecią jego pasją jest obrona praw człowieka pod każdą szerokością geograficzną. To w jego mniemaniu jest posłannictwem wszystkich ludzi dobrej woli. W akcji tej, której poświęcił wiele lat, czasu i energii, utrzymywał bliskie kontakty z opozycją w Polsce, Czechosłowacji, w Rosji, w Afganistanie, w Południowej Afryce, w Rumunii, i nawet w Albanii. Jego pozycja w jego własnym kraju dawała mu też oczywiście dostęp do sfer rządzących w tych krajach. A więc z jednej strony podtrzymywał opozycję a z drugiej starał się różnymi sposobami wpływać na dyktatorów tyranii, by uwierzyli w prawdziwą demokrację. On sam wierzył, że ziarno do ziarna...

Z Polską i polskimi sprawami zetknął się autor po raz pierwszy też w Cambridge. Poglębiając swoje zainteresowania, a może nawet nową „pasję” do - jak uważał pokrzywdzonego narodu polskiego - z większą już łatwością po nauce rosyjskiego przyszła kolej na język polski. Jak twierdził, Polacy do których zwracał się po rosyjsku, traktowali go podejrzliwie. Jeśli więc chciał ich bliżej poznać musiał

zmienić podejrzliwość w zaufanie. Przyszło mu to łatwo nie tylko dlatego, że miał zdolności do języków, ale także dlatego, że Polacy i losy Polski też go fascynowały. W roku 1962 Bethell został członkiem zespołu redakcyjnego (sub-editor) „Times Literary Supplement” i w ten sposób zdobył praktyczną platformę swojej działalności. Wkrótce potem (1964-67) mógł rozszerzyć zakres tej działalności obejmując stanowisko redaktora działu dramatycznego radia BBC. Jak wynika z jego wspomnień wołał platformę polityczną z wolnej stopy. Autorzy zachodni, z małymi wyjątkami (Neil Ascherson, Anne Applebaum, Timothy Garton Ash), na ogół mają trudności ze zrozumieniem i oceną ciągłych konfliktów politycznych w Polsce od roku 1989. Może dlatego, że jest ich za wiele i za dużo wagi przywiązują oni do wypowiedzi coraz liczniejszych polityków o małym zapleczu poparcia. Nie należy do nich Bethell. Należy on raczej do tych wymienionych wyżej wyjątków z jednym ważnym uzupełnieniem: dużej dozy historycznej wiedzy, tolerancji i bardzo angielskiej umiejętności odróżniania rzeczy ważnych czy istotnych od mniej ważnych. W czasie swojej pierwszej wizyty w Polsce w roku 1960, zaproszony przez Eryka Infelda, kolegę z Cambridge, jest zaszokowany i zaniepokojony głębokim żalem do Brytyjczyków o podpisanie układu jałtańskiego, wyrażonym przez spotkanych Polaków w formie niemal błagania o pomoc. Ta pierwsza wizyta stała się zapałnikiem wszystkich dalszych działań autora w naszych sprawach.

Bethell żądał sprawiedliwości dla Polski. Cierniem w jego mniemaniu był Katyń i polityka brytyjska wobec otwartej obłudy i hipokryzji sowieckiej, trzymającej atut drugiego frontu jako kryterium ważniejszego od sprawiedliwości. A koroną cierniową była Jalta. Książka jego, choć to osobiste wspomnienia, stara się odpowiedzieć na ważne pytanie historyczne czy wojna potoczyłaby się inaczej gdyby Katyń spowodował konfrontację pomiędzy aliantami? Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nie miały już w roku 1941 wielkich wątpliwości co do autorów zbrodni katyńskiej, ale tylko wtajemniczeni (a było ich niewielu) pokrywali ich brak politycznym milczeniem. Jest to, rzecz prosta, pytanie retoryczne, ale historyk w następstwach posunięć politycznych musi szukać uzasadnienia każdej wyrządzonej niepotrzebnie krzywdy. Sprawa mordu katyńskiego leżała na sumieniu ich sprawców i tych milczących od roku 1940 do 1992. Jak pisze autor wspomnień, „Nareszcie, 50 lat za późno, można powiedzieć, że została w całości ujawniona”.

W dalszej dyskusji spraw polskich, rozdział pt. „Poland as a Russian Colony” („Polska jako kolonia rosyjska”), autor patrzy na Polskę oczami praktycznego obserwatora. Pisze, że polubił Polskę w czasie wielokrotnych wizyt w latach sześćdziesiątych. W roku 1968 stracił trochę sympatii dla niej. Trzy powody były tego przyczyną. Pierwszym była kampania antysjonistyczna po 6-dniowej wojnie izraelsko-arabskiej, drugim brutalna represja protestu pisarzy i studentów w marcu 1968, a trzecim udział Polski w inwazji Czechosłowacji 21 sierpnia 1968 roku. W latach sześćdziesiątych musiał więc autor albo wierzyć, że w ostatecznym rozwiązaniu opozycja może kiedyś doprowadzić do pięcioprzymiotnikowych wyborów i przy wsparciu Zachodu stać się narodem suwerennym. Albo uważał, że nawet w sytuacji w której Polska wtedy była, zdoła stać się narodem niezależnym od sowieckiego sąsiada. Oczy otworzyła mu znowu tyrania inspirowana przez tego samego sąsiada. Minęły znowu lata konwulsji, okres starć opozycyjnych, stan wojenny. 4 czerwca 1989 roku Solidarność wygrała wybory do sejmu. 28 sierpnia tego roku, premier nowej, już wolnej Polski, przyjął Lorda Bethell i prosił o pomoc ekonomiczną Wielkiej Brytanii. Lord Bethell był znowu szarą eminencją czy może emisariuszem dobrej woli obu stron. I w tym jego wielka zasługa, że świadomie i konsekwentnie bronił interesów i strony, która mu zaufała (Polski) i strony, którą reprezentował, choć nieoficjalnie (Wielkiej Brytanii). Według starej brytyjskiej tradycji dyplomatycznej, że niezależny obserwator o bystrym oku i wnikliwej ciekawości, to najlepsza gwarancja dobrej informacji. Bethell zrozumiał dość wcześnie na jakie konflikty polityczne i społeczne narażony będzie naród polski po 1989/90 roku. Zrozumiał też trudności, których nie zaślepiła euforia pierwszych miesięcy wolności. Dał tego dowód w licznych artykułach w prasie brytyjskiej, głównie w londyńskim „Daily Mail”, jakby uzupełniając swoje wspomnienia. Ewentualną pomoc Zachodu dla Polski widział w bardziej praktycznych formach niż sami Polacy. Widział, że nie tylko „handel, przemysł i finanse” będą dla Polski jedynym kryterium, nawet na krótką metę. Oceniał właściwie, że polityczna „obsługa”, czyli bezpieczeństwo, nowo zdobytej wolności jest ważniejsze.

Nie ma nic łatwiejszego niż opatrzeć bliskich nam Brytyjczyków epitetem „przyjaciół Polaków” (W indeksie książki na 483 hasła, 36 dotyczy Polski i Polaków). W stosunku do autora tych wspomnień byłoby to niewystarczające. Lord Bethell obserwował rzeczowo, słu-

chał pozytywnie, oceniał nasze wady z sympatią i, co najważniejsze, potrafił te nieliczne zalety jakie mamy, użyć lepiej niż my sami, argumentując na rzecz Polski wśród Brytyjczyków. To już nie tylko przyjaźń, ale romantyczna miłość.

„Tydzień Polski”, Londyn, 31 grudnia, 1994.

NA TLE ŻYWEJ HISTORII

Historyk współczesności, który potrafi połączyć podobne dzieje wielu pokoleń i związać je w punkt kulminacyjny, który pamiętają jeszcze żyjący jego uczestnicy - to badacz wnikliwy. Historyk ten potrafił też być dokładny w skomplikowanym kryzysie polityczno-militarnym pomiędzy Polską i Związkiem Sowieckim w dwóch odrębnych okresach: 1939-1941 i 1942-1948, a może bardziej specyficznie 1943-1945. Jest nim Keith Sword, autor „Deportation and Exile. Poles in the Soviet Union, 1939-1948: Studies in Russia and East Europe” (St. Martin's Press, London - New York, 1994; In association with School of Slavonic and East European Studies University of London). Okres 1939-1941, może najintensywniejszy czas deportacji, mordów (Katyń) i zsyłki ludności cywilnej, połączony z militarną okupacją dużej części kraju, omówiony jest, tak jak wszystkie okresy, dokładnie z podaniem dokumentacji i statystyk. Ogólnie biorąc, okres 1942-1948 obejmuje różne etapy. Rok 1942 jest sam w sobie okresem przełomowym: był to rok pierwszych dwóch ewakuacji wojskowo-cywilnych (rodziny) do Persji, czyli początek Armii Polskiej na Wschodzie gen. Władysława Andersa. Lata 1943-1945 uznać można za okres najczarniejszy. W roku 1943 nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy rządem polskim w Londynie i Związkiem Sowieckim. A ponadto, w tymże roku powstał oficjalnie Związek Patriotów Polskich (ZPP), złożony z czołowych polskich aktywistów komunistycznych (Wanda Wasilewska, Aleksander Korniejczuk, Hilary Minc, płk. Zygmunt Berling, Stefan Jędrzychowski i inni), czyli późniejszy (1946) polski rząd w Lublinie pod protektorem Związku Sowieckiego. Autor zajmuje się też sporadycznymi repatriacjami obywateli polskich do kraju i w latach 1944-1948 (specjalnie 1944-1945), i stara się zgłębić kontrowersyjne i politycznie dyktowane

zasady na jakich oparte były sowieckie przepisy o obywatelstwie polskim. Zasada była jedna, a opierała się ona w zarysach ogólnych tak: „Nie wszyscy dawni obywatele polscy mieli prawo powrotu do Polski”. Jeśli dodać do tego specyficzną zdolność sowiecką do bezduśnej, i często brutalnej samowoli rozrzuconej po całym olbrzymim terenie kraju urzędniczej biurokracji, interpretacja tak ogólnej zasady w poszczególnych wypadkach (czasem kwestia życia i śmierci), pozwalała sobie na najbardziej nawet idiotyczne odchylenia. Chodziło oczywiście o mieszkańców Litwy (Wileńszczyzny), Białorusi i Ukrainy... i polskich ich części okupowanych przez Związek Sowiecki od 17 września 1939 r.

Nawiązując do pierwszych słów tego omówienia, książkę Sword'a można by nazwać punktem kulminacyjnym, albo bardzo istotnym przyczynkiem do stosunków polsko-rosyjskich. Autor podkreśla w przedmowie fakt, że każda generacja Polaków zesłana na stepy i tundry rosyjskie w latach 1832, 1864, 1906 i 1940/45, rozpoznawała i spotykała Polaków z generacji wcześniejszej, która znalazła się w takim samym położeniu. Kulminacją tego stanu rzeczy jest przecież okres rozpadu Związku Sowieckiego w latach 1989/90, a więc może deportacje opisane przez autora i niewątpliwie najgwałtowniejsze i najliczniejsze ze wszystkich poprzednich, staną się końcowym i niepowrotnym aktem historii naszego sąsiedztwa z Rosją? Poruszenie przez niego istnienia tego niemalże automatycznego cyklu powtarzających się wypadków w życiu obu narodów - przemocy silniejszego nad słabszym - i wynikających z tego stanu rzeczy stosunków pomiędzy nimi, jest elementem, który pomoże czytelnikowi anglosaskiemu zrozumieć jak głęboko sięga podział polityczny, etniczny i kulturalny pomiędzy Rosją i Polską. Choć nie jest to głównym tematem książki, jest to dobitna ilustracja, czy nawet synteza jej dokumentarnej treści.

Deportacje wojenne Polaków do Rosji, choć zakończyły się częściowo pozytywnie przez wydostanie w roku 1942 armii Andersa i wielu tysięcy rodzin cywilnych, kobiet i dzieci, w sumie musiały się zakończyć dla narodu polskiego tragicznie. Do dziś dnia nie wiadomo dokładnie ile osób zmarło w łagrach, obozach i posiołkach, ile osób jeszcze zostało i w jakich warunkach. Informacje dochodzą coraz ściślejsze, niemniej cały obraz deportacji, egzekucji, procesów karnych, likwidacji delegatur cywilnych i mężów zaufania opiekujących się cywilnymi wysiedleńcami, pogorszenia się ich stanu po zawieszeniu stosunków dyplomatycznych - dopiero z czasem uda się może

zrekonstruować z dokumentów rosyjskich, które ocalały po wojnie. Lista materiałów, którymi rozporządzał autor wskazuje na ich źródła. Większość to źródła polskie i brytyjskie.

Keith Sword jest historykiem nie politykiem. Temat jego książki i jej opracowanie nie może jednak pominąć aktów politycznych, przetargów dyplomatycznych, a wśród nich faktycznych różnic pomiędzy opiniami osób, które wówczas grały wybitne role. Sword opisuje fakty rzeczowe i nie wdaje się w ich ocenę. Jest jednak na tyle wyczulonym pisarzem, że czytelnik szybko spostrzeże dla której z wielkich osobistości na arenie historii ma on uczucia bliższe, może nawet darzy ją sympatią, a do której ma stosunek obojętny. W grupie pierwszej naczelne miejsce zajmuje gen. Władysław Anders, którego słusznie uważa za głównego autora pierwszych dwóch najważniejszych ewakuacji Polaków z Rosji, wbrew opozycji nie tylko sowieckiej i wbrew trudnościom jakie piętrzyły się na każdym kroku, nie pomijając specjalnych żądań generała w stosunku do ludności cywilnej (rodzin i innych), i dążenia by osiągnąć maximum liczbowe każdej ewakuacji zamykając oczy na obostrzenia sowieckie. W grupie drugiej, niemalże potępia postępowanie Stanisława Kota, ambasadora Polski w Kujbyszewie w momencie dla nas może najbardziej krytycznym. Trudno się nie zgodzić z autorem co do obu kategorii.

Jeśli nasi brytyjscy przyjaciele i gospodarze, czy inni anglosascy czytelnicy, orientują się w deportacjach sowieckich z Polski, to mają pewnie na uwadze te głośnie, takie jak Katyń i inne, które miały miejsce w okresie 1939-1941. Jest pewnie właściwe mniemanie, że o deportacjach Polaków po zawieszeniu polsko (Londyn) - sowieckich stosunków dyplomatycznych w r. 1943, mają niewiele wiadomości. Specjalnie, kiedy jako „alianci” sowieci deportowali w latach 1944-1945 członków Polskiej Armii Krajowej. Niewiele też pewnie wiedzą o ściśle politycznie motywowanej repatriacji przeszło miliona Polaków pomiędzy 1944-1948, zaludniając przede wszystkim poniemieckie prowincje na Zachodzie i Północy Polski.

Książka Sword'a jest rzetelnym przyczynkiem do niekończącej się dyskusji o braku stabilizacji w Rosji. Jest więc aktualna bo pośrednio zwraca uwagę na jeszcze niezupełnie zauważony problem możliwości masowej imigracji na Zachód z obszaru Rosji, nie tylko europejskiej ale innych wschodnich, południowych i północnych dawnych sowieckich republik. Jest to problem groźny dla Polski i dla Zachodu.

„Tydzień Polski”, Londyn, 18 marca, 1995.

ALMANACH RYCERSKI
(„THE FORGOTTEN FEW”)

Utarło się powiedzenie, że w drugiej wojnie światowej lotnictwo przejęło rolę dawnej kawalerii. Jest w tym dużo prawdy, może nie tyle ściśle taktycznej ile odpowiadającej temperamentowi walki indywidualnej. Nie odnosiło się to tylko do pilotów myśliwskich, walczących w pojedynkę ale i do załóg bombowych, bo czy krótko czy długo dystansowe były walki, łączyły ich te same intencje i te same ambicje. Dziś, w pięćdziesiątą rocznicę zakończenia działań wojennych w Europie, historyk i pisarz Adam Zamoyski stara się w swojej nowej angielskiej książce „The Forgotten Few. The Polish Air Force In the Second World War”, przekroczyć próg zapomnienia wśród naszych anglosaskich przyjaciół. Czy rzeczywiście trzeba przypominać? Z książki Zamoyskiego wynika, że odświeżenie pamięci jest na czasie i nie ulega wątpliwości, że nie tylko z powodu mijającego półwiecza. Mijają też pokolenia, których dzieci i wnuki zawdzięczają wiele zakończeniu działań wojennych 8 maja 1945 roku. W dużej mierze dzięki lotniczemu kawalerii, w której znamienny był udział polskich lotników.

Ale powodów jest więcej. Zakończenie samych działań wojennych nie było zakończeniem polskiej walki o wolność i suwerenność. Skończyło się strzelanie i bombardowanie, ale zaczęło się to czego polscy lotnicy, żołnierze i marynarze mieli prawo oczekiwać od naszych aliantów. Zacierają się też w pamięci sytuacje w jakich polscy lotnicy znaleźli się na tej wyspie, skąd pochodzili i jakie były ich losy nim do tej wyspy dotarli. I wtedy kiedy zabrano im skrzydła. A nade wszystko jak bez wielkiego przygotowania, na nieznanym sprzecznie, nie znając w większości wypadków języka (Zamoyski przytacza słynne już dziś nieporozumienia pilotów z Flying Control i polskie komentarze pomiędzy pilotami w powietrzu), włączali się z niemalże sportowym zacięciem w walki powietrzne na śmierć i życie. A więc odtworzenie tego pięcioletniego okresu, czegoś co było więcej niż braterstwem broni jest potrzebą chwili. Udział Polaków w tej walce był zawieszony na słowie honoru. A było to słowo honoru nigdy w takiej formie nie wypowiedziane, bo o honorze mówić nie trzeba. Ani wątpić. Wystarczy że jest.

Lotnicy polscy mają w Wielkiej Brytanii i na Zachodzie wielu

przyjaciół. Nie tylko pośród braci lotników wśród których walczyli. Ale jest nas i równych nam pokoleń coraz mniej. Almanach lotniczy Zamoyskiego przy udziale i oparty na ustnych i pisanych wspomnieniach uczestników walk powietrznych i lotów bombowych, pełen szczegółów, dykteryjek, ale też i nieznanymi ogólnie faktów, będzie dla tych przyjaciół oddaniem im naszych wspomnień do ich własnego lamusa, w którym okażą się nierozłączne z ich własnymi wspomnieniami. Niektórzy z nich mają półpolskie rodziny (Zamoyski z humorem i gustem opisuje nieme ale pełne gestykulacji romanse i romansiki polskich lotników... w okolicach Nottingham, Lincoln, Newton, Blackpool, Faldingworth, Spalding, Bramcote...), więc nie polskość jest w nich i nikt im jej nie odbierze. A Almanach powie im więcej o nich samych niż wiedzą teraz. Nasze polskie dzieci i wnuki, wyrosłe w tym świecie, odnajdą w książce źródła intencji ich ojców i dziadów. A co więcej, ta sama nieść połączy ich może z brytyjskimi kuzynami. Nigdy nie wiadomo jaki będzie tego rezultat skoro dane było to niewymówione słowo.

Jak pisze autor, nie było jego zamiarem napisanie pełnej historii lotnictwa polskiego. Niemniej książka jego jest miniaturą historyczną w jak najszerszym tego słowa znaczeniu: jest w niej treść ściśle historyczna czyli fakty, które nie wymagają komentarzy, bo mówią same za siebie, i wspomnienia i przeżycia osobiste wielu, którzy brali czynny udział w tych faktach. Spis źródeł jest wyjątkowo obszerny a bogaty indeks wskazuje na szeroki wachlarz osób związanych tak czy inaczej z tematem. To, że jest to miniatura a nie sucha historia, daje łatwość czytania. Zamoyski, znając dobrze angielską idiosynkrazję do nadmiaru pochwał i powszechnego heroizmu, uchwycił w pół drogi jedno i drugie koncentrując się na indywidualnych doświadczeniach lotniczych. Nie sposób cytować tu nawet ich drobną część, ale może wystarczy taka ilustracja: W roku 1942 dywizjony myśliwskie, między innymi polskie, dostały oprócz zwykłych zajęć, zadania dodatkowe. Dotyczyły one ochrony bombowców. Operacje te miały nazwę „Ramrod”. W jednej z wczesnych tego rodzaju operacji brał udział 315 dywizjon „Dęblin” w ramach I Skrzydła „Northolt” i 2 Skrzydła „Exeter”. Eskortowali oni formację bombowców typu „Blenheim” w operacji nad Arras. *After dropping their bombs, the formation turned back towards England. At that moment, somebody from the Exeter Wing shouted through the radio: „Wladek, look out, there's a Messerschmitt on your tail”. At that, all the „Wladeks” in the wing,*

and there were quite a few of them, boosted their engines and dived down through the lower squadrons, sowing confusion. In an attempt to avoid collision, 315 descended lower and got in amongst the bombers. The Exeter Wing followed the „Wladeks” and left the formation altogether for a while. But presently 315 returned to its old position covering the Blenheims. Luckily, the Messerschmitts hanging up above did not notice anything and did not attack (Po zrzućeniu bomb, formacja zawróciła z powrotem ku Anglii. W tym momencie ktoś ze Skrzydła „Exeter” krzyknął przez radio: „Władek! uważaj, masz Messerschmitta na ogonie”. Na to wszyscy „Władkowie” w Skrzydle, a było ich całkiem sporo, dodali gazu i nurkując poprzez niższe dywizjony, sieli zamieszanie. Starając się uniknąć kolizji, 315 zniżył lot i wmieszał się pomiędzy bombowce. Skrzydło „Exeter” pośpieszyło za „Władkami” i opuściło chwilowo formację. W tym momencie 315 wrócił na swoją poprzednią pozycję ochrony „Blenheimów”. Szczęśliwie, piloci Messerschmittów lecąc wysoko nic nie zauważyli i nie zaatakowali). Autor wyczuwa instynktownie jak włączyć humor i patos w potoczny język angielski, który daje obraz atmosfery przy oszczędnym użyciu słów.

Kronika działań wszystkich polskich dywizjonów daje w formacie książki maximum informacji potrzebnych do zrozumienia i oceny roli jaką spełniali w tej wojnie. Przybliża też i daje do poznania charakter i osobowość jej uczestników. Zamoyskiemu udało się to co było jego staraniem pisząc tę pracę. Udało mu się rozproszyć mroki pamięci i przypomnieć, że choć prawdziwe bohaterstwo nigdy nie oczekuje nagrody, ani nawet o niej nie myśli, ale ma prawo oczekiwać, że wspólne zwycięstwo, oparte na braterstwie broni na polu bitwy jest niepodzielne.

Adam Zamoyski, *The Forgotten Few. The Polish Air Force in the Second World War*, London, John Murray, 1995; s. 239.

„Tydzień Polski”, Londyn, 13 maja, 1995.

DWIE NOWOŚCI „ANEKSU”

Norman Davies interesuje się sprawami polskimi od dawna, bada je dokładnie i stara się być bezstronny w swoich ocenach. Równocześnie jest troskliwy o przyszłość Polski do tego stopnia, że boleje nad tym, że nie można nawet dzisiaj przewidzieć jej politycznego kształtu. Pisząc - prawdopodobnie w roku 1995 - wstęp do polskiego wydania „Serca Europy” (przekładu „Heart of Europe. Short History of Poland”, wydanego w angielskim oryginale po raz pierwszy przez Oxford University Press, 1984; w polskim wydaniu przez „Aneks” Publisher, Londyn, 1995), przypomina, że 72 lata temu [...] *Polska nie tylko odzyskała niepodległość, ale w rekordowym tempie ustanowiła system demokratyczny: wybory parlamentarne odbyły się już po trzech miesiącach, w styczniu 1919 r., nową konstytucję uchwalono w marcu 1921 r. dwa lata później. A to wszystko przy konieczności obrony państwa w latach 1918-1921, kiedy Polska została zaatakowana przez wrogów... W latach 1989 nie było obcej inwazji na ziemie polskie, za to było mało entuzjazmu. Okres walki o niepodległość, zainicjowany przez „Solidarność” w sierpniu 1980 r. zakończył się po 11 latach i 2 miesiącach. Ale dziś, po wygranej batalii, nie słychać dzwonów wieszczących ostateczne zwycięstwo.*

Autor tak dobrze poinformowany o historii Polski i o jej dzisiejszej sytuacji, zarówno domowej jak i w stosunkach zagranicznych, nie jest, rzecz prosta ani pesymistą ani optymistą. Jego celem jest zwrócenie uwagi czytelnika - w tym wypadku polskiego - na wiszący nad Polską znak zapytania. Wynika on nie tylko z polskiego charakteru (vide „Krótka historia Polski”), ale także z nieprzewidzianego przez oryginalną „Solidarność” zapалу do gry politycznej, która dała nagle tak olbrzymie pole działania oderwanym przez lata od życia politycznego obywatelom. Norman Davies tego nie mówi, ani po polsku ani po angielsku, bo jako historyk patrzy na fakty jako na jedyne konkretne wskaźniki czasu, w którym mają one miejsce. Nie wypisuje recepty na to jak i kiedy mają dzwony „wieszczyć ostateczne zwycięstwo”, ale sugeruje fakt, że nie było też milczenia. Mówi o swarach dopiero co uwolnionych partii politycznych, a jednocześnie podkreśla „ciągle odczuwalny nacisk komunistów”.

Cudzoziemcy piszący o Polsce, a specjalnie historycy i Brytyjczycy, mają tendencję do sentymentalnego angażowania się w sprawy polskie i swoich polskich przyjaciół. Norman Davies nie jest wyjąt-

kiem, choć wiemy wszyscy, że jest gruntownym znawcą naszych mocniejszych i słabszych cech. I że prace jego oparte są na rzetelnych podstawach naukowych. Ale jeśli jakieś sentymenty grają rolę w jego ocenach, to są to może zawiedzione nadzieje. Między wierszami książki, a zwłaszcza przedmowy i wstępu do wydania polskiego, wyczuć można żal, że Polska nie zajmuje dziś należnego jej miejsca w Europie.

Nie jest może przypadkiem wydawniczym, że „Aneks” uznał za stosowne wydać niemal jednocześnie książkę polskiego socjologa Edmunda Lewandowskiego („Charakter narodowy Polaków”, „Aneks” Publishers, London 1995). Duża to hiperbola, ale obie te książki podświadomie się uzupełniają. Tematem Lewandowskiego jest analiza zachowania się Polaków w różnych etapach historii narodu i odpowiedź na pytanie dlaczego zachowywali się tak a nie inaczej. Jak wskazują przypisy praca oparta jest na poważnej ilości źródeł historycznych i literackich. Podobieństwo jej, a może nawet pokrewieństwo z książką Normana Davies'a, tkwi w cechach charakteru narodowego. Charakter narodowy ujawnia się chyba głównie w sposobie reagowania na mające w danym momencie miejsce zjawiska nas dotyczące i na wypadki historyczne, na które albo mamy wpływ albo nie. A także wielkim polem tych reakcji jest egzystencja w zbiorowości. Czy reagujemy inaczej w samotności a inaczej wśród innych? Tam gdzie Norman Davies stawia milczący znak zapytania nad przyszłością Polski, tam Lewandowski stara się odpowiedzieć na pytanie do jakiego stopnia charakter narodowy jest za ten znak zapytania odpowiedzialny.

Uwagę moją zwrócił specjalnie rozdział III książki Lewandowskiego, któremu dał on tytuł „Charakter narodowy Polaków w świadomości własnej i obcej”. Mówi on o wadach i zaletach charakteru, właściwie o takim jakby ogólnym rachunku sumienia. Rozdział omawia z bliska i specyficznie wszystkie „grzechy” główne i przybliżone, ale stwór jakim jest człowiek, stwór tak nieskończenie skomplikowany, nie daje się uszeregować tak jakby tego pragnął socjolog Lewandowski. Ale mimo to, choć nie sposób omówić tego w skrócie, osiąga może pierwszy stopień wtajemniczenia przez sam fakt, że się nad tym tematem zastanawia. Nie wydaje się, że książka odpowiada na pytanie czy charakter narodowy może być za cokolwiek odpowiedzialny. Wiemy, że charakter narodowy jako pojęcie istnieje, ale ma w końcu tyle indywidualnych wariantów i odskoczeń, że ogólny obraz

charakteru można tylko odtworzyć w bardzo szerokim wachlarzu, albo - odwrotnie - w bardzo ściśle określonym zakresie cech najbardziej podstawowych. Tak jak istnieje wiele cech typowych, tak musi przecież istnieć nieskończoność nietypowych.

„Tydzień Polski”, Londyn, 17 czerwca, 1995.

HONOROWY „MODŻAHEDIN”

Radek Sikorski należy do świetnej pary polskich pisarzy-reporterów, którzy zdobyli światową sławę jako podróżnicy w poszukiwaniu prawdy. Drugim jest Ryszard Kapuściński. Celem obu jest znalezienie źródła konfliktów ludzkich, przyczyn rewolucji społecznych i poparcie wszelkich ruchów wolnościowych. Mimo to są różni. Kapuściński obserwuje, notuje i dociera do faktów, choć niekoniecznie do konkluzji. Sikorski idzie dalej: bierze czynny udział tam gdzie jest to możliwe, niekiedy z bronią w rękę i używając jej, a głównym jego motorem jest wsparcie idei walki o wolność uciemzonego kraju. Dla niego konkluzja jest logiczną koniecznością. Jest nią w tym wypadku to, że powstańcy afgańscy nigdy nie wątpili w ostateczne zwycięstwo. Na każdym kroku więc jego instynkt jest instynktem Polaka urodzonego w roku 1963, który od szkolnej młodości brał też czynny udział w akcji przeciwko obcemu systemowi w jego własnym kraju. Na marginesie światowego rozgłosu oryginału jego książki po angielsku („Dust of the Saints. A journey to Herat in time of war”, Chatto & Windus, London 1989), znamienne jest to, że praca polskiego pisarza weszła bez trudu do wielkiej międzynarodowej literatury politycznej. Jest to dla polskiego autora wyjątkowe wyróżnienie i jest niewątpliwie rezultatem szerokiego światopoglądu człowieka koncentrującego się na narodzie mu bliskim ideowo ale nie swoim własnym. Sam zasięg rozgłosu sprawił, że dziś jest on znany w świecie jako współpracownik amerykańskich „National Review”, „The Wall Street Journal” i angielskich „The Economist” i „The Spectator”. W tym ostatnim triumfy publicystyczne dzieli on ze swoją żoną Anne Applebaum, Amerykanką, członkiem zespołu redakcyjnego tego pisma, której wycucie spraw polskich jest oparte na tych samych zasadach co wycucie jej męża do spraw afgańskich. Pomiedzy głębokim uczuciem

i rozumną lojalnością.

Pierwsze polskie wydanie książki pt. „Prochy Świętych. Podróż do Heratu w czas wojny” (Polonia Book Fund Ltd., London 1989), poprzedziło wydanie obce, poprawione i opatrzone uzupełniającymi przypisami, w przekładzie Grzegorza Sowuli (Wydawnictwo Alfa, Warszawa, 1995). Sowiecka inwazja Afganistanu była dla całego cywilizowanego świata ostrzeżeniem. Niestety, ostrzeżeniem, z którego nie wyciągnięto żadnych praktycznych wniosków. Pisano wiele o starciu dwóch kultur, o religijnych i moralnych prześladowaniach, o mordach, o podstępnych działaniach różnych grup politycznych od dawna przekupionych przez komunistów rodzimego hodu i tych z Sowietów. Jaka silna była wola tych co przeciwko temu walczyli opowiada Sikorski w uczuciu bliskiego z nimi pokrewieństwa. Mówi o nich „powstańcy” - „modżahedini” i określenie to nie wymaga komentarza. Poświęca też wiele uwagi specyficznej im kulturze wiary tak blisko związanej z kulturą pojęcia wolności. W tych to bojujących o wiarę i o wolność widzi autor niezłomną lojalność docelową.

Sikorski znalazł się w Anglii jako uchodźca polityczny na skutek stanu wojennego Jaruzelskiego. Tu śledził z emocją i zainteresowaniem odległą wojnę w Afganistanie. Był pełen podziwu dla ruchu oporu, który znowu zmusił jakiś inny naród do oparcia się sowieckiej inwazji. Wydawało się, że tym razem opór miał szanse powodzenia. Pierwszą podróż do Afganistanu odbył w lecie 1986 roku zdając sobie sprawę z tego, że przyda się jako reporter prawdziwych wyczynów armii sowieckiej w tym kraju, jako odtrutka na sowiecką i prosowiecką propagandę. Powstańcy mieli wielu ochotników by strzelać do komunistów ale o wiele za mało broni do strzelania. Był wtedy dwukrotnie w głębi kraju. Za pierwszym razem uczestniczył w partyzanckiej zasadzce na drodze łączącej Kabul z Dżalalabadem. Potem był miesiąc w górskiej bazie Abdula Kadira i towarzyszył jego oddziałowi w ataku na lokalny garnizon. Brał też w tym okresie udział w pierwszej potyczce. W roku 1987 był gotów by przejść do okupowanej części kraju. Droga jego wiodła do Heratu, trzeciego co do wielkości miasta Afganistanu. Tak zaczyna się fascynująca opowieść. Droga do Heratu (blisko granicy z Iranem) w czasie kiedy miasto było okupowane przez sowiety i powrót do Kabulu w roku 1989 by być świadkiem odwrotu wojsk sowieckich. I wreszcie emocjonalny powrót do Heratu po zwycięskiej wojnie, w której nieunikniony rezultat wierzyli tylko powstańcy. Cały świat był raczej sceptyczny a byli nawet

tacy w Europie i w Ameryce którzy byli przygotowani pogodzić się z losem... W czasie trwania tej wojny cichy „appeasement” by nie drażnić wilka z lasu był tylko o krok od pozostawienia powstańców samym sobie. Szczegółowe studium źródeł z jakich powstańcy dostawali pomoc orężną i inną byłoby interesujące choćby ze względu na podział pomiędzy tymi którzy pomagali otwarcie i tymi, którzy robili to ukrywając swoją tożsamość.

Język Sikorskiego jest żywy i dynamiczny jak przystało na reportaż z krwawej wojny. Jego literackość polega na dramatycznych napięciach akcji. A katalizatorem całości jest respekt autora dla odwagi i poświęceń powstańców afgańskich i to, że dzielił on z nimi bez wątpliwości wiarę w zwycięstwo. Przypomnienie, przez drugie wydanie książki, tego ważnego epizodu naszej współczesności, który powinien nasycić ludzkość nadzieją, jest ważne, bo podobne konflikty mają dziś miejsce w wielu częściach świata. Książka Sikorskiego jest ilustracją przemocy i wysiłku na jaki musi zdobyć się przedmiot tej przemocy, żeby ją zwalczyć. Nie ludźmy się, że taki sam czy podobny epizod nie może się powtórzyć i to wtedy kiedy jest najmniej spodziewany. Jest ich w historii pełno.

„Tydzień Polski”, Londyn, 1 lipca, 1995.

POLITYKA I HONOR

Nie jest łatwe odpowiedzieć w skrócie na pytanie „o co właściwie chodzi w polityce?” W polityce nie ma skrótów, tak jak nie ma skrótów w rozumieniu demokracji, równości pomiędzy ludźmi, współpracy pomiędzy grupami społecznymi i nawet narodami. Jeśli jednak taki skrót wyda się potrzebny, to jedyną odpowiedzią na to pytanie może być doświadczenie osoby, która całe życie praktykowała naukę zbliżenia pomiędzy ludźmi i studiowała ich potrzeby, ambicje i dążenia na tle równie ważnych potrzeb, ambicji i dążeń narodu. Lidia Ciolkoszowa, tak jak jej mąż, wybitny polityk i pisarz Dr Adam Ciolkosz, nie tylko praktykowała naukę wspólnego dobra społecznego, społecznego porządku i równouprawnienia, ale na dnie jej zamiarów i celów politycznych i publicystycznych leżała myśl, że o najwyższe ideały społeczne i polityczne można i trzeba walczyć. Tak jak o niepo-

dległość swego kraju. Jedno z drugim jest nierozzerwalnie związane w doświadczeniu długiego życia Lidii Ciołkoszowej.

Aktywna paryska oficyna wydawnicza oo. Pallotynów „Éditions du Dialogue”, w serii „Świadkowie XX wieku” opublikowała „Spojrzenie wstecz Lidii Ciołkoszowej” (Paryż, 1995). Wydanie książki zbiegło się z dniem 93 urodzin autorki. Tom składa się z rozmów z autorką nagranych na taśmę magnetofonową i rozpoczętych w roku 1988 kiedy Jakub Karpiński, Irena Lasota i Jan Chodakowski byli rozmówcami autorki wspomnień. W roku 1990 odpowiadając na pytania Andrzeja Friszke, autorka zdała relację z całego swego życia. On też był redaktorem tomu. Życie to miało dwa główne nurty: mąż Adam Ciołkosz i razem z nim Polska Partia Socjalistyczna, ta tradycyjna, pełna ideałów, patriotyczna, a jednocześnie pracująca, wspomagająca, walcząca. Ciekawy szczegół z dzieciństwa już na samym początku przypomina, że w roku 1907, w Łodzi, kiedy autorka miała 5 lat, uczestniczyła w pierwszej demonstracji swego życia i to przeciwko... Julianowi Tuwimowi. Był on o parę lat starszy od niej, chodził do gimnazjum rosyjskiego (a nie jak autorka do polskiego) i był łamistrajkiem w czasie słynnego strajku szkolnego. Towarzyszyła w tej demonstracji starszym kuzynom i namówiona przez nich. Krzycząc z zapalem „łamistrajki!” i biegnąc za Tuwimem, słowo to było jej wtedy obce. Ale nie na długo. Słowo i jego głębsze znaczenie polityczne w tradycjach PPS miało sens wiele mówiący, ale wtedy raczej niewłaściwy, negatywny. Było ono symbolem braku lojalności wobec często wówczas nieosiągalnych i zbiorowych ideałów społecznych i politycznych.

W 1920 roku Lidia Ciołkoszowa zaczęła studia polonistyczne i historyczne we Wszechnicy Jagiellońskiej i wstąpiła do PPS. Wybór Krakowa i Uniwersytetu Jagiellońskiego podszeptła jej, jak się wydaje, legenda Legionów. Tam poznała klimat tolerancji politycznej i tam dojrzało jej zaangażowanie społeczne. We wczesnych latach tego stulecia socjalizm, a może w gruncie rzeczy równowaga społeczna, był potrzebny by zjednoczyć wszystkie stany ku walce o niepodległość Polski. Socjalizm Józefa Piłsudskiego i bliskich mu bojowników o wolność, był tego samego pokroju. W pierwszych latach wolnej Polski musiał z konieczności nabrać innych orientacji. Stał jednak zawsze w obronie tych, którzy najbardziej potrzebowali politycznego i społecznego poparcia. Wynikła z tego Polska taka jaka była w dwudziestoleciu niepodległości. A że opozycja jest nieodzowna

częścią dobrze zrozumiałej i doświadczonej demokracji, Polska Partia Socjalistyczna była wielokrotnie w tym czasie w opozycji. W rozdziale III wspomnień zatytułowanym „Koleiny wydarzeń”, mowa jest o latach trzydziestych. Państwo Ciołkoszowie byli razem we władzach naczelnych PPS. W rozdziale tym jest dużo o koloniach dla dzieci bezrobotnych, członków związków zawodowych lub dzieci bezdomnych. Były tam też miejsca dla dzieci ojców siedzących w więzieniach. Był to okres, który Pani Lidia wspomina ze specjalnym wzruszeniem. Emocja wspomnienia, w którym współczucie nigdy nie pozostaje bezradne. Była to robota na skalę tego właśnie idealnego porządku politycznego, za który PPS chciał być odpowiedzialny. Krzewienie oświaty wśród tych, którzy jej potrzebowali najbardziej, jest zawsze polem mało zrozumianym i niebezpiecznym bo wzbudza wątpliwości co do motywów. Rzecz prosta, jak zwykle w takich sprawach, byli tacy, którzy widzieli wszędzie, w każdej pracy socjalnej, ręce krwawych komunistów. 1917 rok był tak niedawno... warto w tym miejscu przytoczyć fragment wprowadzenia Andrzeja Friszke: [...] *Ten szczególnie (u autorki) splot lewicowości i antykomunizmu, postawy pryncypialnie niepodległościowej i demokratycznej* [...] Czyż „splot”? Co do postawy - zgoda. Ale splot może przypominać węzeł. A więc jeśli zgodzimy się na „splot” to trochę tak jakby były wątpliwości. Opowieść Lidii Ciołkoszowej o jej życiu nie pozostawia żadnych wątpliwości. Oczywiście lata trzydzieste przyniosły wiele rozczarowań i wiele niesprawiedliwych posądzeń i oskarżeń. Mąż Adam był więźniem brzeskim. Wyszedł z twierdzy brzeskiej jesienią 1934 roku i natychmiast wrócił do działalności politycznej. Szykany polityczne nie były im obce aż do września 1939 roku.

Politycznie i aktywnie bogate było życie państwa Ciołkoszów w czasie wojny we Francji i w Anglii, i potem na emigracji w Londynie. Wydział zagraniczny PPS powstał w Paryżu już w styczniu 1940 roku. Adam Ciołkosz stał się jednym z jego głównych działaczy. Po ewakuacji do Anglii został członkiem Rady Narodowej czyli wolnego parlamentu polskiego za granicą. W następnym etapie, była autorka nie tylko też członkiem ale i wiceprzewodniczącą tego ciała. Pani Lidia była członkiem Komitetu Zagranicznego PPS, Rady Politycznej i Rady Jedności Narodowej, i brała czynny udział w ich pracach jak też w wielu innych organizacjach pomocy, opieki i oświaty. Jednym z największych polskich wstrząsów politycznych w czasie wojny, dzięki któremu nastąpił głęboki rozłam w polskim życiu politycznym trwają-

cy przez wiele lat, był pakt Sikorski-Majski z lipca 1941 roku. Jako rezultat tego rozłamu, uformowały się ostatecznie „...dwie orientacje polityczne”. Jednej przewodził gen. Sikorski, a drugiej gen. Sosnkowski. W tej drugiej, obok Augusta Zaleskiego, Władysława Raczkiewicza, Adama Pragiera, Tadeusza Bieleckiego, Władysława Folkierskiego i Zygmunta Nagórskiego znalazł się Adam Ciolkosz. A więc w niej oto znaleźli się w jednym „klubie” politycy związani dawniej z obozem rządzącym, endecy, część socjalistów i niektórzy liberalni ludowcy. Sytuacja istotnie wyjątkowa jak na nasze stosunki. Autorka słusznie poświęca wiele miejsca temu ważnemu fragmentowi polskiego życia politycznego w czasie wojny. Podkreśla w ten sposób to w co zawsze wierzyła tradycyjna niepodległościowa PPS, że nadrzędnym celem każdej akcji politycznej jest bezwzględne dobro narodu, a w tym konkretnym impasie wojennym, jego absolutna wolność. 30 maja 1940 roku Adam Ciolkosz tak pisał w liście do Oskara Lange: [...] *Rosję Sowiecką uważamy za czynnik obiektywnie reakcyjny i najwyższy czas, aby poza symboliką jeszcze na pozór socjalistyczną dojrzeć prawdziwe oblicze Sowietów na wskroś imperialistyczne, a przez to i reakcyjne.*

Wzruszające są wspomnienia osób, których osiągnięcia życiowe nie tylko owocują społecznie czy politycznie przez wiele lat, ale też osobiście. Po pierwsze małżeństwo Ciolkoszów było nierozłączne jako rodzina, ale też równie nierozłączne we wspólnej pracy ideowej. Cel osiągnięty przez męża był też celem osiągniętym przez żonę. Dzieło ich obojga zapisane jest w historii Polski XX wieku. Szczęście tej rodziny podważyć musiała na długie lata tragiczna śmierć w Londynie jedyne go syna Andrzeja. Pani Lidia, otoczona przyjaźnią i szacunkiem ze wszystkich stron polskiego społeczeństwa, wszystkich jego warstw, wszystkich przekonań i kierunków politycznych, w kraju i na obczyźnie, jest dziś dożywotnią przewodniczącą Rady Naczelnej PPS, wybraną na pierwszym Kongresie wolnej PPS w Warszawie w roku 1990. Jest też centralną postacią życia politycznego i kulturalnego polskiego Londynu. Jej wspomnienia są nauką i encyklopedią naszej historii współczesnej. Przez rozdziały książki przewijają się jak w kalejdoskopie nazwiska wszystkich tych, którzy budowali Polskę, a potem nią rządzą, ale co może ważniejsze, pokazują wysiłek i dzieło pokolenia, które wyszło spod dwóch zaborów, przeszło dwie wielkie wojny, aby zobaczyć słońce nad Wisłą. Trzeba mieć nadzieję, że członkowie tego pokolenia nie doświadczą rozczarowania.

„Tydzień Polski”, Londyn, 15 lipca, 1995.

ALCHEMIA WILEŃSKA

Jakże bogata była międzywojenna literatura polska! Mowa o literaturze beletrystycznej i jej wielu kuzynach i kuzynkach, czyli o wierszowanej fraszce i o bardziej lub mniej tajemniczej satyrze. Od czasu do czasu zdarzały się jej niecodzienne odchylenia w postaci utworów specjalnych, które mogły na wiele lat pobudzać nigdy w pełni nie nasycone apetyty, historyków literatury, polonistów i krytyków. Do tych należały zagadki literackie, parodie i humoreski i różne *curiosa*. Czasem inspirowane przez literatów atakujących ze złośliwym humorem uczulonych na swój talent pisarski braci po piórze. Zdarzało się, że taka zagadka, satyra czy parodia rodziła, nawet po latach, więcej tomów i artykułów usiłujących zagadkę rozwiązać niż oryginalne pojawienie się jej w druku. Na bogactwo międzynarodowej aktywności literatury polskiej wskazuje rodzynek wyjątkowy autorstwa badacza literackiego Wacława Lewandowskiego, pisarza z Bydgoszczy, pt. „«Wileńska powieść kryminalna» Felicji Romanowskiej”. Autorstwo jej ubrałem w cudzysłów tak samo jak starannie się ukrywający w cieniu tajemnicy poliszynela autentyczni autorzy powieści, mimo że w książce Lewandowskiego cudzysłów, choć domniemany, jest o wiele bardziej dyskretny. Książka składa się z krótkich, ale pełnych szczegółów biograficznych autorów, omówienia literacko-dziennikarskiej genezy „Wileńskiej powieści kryminalnej” i kilku „spraw” wileńskich, dokładnych i koniecznych przypisów do wstępu, tekstu samej powieści i przypisów do niej. Poza powieścią, całość pióra Wacława Lewandowskiego.

Autorami tego utworu-zagadki są pisarze nielada: Józef Mackiewicz, Jerzy Wyszomirski, Stanisław Mackiewicz (Cat) i Walerian Charkiewicz. Był on drukowany w odcinkach w „Słowie” wileńskim (redaktor Cat-Mackiewicz) w roku 1933. Treść samej powieści byłaby banalna i mogłaby się na pierwszy rzut oka wydawać prowincjonalnie naiwna gdyby nie to, że występują w niej w większości znane autentyczne i żyjące wileńskie postacie. A więc nie banal a parodia. Jest wojewoda, jest starosta, jest komisarz policji, jest właściciel kawiarni Rudnickiego, jest cukiernia Sztralla, jest całe grono aktualnych profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego, są pisarze i pisarki, jest dyrektor radia i działacz kulturalny, i inni, słowem śmietanka kulturalna, polityczna i administracyjna Wilna lat trzydziestych. Cała rzecz jest fikcją, ale niezupełnie. Jest parodią na wileńskie stosunki

w tych sferach, ukazuje z jednej strony prowincjonalizm, a z drugiej głębokie przywiązanie do wyjątkowej kultury tego środowiska, gdzie może bardziej do serca niż gdzie indziej i bardziej otwarcie brano drobne ludzkie śmieszności. Wilno w całej swojej historii nigdy nie było pozbawione prawdziwych talentów. Ale też nigdzie może nie były one w tak ciągłych zapasach kto lepszy i kto większy, niż właśnie w Wilnie. W sumie cała książka jest o wyjątkowej „mafii” artystycznej i politycznej Wilna - miasta tak wysoko stojącego kulturalnie i literacko i żyjące w tak ścisłej bliskości osób i spraw, na niewielkiej powierzchni, w ciepłe niezmiennych dni i nocy, ale gdzie spierały się na ostro tak bardzo różnorodne poglądy i temperamenty. „Wileńska powieść kryminalna”, to kłębowisko przyjacielskich i mniej przyjacielskich intryg politycznych i artystycznych, które wyszły spod czterech piór arcy mistrzów szermierki słownej. Ale kto był przedmiotem głównym tej satyry?

Fabula samej powieści nie jest w gruncie rzeczy ważna. Dotyczy porwania małej córeczki wojewody. Śledztwo napotyka na wiele nieprzewidywanych i mniej lub więcej fantastycznych i raczej nie bardzo prawdopodobnych powikłań. W rezultacie, choć córeczka się znajduje w zupełnie innych okolicznościach niż te, które można było przewidywać, zakończenia ani pointy właściwie nie ma. Autorzy sugerują dwie alternatywy, obie tak samo niedorzeczne jak fabuła powieści, choć o centymetr od prawdopodobieństwa. No i żart trzeba było zakończyć. Ale nie w tym mieści się pointa oryginalnego zamiaru autorów. Zamiarem ich było wzniecić pożar w kłębowisku wileńskiej sfery intelektualnej. Myślę, że pożar trwał jeszcze pewnie przez następne 6 lat i że dopiero naprawdę ugasił go o wiele większy pożar drugiej wojny światowej.

Książka Lewandowskiego jest niecodzienna jako przyczynek do historii literatury dwudziestolecia i też dlatego, że odkrywa rąbek tajemnicy czym zajmowali się wielcy pisarze, żeby pokrzepić swoje własne temperamenty i wrzucić kij w mrowisko tam gdzie mógł on narobić najwięcej wrzawy. Jak się dowiadujemy, powieść ukazała się też w 1993 roku w wydaniu książkowym, ale nie figuruje w spisach dzieł żadnego z jej autorów. (Z wyjątkiem biogramów Cata-Mackiewicz i Jerzego Wyszomirskiego w uzupełnieniach i sprostowaniach „Słownika współczesnych pisarzy polskich”). Nie chcieli się do powieści przyznać. Może dlatego i żeby zmylić ślady, (które tak dobrze maskowali w powieści), w książce znalazła się fotografia „Felicji

Romanowskiej” (źródło nieznane), której twarz razem z zalotnym uśmiechem mógłby się łatwo składać z dwóch różnych połączonych ze sobą negatywów. Dolna część twarzy jakoś nie bardzo odpowiada górnej. A więc, kto zacz?... Wątpię jednak by w Wilnie jakakolwiek tego typu tajemnica mogła się uchować dłużej niż 5 minut. Poszlaki to co innego, tak jak w powieści. Przysługa literacka Lewandowskiego polega też na jego skrupulatnych przypisach. Są one kopalnią rzetelnych informacji i pozwalają świetnie odtworzyć atmosferę Wilna, która przetrwała aż do wojny. Wszyscy czterej autorzy nie potrzebują przy tej okazji specjalnego komentarza: są znani szeroko i nie można by ich zbyć jednym zdaniem. Pisano już o nich wiele. Każdy z nich z osobna zasłużył na gruby tom.

Józef Mackiewicz, Jerzy Wyszomirski, Stanisław Mackiewicz, Walerian Charkiewicz „*Wileńska powieść kryminalna Felicji Romanowskiej*”: wstępem i przypisami opatrzył Wacław Lewandowski, okładka Andrzej Krauze, KONTRA, Londyn, 1995.

„Tydzień Polski”, Londyn, 26 sierpnia, 1995.

KRESY: DRAMATIS PERSONAE

Książka Anne Applebaum-Sikorskiej „*Between East and West*” („*Między Wschodem i Zachodem*”) odkrywa w scenie za sceną, dramat historyczny i kulturalny najmniej znanej na Zachodzie części Europy. Odkrywa Kresy. Pokazuje zmiany historyczne i etniczne. Potwierdza groźną zaborczość silnych przeciwko słabym. Ale nie popełniamy błędu: nie jest to „*vie romancée*” nieznanego kraju czy obszaru ziemi. Ani nie jest to wybielanie historii. Jeśli co, to jest to potwierdzenie jej wiekowego krwawienia. Dominuje kolor czerwony, co najmniej przez większą część XX wieku. Ani nie jest to książka czysto podróżnicza, choć tak się może na pozór wydawać. Jest to książka o niespokojnych czasach w jakich żyjemy, o tym, że Kresy zawsze żyły w niepokoju, a więc o poszukujących swojej tożsamości niespokojnych i strwożonych ich mieszkańcach. Niepokój ten wywoływany był tak często przez zmiany graniczne, przesiedlanie ludności i nienaturalne przemieszanie tych co na tych ziemiach zostali.

Opowieść tej wyjątkowo utalentowanej Amerykanki, obserwarki, pisarki, dziennikarki i Polki przez małżeństwo, to podróż w głębokie realia dzisiejszych Kresów czyli rezultat tysiącwiecznej prawdy, że geografia dyktowała ich losy. Reżyseria scen przez nią opisanych to reżyseria przypadku i w tym leży ich realizm. Ale ma się wrażenie, że każdy z tych przypadków byłby w tekście sztuki. W oparciu na zasadzie, że życie jest teatrem, w którym aktorzy grają sobie. Jej przygotowanie do tej podróży było gruntowne. Wskazuje na to lista źródeł. Aktorami są spotkane osoby, z którymi autorka rozmawia na wszystkie możliwe tematy. Niektóre rozmowy zostawia bez komentarza. Tam gdzie ich treść jest sama w sobie komentarzem. Inne komentuje, często jednym słowem, gdzie indziej by wyjaśnić motywy. Komentarze są w gruncie rzeczy niepotrzebne. Sama wymiana zdań czy posłyszany fragment rozmowy stanowi swój własny komentarz. Na drzwiach kościoła św. Anny w Wilnie wywieszono zawiadomienie, że msze św. po polsku i po litewsku będą celebrowane co tydzień. Obujęczny ksiądz [...] powiedział mi - pisze autorka - że *Polacy i Litwini wypychają się nawzajem w przerwach pomiędzy mszą polską i litewską. Dzieje się to co niedziela - powiedział - [...] gdy Polacy zostają dłużej modląc się, Litwinom się wydaje, że chcą pokazać że są lepsi...* Ale główne tutaj role aktorskie grają Polska, Litwa, Białoruś, Ukraina, a za kulisami, wszechobecna Rosja. W takiej samej kolejności w jakiej narodowości te grały role nadrzędne na ziemiach, które w różnych okresach czasu uważali, słusznie czy niesłusznie, za swoje.

Podróż do sedna Kresów zaczyna się nad Bałtykiem, w Kaliningradzie, i kończy się nad Morzem Czarnym, w Odessie. Przez Wilno, Nowogródek, Mińsk, Brześć, Kobryń, Lwów, Drohobycz, Kamieniec Podolski, Kiszyniów do Odessy, zbaczając po drodze do wiosek litewskich, białoruskich i ukraińskich. Pokrywała ona szerokie widnokręgi ale nie zapomniała o poszukiwaniu własnych, choć odległych korzeni. Wzruszającym osobistym fragmentem tej podróży był dzień w dwunastowiecznym Kobryniu, dziś Belarus, koło Brześcia, gdzie autorka szukała synagogi, w której mógł być modlić się kiedyś jej pradziad i gdzie myślała, że znajdzie jakieś dokumenty rodzinne. Znalazła budynek zaśmiecony, zamknięty i otoczony drutem kolczastym. Napis na bramie głosił „Browar”. Przypadkowo spotkany Boris Nikolaevich wyjaśnił, że 23 czerwca 1941 roku weszli do Kobrynia Niemcy... Było Ghetto „A” dla bogatych i Ghetto „B” dla biednych.

A dokumenty, metryki urodzin i śmierci?... *A tak... Wszystko z lat poprzednich zostało spalone w czasie wojny...* Jej pradziad uciekł z Rosji do Ameryki za cara Aleksandra III.

Nowy Mińsk, pisze autorka, *ma robotników, fabryki i jasną przyszłość. Ale ponieważ Mińsk nie ma historii, Mińsk nie ma duszy.* Wszystko co w nim jest dzisiaj to posowiecka moda szybkiej modernizacji na modę rosyjską. Mieszkańcy tego nowego kraju w niepewności odkrywają, może odkrywają po raz drugi, albo może odnajdują, to czym właściwie są. Czy budzi się nacjonalizm? Czy był już dawno obudzony ze snu ale ciągle jeszcze nie może znaleźć bezpiecznego spokoju? Bezpieczeństwa tego kraju nikt nie jest w stanie zagwarantować. I jego mieszkańcy wiedzą o tym aż za dobrze. Uciekają więc w marzenia o Zachodzie. Ilustracją tego jest poeta i anglista Igor, który w dziwnej mieszaninie angielskich tłumaczeń filozofów niemieckich, amerykańskiej poezji popularnej i słów do piosenek Beatles, szuka odpowiedzi na czym ma polegać nowoczesna kultura białoruska. Ale Igor miał też w sobie stronę praktyczną: szukał po wsiach rękodzielników i sztuki ludowej. Tu Belarus ma większe szanse.

Wielką zaletą autorki, pomimo młodego wieku świetnie rozumiejącą stan psychiczny ludzi żyjących w ciągłym konflikcie narodowościowym, językowym, religijnym i w końcu granicznym, jest to że w jej pisarstwie nie ma ani cienia cynizmu. Zamiast łatwej krytyki, pisze ona pozytywnie o najmniejszych nawet osiągnięciach. Bogactwo rozmów i ich treści nie pozwala na wybór ilustracyjnych cytów. O konflikcie nie zapomina, bo podróż którą odbyła i doświadczenia jakie były jej udziałem, poddawały jej coraz to nowe wrażenia i niekończące się ilustracje tych konfliktów i zmagających się uczuć. Narracja książki wrażenia te przekłada na język międzynarodowy i może już niedługo zrozumiały dla młodych mieszkańców Kresów. Pisze ona w swoim wprowadzeniu: *Niebezpieczne, uwalniające, może i jedno i drugie: przywódcy nacjonalizmu, którzy powalili Związek Sowiecki, byli przybrani w dwulicowe maski nie tylko w jednym sensie. Szukali w przeszłości, czasem nawet przeszłości zamierzchłej, usprawiedliwienia swoich akcji i legalizacji swoich roszczeń; jednocześnie zerkali w przyszłość, licząc na to, że przez oświatę czy represję, demokrację czy wojnę, uda im się stworzyć nowe państwa ze starych narodów... Dlatego też i po to żeby zobaczyć jak te nowe idee oddziałują na społeczeństwa, które ci przywódcy dziś rzekomo reprezentują, postanowiłam po raz drugi przekonać się na miejscu...*

Stąd ta podróż.

Będąc w Wilnie autorka spotkała przypadkiem ukraińskiego językoznawcę. Mieszkał on w swoim czasie w Czerniowcach, w Mińsku, w Uszkorodzie i w Kijowie. Ożeniony był z Litwinką. Miał głowę pełną wszystkich kresowych języków: ukraińskiego, rosyjskiego, białoruskiego, polskiego, litewskiego, dialektów: Rusi, Bukowiny, Rumunii, niemieckiego, po trochu tureckiego i teraz angielskiego. Przyznał, że pierwszy raz w życiu rozmawia z „prawdziwą angielską osobą”. Ofiarował toast „to trzeba oblać!” i nalął dwie szklaneczki armeńskiego koniaku. *Mówiliśmy o różnych rzeczach - pisze autorka - o Polakach i Litwinach, o wzajemnej nienawiści pomiędzy Bałtami i Słowianami, o Białorusinach i ich nowym poczuciu państwowości: ...Wydają się jakby trochę podchmieleni, zgubieni, w euforii, w przestrzeni gdzie nic nie jest dokończone. Tak - powiedział - w przestrzeni gdzie nic nie jest skończone...Napijmy się!* Autorka spytała go o Ukrainę. Mówił urывkami słów, przerywając, jakby gubiąc myśl. Autorka nalegała. [...] *Mam z Ukrainą problem - mówił - Jak ludzie mówią Ukraina, nie wiem co mają na myśli. Jest wiele Ukrain. Jest Kijów, centralna Ukraina, serce Rusi Kijowskiej - skąd my pochodzimy - w Kijowie mówią najpiękniejszym i najczystszyim językiem ukraińskim. Jest Wschodnia Ukraina - Charków - która była rosyjska przez tak wiele lat, że mówią tam rosyjskim narzeczem. No i jest wybrzeże Morza Czarnego - Krym, Odessa - podbita przez Katarzynę Wielką, zwana Nową Rosją, gdzie też mówią po rosyjsku, ale przecież tatarski Krym należy do Ukrainy: mamy tam tyle powiązań, bo tyłu z nas pochodzi z Tatarów. I tak dalej. Jestem Ukraińcem a jednocześnie obcokrajowcem. Moje nazwisko jest pochodzenia tureckiego. Mam w sobie turecką krew i ciemną skórę. Podczas wojny ukrywano mnie w piwnicy, żeby sąsiedzi nie myśleli, że jestem Żydem... A więc jestem jak Żyd w moim własnym kraju. Z powodu mojego „żydowskiego” dzieciństwa patrzę na mój kraj tak jakbym był cudzoziemcem. I to jest - mówił dalej - najbardziej ukraińskie ze wszystkiego: czytać historię swego kraju oczami cudzoziemca. Taki był los narodów kresowych. Zawsze poznawać siebie przez opowiadania innych. I znaleźć swoją rzeczywistość przy pomocy innych.*

Czytelnik polski, specjalnie pochodzący z Kresów, nie uniknie uczuć mieszanych. Ale rzetelność informacji przekona go, że tak jak trudno jest mu przyjąć istniejący stan rzeczy, tak samo trudno jest znaleźć jego rozwiązanie. Czy takie zawsze było przeznaczenie tych

urodzajnych ziem?

Anne Applebaum, *Between East and West. Across the Bordelands of Europe*. Random House, New York 1994; Paperback (Mackmillan), London 1995. Str. 314.

„Orzeł Biały”, Londyn, październik, 1995.

PIERWSZY ETAP ODWETU

Książka prof. dr. Tadeusza Dubickiego „Wojsko polskie w Rumunii 1939-1941” (Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1994, s. 360, wyczerpująca bibliografia, indeks i 40 fotografii z tego okresu), wypełnia lukę w historiografii związanej z losami Polaków, głównie wojskowych, ale też częściowo cywilnych, którzy znaleźli się w Rumunii na początku wojny. Zajmuje się ona krytycznym okresem wrześnieowym od momentu kiedy rząd i wojsko polskie przekroczyło granicę rumuńską, i dalszym aż do lutego roku 1941, kiedy nastąpiła likwidacja obozów internowanych w Rumunii. Choć nie jest to usprawiedliwienie wystarczające, łatwo można sobie wyobrazić dlaczego ten właśnie okres uległ dotychczas niezbyt gorliwej uwadze historyków. Był to okres dla Polski tragiczny: agresja niemiecka, sowiecki nóż w plecy, niepewność co do stanowiska najbliższych sąsiadów na Południu, i niewiadoma co do kontynuacji dalszej walki o ojczyznę. Jednocześnie okres moralnie ciężki, pełen rekryminacji, szukający przyczyn kłęski i zawieszony w niepewności. Niemniej ważny nie tylko historycznie ale i politycznie. Może służyć jako instrukcja dla przyszłych kierowników życia państwowego: błędy popełniają wszyscy, pytanie - jak je odrobić.

Autor tej pracy nie wdaje się w filozoficzne rozważania, a tylko polega na faktach. Użył źródeł archiwalnych polskich, w kraju i na emigracji, rumuńskich, niemieckich i amerykańskich i ponadto indywidualnych źródeł wspomnieniowych. Układ książki jest problemowo-chronologiczny. Przypomina on, że pierwsze dni wojny poza agresją niemiecką nie były też dla Polski pomyślne na gruncie dyplomatycznym. Po 3 września, kiedy Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom na zasadzie traktatów z Polską, tylko członkowie

Brytyjskiej Wspólnoty Narodów: Indie, Australia i Nowa Zelandia, a następnie Południowa Afryka, przystąpiły do wojny. Rumunia, która miała z Polską traktat wojskowy (przymierze odporne), który w drugiej połowie września stał się nieaktualny i uznany za taki przez oba państwa, przyjęła postawę neutralną i taka jej pozycja została zaakceptowana przez Francję i Wielką Brytanię. Dodać należy, że Rumunia żyła pod ostrym obstrzałem politycznym i dyplomatycznym Niemców.

17 września 1939 r. oddziały wojsk sowieckich zbliżały się do podgranicznego miasta Kutry. Tego samego dnia, na mocy decyzji rządu, Prezydent R. P. i rząd polski przekroczyli granicę polsko-rumuńską. Za nimi, w różnych punktach granicznych, wojsko i ludność cywilna opuszczali kraj. Książkę Dubickiego można podzielić na trzy główne, częściowo się uzupełniające elementy rumuńskiej geheny Polaków. Pierwszy, i może najważniejszy to element wojskowy. Był to jedyny, który dawał jakąś gwarancję, że wojsko polskie będzie może miało szanse wziąć jeszcze udział w dalszej rozgrywce wojennej z Niemcami. Do elementu wojskowego należy dodać bogaty zasób sprzętu i broni. Po wejściu Rumunii do wojny 22 czerwca 1941 r. całość polskiego sprzętu wojskowego stała się wyposażeniem armii rumuńskiej i została stracona w czasie działań na froncie wschodnim. Drugi, i może równie ważny ale bardzo krótkoterminowy, to element polityczny, na który składał się rząd z prezydentem i wielu wysokich urzędników państwowych i sądownictwa. Używając określenia „krótkoterminowy”, mam na myśli szybkie zmiany rządowo-polityczne, jakie zdołał wywołać gen. Władysław Sikorski i jego ekipa w Paryżu. W sumie, nominacja Władysława Raczkiewicza na prezydenta R. P. i nowy rząd w Paryżu, od razu uznany przez Francuzów i Brytyjczyków, skłócił pozostałych w Rumunii polityków i niektórych wyższych wojskowych. Częścią tego utrudniającego powikłania było to, że działająca jeszcze ambasada R. P. w Bukareszcie stała się podrzędną władzom polskim w Paryżu. Elementem trzecim, który niewątpliwie utrudniał stabilizację zarówno polityczną jak i wojskową interesów polskich, nawet w warunkach internowania wojska i wielu polskich działaczy politycznych, było internowanie i późniejsza ucieczka i nielegalny powrót do kraju by działać w konspiracji, marszałka Rydz-Śmigłego. Praca Dubickiego może być uważana za suchy dokument, ale chyba nie znajdzie się czytelnik, który będzie mógł przejść do porządku nad osobistą tragedią tego człowieka, który przechodząc

przez most na Czeremoszu tego pamiętnego września i zostawiając swoją armię ciągle jeszcze walczącą w kraju, musiał przejść przez piekło.

Ale najważniejsze było wojsko. W tym tak ważne lotnictwo, wyszkolone kadry, internowane w źle zaopatrzonych i ad hoc uruchomionych obozach przejściowych, większość w szoku moralnym. Wiemy, że olbrzymia większość oficerów, starszych i młodszych, podchorążych i podoficerów i szeregowców, wywiązała się ze swoich obowiązków. Definitywne liczby nie są łatwe do ustalenia. Autor podaje cyfrę pomiędzy 24 000 i 25 000 tych, którzy przeszli do Rumunii z sumy około 60 000 tych którzy mogli byli wykonać rozkaz naczelnego wodza z 17 września. Wojsko polskie podlegało rozbrojeniu natychmiast po przejściu granicy. Niektórym udało się przemycić broń boczną, którą pozwalano zatrzymać tylko oficerom. Cały epizod dodawał oleju do ognia. Internowanie miało na początku charakter doraźny. Książka podaje wiele szczegółów życia w obozach internowania, później już lepiej zorganizowanych i zaopatrzonych. Choć trudno jest ustalić dokładne dane co do ucieczek internowanych, oczywiste jest, że wielu oficerów i żołnierzy tak czy inaczej uciekli, głównie przez Węgry lub na południe. Autor ocenia ich na 20 000! To ci którzy w różny sposób dotarli do oddziałów polskich. Było to możliwe dzięki różnorodnym mniej lub więcej tajnym akcjom zmierzającym do tego by dać wojsku warunki do spełnienia ich dominującego dążenia i obowiązku - powrotu do walki czynnej. W takiej sytuacji internowanie równało się niewoli. Dubicki kończy swoją świetną dokumentację stwierdzeniem, że *najistotniejsza konkluzja związana z obecnością żołnierzy polskich w Rumunii jest to, że dała ona możliwość przetrwania, a dla około 20 000 z nich ponownego szybkiego sięgnięcia po broń...* Dokument ten potwierdza jedno: że jeśli popełniono błędy, starano się zrobić wszystko by je naprawić.

Ważnym i interesującym przyczynkiem do powyższej książki jest praca tego samego autora wspólnie ze Stanisławem Janem Rostworowskim pt. „Senatorzy kontra Sikorszczyzna” (Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa 1993). Jej tematem jest walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940.

„Tydzień Polski”, Londyn, 3 lutego, 1996.

DZIEDZICTWO ZIEMI

Książka o której tu mowa jest pozytywnym potwierdzeniem faktu, że własność ziemska w Polsce tradycyjnie nadawała właścicielom pewne przywileje ale również stokrotnie większe obowiązki. Obowiązki, których nie zaniebdywano. W sumie byli oni na służbie tej ziemi. Służbie, która miała swój wyraz we wszystkich dziedzinach życia kraju: społecznej, politycznej, gospodarczej, ekonomicznej i przemysłowej, w sztuce, literaturze, architekturze i w obronności państwa. Tak było w ciągu stuleci kiedy mecenat szlachty i właściciele ziemskich, jako nierozzerwalny element całości narodu, patronował kulturze i nauce. To jest niezaprzeczalny fakt. Pięknie wydana ostatnio praca zbiorowa pt. „Dziedzictwo. Ziemianie polscy i udział ich w życiu narodu”, pod redakcją prof. dr. hab. Tadeusza Chrzanowskiego, (Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków, 1995; wydanie pierwsze, z licznymi fotografiami, w tym kolorowe plansze, krótkim streszczeniem w języku angielskim, z notami biograficznymi autorów, s. 296), stawia pytanie dlaczego nie załatwiono dotąd godnie, w Polsce już wolnej od obcych wpływów, sprawy polskiego ziemiaństwa? Dlaczego skonfiskowane bezprawnie ziemie w wielu wypadkach stoją odłogiem? Dlaczego państwo nie wywiązuje się ze swych obowiązków co do uznania prawa własności, odszkodowań za bezprawne konfiskowane mienia, postępowanie zgodnie z podpisaną przez rząd polski kartą praw wolnego człowieka i obywatela, tego podstawowego warunku chrześcijańskiej i demokratycznej cywilizacji? Dlaczego w swoich ambicjach członkostwa w zachodnich klubach politycznych, handlowych i obronnych omija w kalkulacjach nadrzędny warunek bezwzględnego poszanowania prawa, który obowiązuje zarówno państwo jak i każdego obywatela? Dlaczego, w końcu, pomija milczeniem tak ważną we wszystkich stosunkach społecznych i międzynarodowych sprawę zaufania? Autorzy książki nie widzą żadnego usprawiedliwienia na to, żeby sprawa tak ważna jak naprawienie krzywdzącego bezprawia wyrządzonego tak dużej części społeczeństwa, nie doznało dziś, w wolnej Polsce, zadośćuczynienia. Maciej Rudziński, autor wstępu i artykułu pt. „Na tropie kłamstw, mitów i stereotypów”, i prezes krakowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, pisze: *Ziemianie mogą więc dzisiaj stwierdzić: „Parcelacja - tak, nacjonalizacja bez odszkodowania majątków i dworów - nie! Rozliczamy się z państwem - z polską wsią*

rozliczeń nie mamy"... Nie można ani jaśniej ani wyraźniej.

Ten sam autor mówiąc o znaczeniu słowa „ziemianin”, pisze że słowo to *od wieku XIX jest pojęciem nie tyle klasowym co zawodowym*. Potwierdza to w dużym stopniu treść książki na którą składają się następujące rozdziały główne: „Gospodarka”, „Reformy rolne”, „Zagadnienia społeczne i kulturowe”, „Mecenat ziemiański i fundacje” i „Z lat drugiej wojny światowej”. Każdy rozdział opatrzone jest bibliografią przedmiotu. Z konieczności omówienie spraw dotyczących gospodarki rolnej muszę zostawić specjalistom. Z rozdziału o reformach rolnych ważny jest kluczowy cytat z artykułu Dezyderego Chłapowskiego, który mówi o dekreście z 6 września 1944 r. *Dekret ten wywłaszczał ze skutkiem natychmiastowym i bez odszkodowania wszystkich właścicieli majątków ziemskich o powierchni powyżej 50 ha (w województwach zachodnich powyżej 100 ha), odbierając im oprócz ziemi żywy i martwy inwentarz oraz budynki włącznie z dworem mieszkalnym*. Dobrze jest sobie uprzytomnić, że stało się to przeszło 50 lat temu, a w roku 1996 mija 6 lat od momentu kiedy Polska stała się znowu krajem pozbawionym wpływów obcych.

W rozdziale o zagadnieniach społecznych i kulturowych interesujący jest artykuł Tadeusza Chrzanowskiego o przeobrażeniach literatury ziemiańskiej. Tu należy zacząć od początku. *Ziemiańskość literatury polskiej jest zjawiskiem, które rozpoczęło się wraz z narodzinami literatury w tym kraju i przetrwało do dziś, a więc przeżyło ową warstwę społeczną, która tak ogromną rolę odegrała w dziejach kraju i która narzuciła mu pewną specyfikę obyczajowo-kulturową*. Dlatego, między innymi, prof. Chrzanowski nie miał kłopotu z bibliografią dotyczącą jego szkicu. Musiałby się przecież powołać na całą historię literatury polskiej tak głęboko wrośniętą w polską glebę. A jeżeli ziemianstwo występowało w niej czasem choćby tylko marginesowo, wrośnięta była w polskość wsi i tych którzy karmili kraj. W wieku XVII wymienia wszystkich Morsztynów, Hieronima (Jarosza), Zbigniewa i Jana Andrzeja i Stanisława, których poezja związana z tradycjami ziemiańskimi odrodziła się po kilku stuleciach, kiedy przejął ją Ludwik Hieronim Morstin (1886-1966), (z pochodzenia Morsztyn). A więc przez całe wieki kiedy oświeceni w piśmie dawali świadectwo rdzennym polskim tradycjom. Jan Błoński w szkicu „Polski raj” dodaje wzruszający komentarz o przywiązaniu pisarzy do natury, w której żyli i tworzyli. To właśnie przywiązanie było motywem życia rodzinnego, było też motorem, z którego całe pokolenia czerpały

radość życia i radość należenia do krain ojczystych.

O polskim mecenacie ziemiańskim pisze Andrzej Biernacki. Bogactwo zbierane przez pokolenia w dworach i pałacach ziemiańskich dały początek wielkim kolekcjom narodowym, muzeom, galeriom, bibliotekom i archiwom. Z nich powstały instytucje naukowe i warsztaty pracy gdzie kształcili się ludzie nauki i sztuki. Chciałoby się na tym miejscu wymienić alfabetycznie całą długą listę wielkim mecenasów i ich wysiłek w pilnowaniu i dokumentowaniu tradycji polskich. Musimy z konieczności poprzestać na królu Stefanie Batorym i kanclerzu Janie Zamoyskim, jako tych którym można przyznać pierwszeństwo, i zamknąć tymczasem listę współczesnymi Emerykiem Czapskim, Edwardem Raczyńskim i Karoliną Lanckorońską. Ten sam temat porusza szczegółowo prof. Maria Kocójowa w szkicu pt. „Przetrwać jako polski naród. Rola fundacji ziemiańskich w XIX i XX wieku”. Warto przypomnieć, że [...] *Prestiż ziemiaństwa, jego wykształcenie, rola publiczna, czerpanie środków z własnych zasobów pozwalały podejmować za pomocą fundacji działania inspirujące, precedensowe, których korzystne efekty przetrwały do dzisiaj...* Książkę zamyka esej pt. „Z lat drugiej wojny światowej” Macieja Rudzińskiego. Opisuje on akcje konspiracyjne w ramach Armii Krajowej: „Uprawa vel Tarcza”. Rudziński nazywa dwór ziemiański bastionem polskości. Zagłada tego bastionu nastąpiła w roku 1944 kiedy wkroczyła armia radziecka. W sumie książka potrzebna bo tak łatwo zatrzeć można sprawy ważne przez niedopatrzenie ich wagi. Zwłaszcza kiedy niedopatrzenie połączone jest z obojętnością ustawodawców. Książka ta przypomina o krzywdzie i żąda sprawiedliwości.

„Tydzień Polski”, Londyn, 13 kwietnia, 1996.

PAN JÓZEFEK

Takim niemal matczynym zdrobnieniem nazywała Józefa Czapskiego oddana mu opiekunka ostatnich lat życia pani Janina. Była to Janina Gąskiewicz, mieszkająca obecnie w Sopot, która w ciągu ostatnich 10 lat życia Czapskiego była mu codziennie najbliższa. Tak pisała o niej Felicja Kranc, osoba mu wierna przez 60 lat

bliskiej przyjaźni: *Pani Janina Gąskiewicz czekała na górze (Maisons Laffitte) z podwieczorkiem, bo bardzo dbała o swojego „pana Józefka”. Za jej opiekę i cierpliwość, za troskę o dobro Józia w każdej sytuacji - którym się nie zawsze chętnie poddawał, a czasem wręcz buntował - winniśmy wszyscy być jej wdzięczni („Zeszyty Literackie”, Warszawa - Paryż, Jesień, 1993).* Przez jego długie życie przewinęło się wiele osób w kontakcie osobistym, a także wielu pisarzy i artystów, w kontakcie który przeżywał czytając i obserwując ich dzieła i życie. Pasjonowały go zawsze kontakty z ludźmi, bo porównywał je z kontaktami z samym sobą. Wiedział i rozumiał, że każdy człowiek, który umiał patrzeć na siebie samego i widzieć to co było w nim prawdziwe, przeżywał od czasu do czasu kryzys zwątpienia. Wtedy w najbardziej codziennych czynnościach życiowych szukał wyrozumienia dla swych słabości u osób, z którymi czuł, że są mu bliskie, a niczego od niego nie wymagają. W ten sposób obejmował swoje istnienie już nie w rozterce, ale w spokoju. W takim spokoju zmarł w swoim pokoiku w Maisons Laffitte w roku 1993. Miał w życiu wiele powodów do rozterki, ale była to rozterka filozoficzna. Patrzył w swoje serce, widział swoje słabości, ale dostrzegał w nich też siłę, którą daje ich rozpoznanie. Był malarzem, który te słabości - nawet bezsilność wobec życia - widział pierw u siebie a potem u innych. Był poetą, w którego poetyckiej imaginacji nie trzeba było szukać rymów. Ale była w niej konsekwencja. Był pisarzem, którego każda nowa idea mogła być tematem innej wizji artystycznej. W jego wielotomowych dziennikach myśli i idee krąży wokół - jak mu się wydawało - niedoścignionego celu. A jednak? Cel osiągnął bo zostawił nam swoje dzieło myśliciela, którego sztuka wyrosła z niekończącej się samokrytyki. Człowiek i artysta. Ale nade wszystko był mistrzem intelektualnej przyjaźni. Można nawet powiedzieć intymnie intelektualnej przyjaźni. W kręgu takich właśnie przyjaciół był młody pisarz-intelektualista, Wojciech Karpiński, który w swojej nowej książce „Portret Czapskiego” (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław, 1996), opisał doświadczenia bliskiej przyjaźni z Czapskim w formie monologu o nim z samym sobą. Jest to monolog wzruszający bo doświadczenia Karpińskiego idą głęboko w istotę filozofii jego mistrza. A zatem poszukiwania w sobie samym istoty dobra i zła, ciągłego poszukiwania właściwej drogi życia, kontrolowania swego postępowania i świadomości, że człowiek przez życie idzie w gruncie rzeczy obolały, ale niekoniecznie cierpiący. To tak jakby młody adept sztuki życia, Karpiński, spisał

wszystko to czego zdołał się nauczyć od wybranego nauczyciela. Gruntem tego monologu jest pamięć. Pamięć autora i przypomnienie zawsze żywej pamięci Czapskiego, który rozumiał lepiej niż wielu przemijanie czasu.

Podróż Karpińskiego po świecie Czapskiego, obejmuje Maisons Laffitte, Paryż, Warszawę, Vevey (wystawa w Musée Jenisch, Czerwiec 1990), pogrzeb na ziemi francuskiej 15 stycznia 1993, stopy ręcznie zapisanych dzienników, książki które spadały z półki wtedy kiedy były potrzebne, zwiedzane miejsca gdzie Czapski lubił bywać w czasach kiedy mógł się swobodnie poruszać, istniejący jeszcze świat ludzi, których Czapski znał, kochał, podziwiał i z którymi łączyła go nie wspólne przeżycia. Karpiński jest pisarzem osobistym. Dzięki temu z jego książki, która jest też osobistym przeżyciem słuchania Czapskiego, bije - krótko mówiąc - miłość. Sam podziw nie wystarcza. Czapski był postacią wyjątkowego talentu w umiejętności dociekania do sedna rzeczy. Karpiński nie powtarza zbyt wielu superlatywów ani o człowieku, ani o artyście. Napisano ich wiele. Ale, co cenniejsze, zwraca się w swojej podróży do zdarzeń niby drobnych, błahych nawet, ale właśnie takich które najbardziej fascynowały Czapskiego i takich, z którymi składało się życie najskromniejszego ze skromnych poszukiwaczy prawdy.

(W kwietniu 1996 roku przypadła setna rocznica urodzin Józefa Czapskiego uświetniona dwiema wystawami jego dzieł w Krakowie opisanymi w „Tygodniu Polskim” z 4 maja 1996).

„Dziennik Polski”, Londyn, 20 maja, 1996.

KAPLICA POD NOWOGRÓDKIEM

Bogactwo współczesnej historii Polski, specjalnie lata pierwszej i drugiej wojny światowej, przenika stopniowo do literatury zachodniej. Dzieje się to różnymi drogami. Drogą dziennikarsko-reporterską w formie prozy dokumentarnej (tak jak Anne Applebaum-Sikorskiej „Between East and West” („Między Wschodem a Zachodem”), i drogą bliskich kontaktów osobistych pomiędzy pisarzami zachodnimi i rodzinami polskimi osiadłymi na Zachodzie. Ta ostatnia to droga

o wiele bardziej bezpośrednia, często owiana romantyzmem a zawsze osnuta głębokim uczuciem. Sentymentem, ale nie sentymentalizmem. Bo w tym sentymencie kryje się zarówno smutek jak i radość. Radość wczesnej młodości lat międzywojennych i smutek przerwanej idylli. Mowa tu o wiosennej idylli życia na ziemiach kresowych w kłębku granicznym polsko-litewsko-rosyjsko-białoruskim na przełomie XIX i XX wieku. I co z niej zostało. Literatura polska, międzywojenna i powojenna zna ten temat dobrze, ale interesujące jest to jak przyjmuje ten egzotyczny rodzaj literacki piśmiennictwo i czytelnik anglo-saski. Z tej książki wiemy jak patrzy na ten mało znany na Zachodzie rozdział historii pisarz i podróżnik angielski, który przez przyjaźń potrafił świetnie rozeznaczyć i oddać atmosferę w jakiej żyli Polacy na skraju Europy Zachodniej. Niektórzy krytycy brytyjscy (m.in. Penelope Fitzgerald) pochlebnie oceniali opowieść.

Ten pisarz i podróżnik angielski to Philip Marsden. Polska tęsknota w jego słowach nabiera cech modlitwy. Jako młody chłopiec poznał on Zofię z Brochockich Ilińską, polską poetkę, zamieszkałą w Kornwalii. Na tle tej znajomości i potem przyjaźni, powstała jego książka, właściwie poemat prozą, opisujący dzieje jej rodziny i jej samej (Philip Marsden, „The Bronski House. A Return to the Borderlands”; London, Harper-Collins, 1995; s. 245). Przyjaźń wyłoniła zainteresowanie i ciekawość przejściami wojennymi rodziny ziemiańskiej z terenów, które były historycznym polem bitwy. Z odnalezienia faktów powstało zrozumienie tęsknoty do tego co już nie wróci. Nota autora informuje, że *the names of the main families, as well as the names of the various estates, have been changed for the purpose of telling this story* (Nazwiska głównych rodzin i nazwy różnych majątków zostały zmienione aby przekazać tę opowieść). Mimo to polski czytelnik, a specjalnie mieszkaniec dawnych kresów polskich, łatwo zidentyfikuje i nazwiska i miejscowości.

Los kresowej rodziny połączył się w nierozzerwalną całość przez dwa pokolenia: matki i córki. Matka - Helena Brońska, zostawiła pamiętniki. Dorastała ona w czasach wielkiej zawieruchy wojennej. Ofensywa niemiecka na Rosję w roku 1915, dramatyczna ucieczka z majątku Mantuski nad Niemnem, dwa lata w Petersburgu przed i w czasie rewolucji, wojna cywilna i wreszcie krótki okres pokoju i spokoju w Polsce między wojnami. Z drugą wojną światową zaczęła się nowa wędrówka, tym razem zakończona razem z córką w Kornwalii. Tu trafił do Zofii (córki) autor tej polskiej epepei Philip Marsden.

Jest to istotnie epepeja nie tylko jednej rodziny, bo takich i podobnych rodzin na wschodnich kresach Polski było wiele. Ale elegia na to, że rok 1939 ukroił z Europy jej ważny element: ziemię, a z nimi posiadłości ludzi wszystkich klas społecznych, którzy na tym właśnie odcinku Europy reprezentowali bastion kultury łacińskiej Zachodu.

Zofia odbyła dwie podróże do swego starego kraju. Obie w towarzystwie autora opowieści i obie we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. Białoruś nie była już sowiecka ale była dalej bardzo rosyjska. Majątki rodzinne Brońskich, Mantuski i Klepawicze były na północ i zachód od Nowogródka. Klepawicze - niemal o krok od nowej granicy polskiej. W lasach koło Nowogródka, na starym cmentarzystku, odnaleźli kaplicę a w jej fundamentach rozbite miedziane trumny ze szczątkami pogrzebanych tam przed laty członków rodziny Brońskich. Druga podróż to misja odbudowy kaplicy rodzinnej za uciulane już w Kornwalii grosze. Zofia spełniła misję. A w tej misji krył się symbol powrotu do miejsca urodzenia i ziemi do której się tak jak nigdzie indziej, należy.

„Tydzień Polski”, Londyn, 13 lipca, 1996.

INDEKS NAZWISK

- Acland Richard, 28
 Aleksander I, król Jugosławii,
 17
 Anders Władysław, 5; 114; 167;
 169
 Applebaum-Sikorska Anne,
 165; 175; 183; 187; 194
 Ascherson Neal, 80; 155; 156;
 165
 Badeni Jan, 83; 85; 99;
 110-113; 149; 150; 159
 Badeni Kazimierz, 110
 Badeni Maria, 98
 Badeni Michał, 98
 Badeni Stefan, 97-100; 111;
 112
 Balcerowicz Leszek, 125
 Baliński Stanisław, 51; 145;
 146
 Bartoszewski Władysław, 87;
 106-108
 Batory Stefan, 192
 Bauer-Czarnomski Franciszek,
 120
 Baumgart Marek, 161
 Beck Józef, 120; 121
 Beckowa Jadwiga, 52; 121
 Bender Peter, 156
 Benesz Edward, 102; 103; 125;
 162
 Berent Waclaw, 15
 Berling Zygmunt, 167
 Bethell Nicholas, 163-166
 Biegański Stanisław, 161
 Bielatowicz Jan, 145
 Bielecki Tadeusz, 180
 Biernacki Andrzej, 192
 Blum Leon, 46
 Błoński Jan, 191
 Bobiński Krzysztof, 124
 Bolecki Włodzimierz, 15
 Borman Antoni, 52; 53; 98;
 145-147
 Bóbr-Tylingo Stanisław, 160
 Bór-Komorowski Tadeusz, 114
 Breiter Emil, 148
 Bremner Rory, 126
 Broniewski Władysław, 6
 Brońscy, 196
 Brońska Helena, 195
 Brońska Zofia, 195; 196
 Bylina Stanisław, 161
 Byłhak Henryk, 160
 Chałubiński Tytus, 105
 Charkiewicz Walerian, 181; 183
 Charwat Franciszek, 139
 Chłapowski Dezydery, 191
 Chmielowiec Michał, 158
 Chodakowski Jan, 178
 Chopin Fryderyk, 52
 Chramiec Andrzej, 105
 Chrzanowski Tadeusz, 190; 191

- Churchill Winston, 26; 46; 75;
77; 101; 120
- Cienciała Anna, 161
- Cimoszewicz Włodzimierz, 122;
123
- Ciolkosz Adam, 177-180
- Ciolkosz Andrzej, 180
- Ciolkoszowa Lidia, 115; 116;
177-180
- Ciolkoszowie, 179; 180
- Cisek Janusz, 160
- Clinton Bill, 37; 44; 48
- Czapski Emeryk, 192
- Czapski Józef, 7; 141; 192-194
- Czartoryski Adam, 18
- Czech Bronisław, 105
- Czermański Zdzisław, 50
- Dadlez Michał, 129
- Danilewicz Zielińska Maria, 14;
15; 145
- Davies Norman, 173; 174
- Diderot Denis, 72; 74
- Dmowski Roman, 114
- Dubicki Tadeusz, 187-189
- Dzieduszycki Aleksander, 118
- Elżbieta, królowa Anglii, 112
- Fiszer Franz, 50
- Fiszerowa Wirydianna, 26
- Fitzgerald Penelope, 195
- Folkierski Władysław, 180
- Forster Edward Morgan, 7; 75;
77
- Frankowska Hapa, 146
- Friszke Andrzej, 115; 116; 178;
179
- Galos Adam, 160
- Garcia Justo Mullor, 59
- Garton Ash Timothy, 49;
155-157; 165
- Gąsienica Paweł, 104
- Gąsienicowie, 104; 105
- Gąskiewicz Janina, 192; 193
- Geremek Bronisław, 151; 152
- Gierowski Józef Andrzej, 160
- Gieysztor Aleksander, 160; 161
- Gołuchowski Karol, 138
- Goncourtów, 148
- Gorbaczow Michail, 156
- Gregorewicz Stanisław, 161
- Grocholski Stanisław, 44; 45
- Grydzewski Mieczysław, 6; 7;
49-54; 83; 85; 86; 97-100;
145-148; 150; 158; 159
- Gumiński Roman, 93
- Habielski Rafał, 85; 159
- Halecki Oskar, 94; 161
- Handelsman Marcelli, 50
- Hemar Marian, 51
- Herbert Auberon, 147; 149; 159
- Herbert Zbigniew, 147; 149;
159
- Herling-Grudziński Gustaw,
100
- Hertz Paweł, 140
- Hitler Adolf, 28-30
- Hłasko Marek, 149
- Homolacz Edward, 104
- Homolacz Klementyna, 104
- Honecker Erich, 155
- Hutten-Czapski Bogdan, 90
- Ilińska Zofia, 195
- Infeld Eryk, 165
- Iwanowscy, 21
- Iwanowska Helena, 21
- Iwanowski Jerzy, 21; 22
- Iwanowski Leonard, 21
- Iwanowski Stanisław, 21
- Iwanowski Tadeusz, 21; 22

- Iwanowski Waclaw, 21-24
 Iwaszkiewicz Jaroslaw, 51
 Jamiolkowski Andrzej, 84; 85
 Jankowski Henryk, 67
 Jaruzelski Wojciech, 155; 176
 Jedlicki Jerzy, 154
 Jelcyn Borys, 44; 125
 Jeżewski Bohdan O., 94; 95
 Jędrychowski Stefan, 167
 Kadir Abdul, 176
 Kapuściński Ryszard, 175
 Karaszewicz-Tokarzewski
 Michał, 141
 Karpiński Jakub, 178
 Karpiński Wojciech, 193; 194
 Kasproicz Jan, 105
 Kennard Howard, 69
 Kersten Krystyna, 153; 154
 Khayyam Omar, 26
 Kieniewicz Stefan, 160; 162
 Kloczowski Jerzy, 94; 161
 Kochanowski Janusz, 59
 Kocójowa Maria, 192
 Konrad Józef, 15
 Kopański Stanisław, 111
 Kopczyński Andrzej, 138
 Kopernik Mikołaj, 83; 84; 112;
 134
 Korniejczuk Aleksander, 167
 Kossowscy, 54; 146
 Kossowska Stefania, 7; 54;
 83-85; 145-150; 157-160
 Kossowski Adam, 158
 Kot Stanisław, 169
 Kott Jan, 6; 129; 130
 Koźniewski Kazimierz, 6
 Kranc Felicja, 192
 Krasiński Zygmunt, 15
 Krauze Andrzej, 183
 Krupp, 47
 Krzeptowscy, 105
 Kube Wilhelm, 24
 Kukiel Marian, 145; 146
 Kulikowski Narcyz, 26
 Kuroń Jacek, 36
 Kwaśniewski Aleksander, 122;
 123
 Lanckorońska Karolina, 83;
 112; 192
 Lange Oskar, 180
 Laski Feliks, 149
 Lasota Irena, 178
 Lechoń Jan (Leszek Serafino-
 wicz), 51; 53; 146
 Lewandowski Edmund, 174
 Lewandowski Waclaw, 181-183
 Lipski Józef, 30
 Lisiewicz Teodozja, 137
 Litwinow Maxim, 119
 Lubelski Mieczysław, 146
 Łaptos Józef, 161
 Łepkowski Stanisław, 69
 Łossowski Piotr, 160
 Mackiewicz Józef, 145; 160;
 181; 183
 Mackiewicz Stanisław, 181-183
 Madariaga y Rojo Salvadore de,
 86-88
 Major John, 54
 Makuszyński Kornel, 105; 146
 Maldis Adam, 24
 Malinowski Bronisław, 15
 Mandela Nelson, 37
 Marsden Philip, 195
 Marusarzowie, 105
 Masaryk Jan, 103; 162
 Matuszewski Ryszard, 6
 Mazowiecki Tadeusz, 39

- Michalski Jerzy, 160
 Mickiewicz Adam, 15; 100
 Mieczysławska Hela, 137; 138
 Mieczysłowski Krzysztof, 137
 Minc Hilary, 167
 Moczulski Leszek, 36
 Morstin Ludwik Hieronim, 191
 Morsztyn Hieronim, 191
 Morsztyn Jan Andrzej, 191
 Morsztyn Stanisław, 191
 Morsztyn Zbigniew, 191
 Moszyński, 15
 Mościcki Ignacy, 121
 Muszkowski Jan, 5
 Nagórski Zygmunt, 180
 Najder Zdzisław, 150-152
 Najderowie, 152
 Niemcewicz Julian Ursyn, 20
 Nikolaevich Boris, 184
 Noakowski Stanisław, 15
 Nowaczyński Adolf, 51; 145
 Nowak-Jeziorański Jan, 39
 Nowakowski Tadeusz, 147; 148;
 150
 Nowakowski Zygmunt, 52; 53;
 145; 146
 Nowik-Kielbikowa Maria, 160
 Nurek Mieczysław, 161
 Oleksy Józef, 122; 123; 125
 Olszewski Jan, 127
 Ordonówna Hanka, 140
 Orkan Władysław, 105
 Orłowski Bolesław, 15
 Paderewski Ignacy, 87; 114
 Pajewski Janusz, 160
 Parandowski Jan, 149
 Pawlak Waldemar, 75; 123
 Pawlikowski Jan Gwalbert, 105
 Pawlikowski Jan Gwalbert
 Henryk, 105
 Pawlikowski Michał, 105
 Pęksa Jan, 104
 Pęksa Szymon, 104
 Pęksowie, 105
 Piłsudski Józef, 87; 114; 163;
 178
 Popieluszko Jerzy, 36
 Potocka Róża, 26
 Povolny Mojmir, 162
 Pragier Adam, 180
 Preston Thomas, 139
 Przerwa-Tetmajer Kazimierz,
 105
 Przędziecki Aleksander, 15
 Raczkiewicz Władysław, 68; 69;
 180; 188
 Raczyńska Róża, 26
 Raczyński Atanazy, 15; 163
 Raczyński Edward, 2; 7; 25-28;
 35; 40; 45; 46; 54; 65-69; 86;
 88; 94; 102; 114; 115;
 117-121; 125; 128; 150;
 158-163; 192
 Ratajczak Dobrochna, 15
 Reagan Ronald, 156
 Reichel Wacława Jadwiga, 21
 Rej Mikołaj, 136
 Retinger Józef, 46
 Ribbentrop Joachim von, 30
 Rocard Michel, 38
 Rojek Wojciech, 161
 Romanowska Felicja, 181; 183
 Roosevelta Franklin D., 101
 Rostworowski Stanisław Jan,
 189
 Rousseau Jan Jakub, 72-74

- Rudziński Maciej, 190; 192
 Russell Bertrand, 153
 Ryło-Bykowski Iwaszko, 21
 Ryło-Bykowski Jerzy
 Andrzejowicz, 21
 Sabbat Kazimierz, 121; 122
 Sakowska Stefania, 54
 Sakowski Juliusz, 54
 Shakespeare William, 130
 Sienkiewicz Henryk, 15
 Sikorski Radek, 127; 128;
 175-177
 Sikorski Władysław, 46; 97;
 112; 114; 119; 180; 188
 Skirmunt, 120
 Skirmunt Konstanty, 119; 120;
 161
 Skowronek Jerzy, 160
 Skrzyński Aleksander, 162
 Skubiszewski Krzysztof, 66; 87
 Slonimski Antoni, 5; 51
 Sosnkowski Kazimierz, 180
 Sowuła Grzegorz, 176
 Stalarczyk Józef, 104; 105
 Stalin Józef, 23; 163; 164
 Stępnik Władysław, 160
 Stolarczyk Józef, 104
 Stroński Stanisław, 53; 145
 Stryjeński Karol, 105
 Sucheni-Grabowska Anna, 160
 Suchocka Hanna, 87
 Suleja Włodzimierz, 160
 Supruniuk Anna, 84; 85; 134
 Supruniuk Mirosław Adam,
 84-86
 Sword Keith, 167-169
 Szembek Jan, 121
 Śmigły-Rydz Edward, 188
 Tatariewicz Władysław, 33; 34
 Terlecki Tymon, 145; 148
 Thatcher Margaret, 156
 Topolski Feliks, 145; 146
 Toporska Barbara, 160
 Turna Stanisław, 162
 Turonek Jerzy, 22; 24
 Tuwim Julian, 51; 178
 Tyszkiewicz Michał, 140
 Virion Tadeusz de, 35-37
 Wahren Andrzej, 138
 Walczak Henryk, 105
 Walczak Tadeusz, 149
 Wałęsa Lech, 20; 28; 36; 66;
 67; 87; 88; 109; 113-115;
 131; 132; 151
 Wandycz Piotr, 160-162
 Wandyczowa Irena, 149
 Wasilewska Wanda, 167
 Wendorff Bogdan, 121
 Wernik Romuald, 127; 128
 Wieniawa-Długoszowski
 Bolesław, 50
 Wieniewski Ignacy, 145; 148
 Wierzyński Kazimierz, 51; 53
 Wilczyńska Zofia, 53
 Wilson June, 111
 Wilson Noel, 111
 Witkiewiczowie, 105
 Wittlin Józef, 145; 146
 Woźniakowski Jacek, 15
 Wójcik Jerzy B., 86
 Wójcik Zbigniew, 160
 Wright Jim, 81
 Wypiański Stanisław, 51
 Wyszomirski Jerzy, 181-183
 Zabłocki Tadeusz, 149
 Zabłocki-Gwasz Tadeusz, 95-97
 Zaborowski Tymon, 15
 Zacharias Edward, 163

Zacharias Michał Jerzy, 161; 163
 Zahorski Andrzej, 160
 Zajączkowski Tadeusz, 139; 140
 Zaleski August, 180
 Zamoyski Adam, 18; 170-172
 Zamoyski Jan, 192
 Zawadzki W.H., 18
 Zbyszewski Karol, 20

Zbyszewski Wacław Alfred, 20; 145; 146
 Zgórnik Marian, 161
 Zieliński Marek, 15
 Zomoyski Adam, 18
 Zygmunt I Stary, król Polski, 21
 Żenczykowski Tadeusz, 26
 Żeromski Stefan, 15; 51
 Żyrynowski, 44; 127

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA.....	5
FELIETONY	9
Rynek rynkowi nie równy	11
Laboratorium literackie Marii Danilewicz Zielińskiej.....	14
Zmierzch federacji	16
Koalicja od przodu i tyłu.....	19
Lebiodka.....	21
Edward Raczyński nie żyje.....	25
Londyn, wrzesień 1939	28
Muzeum opinii	30
Gonitwa za szczęściem.....	33
Mąż zaufania	35
Trzecia siła	37
Lubimy rocznice	39
Konkurs narzekań.....	41
Impas pana Clintona.....	44
Kamień węgielny pod Europą	46
Redaktor i jego dzieło	49
Nieporozumienie moralne.....	54
Nuklearne i inne widma.....	56
Jak daleko jest Wilno?	59
List do synów.....	61
O Edwardzie Raczyńskim w pierwszą rocznicę zgonu	65
Spadkobiercy	70
Podróż międzyplanetarna.....	72
Z demokracją na „ty”	75
Kadencja historyków.....	77
Kleptokracja.....	80
Archiwum „Wiadomości”	83
Demokracja: rozum czy ambicja?.....	86
Bez ostatniego aktu.....	89
Razem wszystkie stany!.....	91
Lobby or not to lobby?	94

Śniadanie ze Stefanem Badenim	97
Skoro minęło 50 lat	100
Na Pęksowym Brzyzku	103
Minister Bartoszewski w Chatham House	106
Druga kadencja	108
Jan Badeni 1921-1995	110
Symbol to też autorytet	113
Umiarkowanie	115
Biograficzne dygresje	117
Komentarz na wyrost	122
Zimny pokój	126
List do Janka Kotta	129
Notatki londyńskie	131
Historyczny bagaż	132
Czekając na pociąg	135
RECENZJE	143
Literacki dylizans	145
Pięcio-przymiotnikowa nagroda	147
Przeciw zubożeniu	150
W poszukiwaniu drogi	152
Koniunktury - dla kogo?	155
Pani Stefania	157
Polscy historycy w holdzie Edwardowi Raczyńskiemu	160
Trzeci front lorda Bethell	163
Na tle żywej historii	167
Almanach rycerski („The Forgotten Few”)	170
Dwie nowości „aneksu”	173
Honorowy „Modzahedin”	175
Polityka i honor	177
Alchemia wileńska	181
Kresy: dramatis personae	183
Pierwszy etap odwetu	187
Dziedzictwo ziemi	190
Pan Józefek	192
Kaplica pod Nowogródkiem	194
INDEKS NAZWISK	197

Abi. Ecb; Mendelowski
 Grupa Def
 Mendel. Def



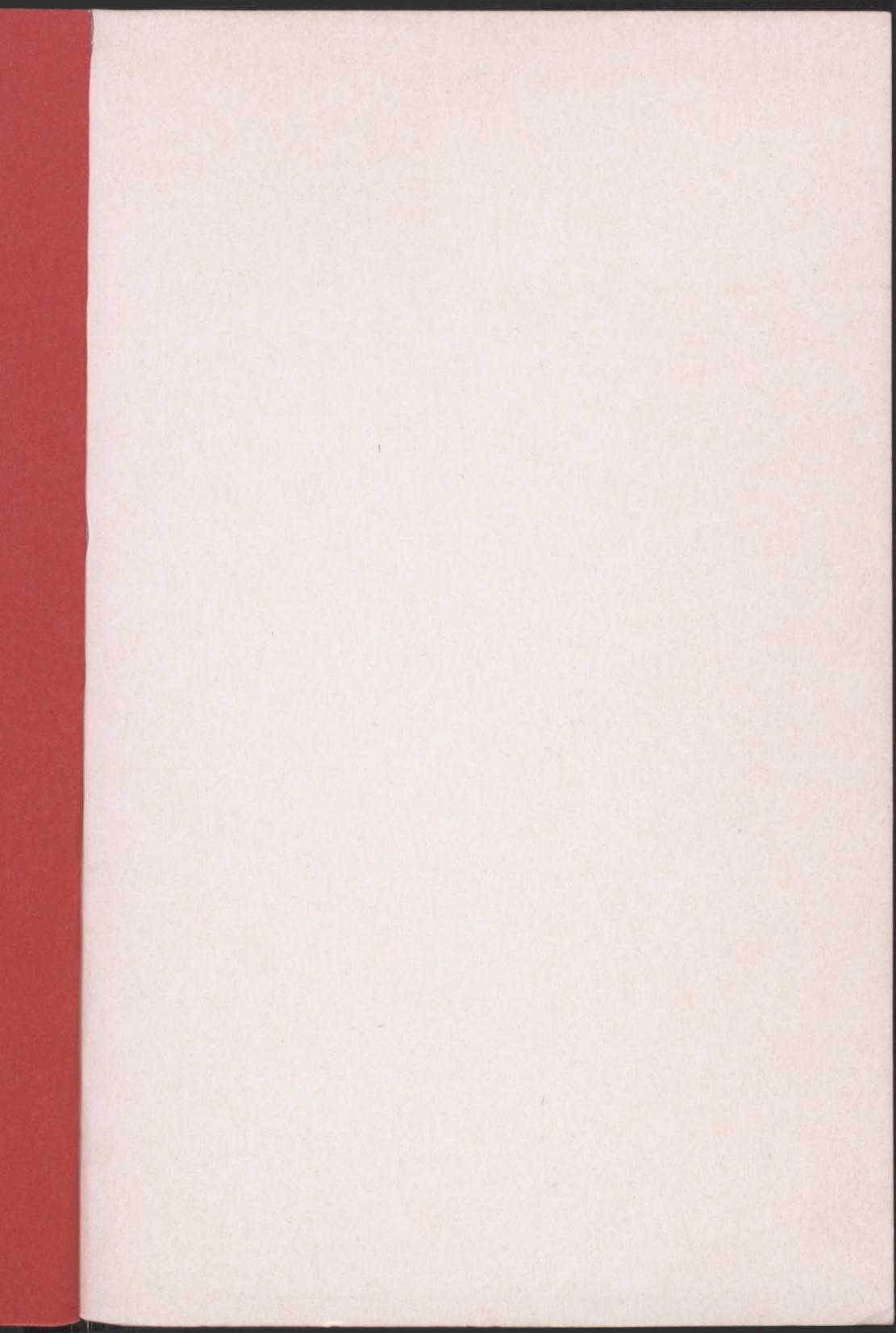


Biblioteka Główna UMK



300000225040

10, -



Biblioteka
Główna
UMK Toruń

721924

ISBN 83-231-0831-5